ZNANY ROCKMAN
Fotografuje na tropach historii

POWSTANIE 1863
Rozbicie Rosjan w Rawie Mazowieckiej

KOZETKA DR. FREUDA
Fiasko psychoanalizy z wszechogarniającym seksem

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 1(119)/2023 STYCZEŃ 2023

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

Wielkie chwile i szanse Polski

SKAZANI NA WIELKOŚĆ

Muzeum Dom Rodziny Pileckich już otwarte!

trzy
poziomy
zabytkowego
domu

opowieść
o ludziach
i historiach

cytaty
z dokumentów
i wspomnień

instalacje
artystyczne
i multimedia

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MIASTO
OSTRÓW
MAZOWIECKA

www.muzeumpileckich.pl

W 2022 roku wstęp wolny.

eprasa.pl/e1ca3b33d

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Kraków, październik 1933 r.

Marszałek Józef Piłsudski przed sarkofagiem Jana III Sobieskiego w 250. rocznicę bitwy pod Wiedniem

FOT. NAC

Od redaktora

Maciej Rosalak

Skazani na wielkość

Do statusu wielkiego i potężnego kraju zbliżaliśmy się w dziejach parokrotnie. Za pierwszym razem, gdy – jak pisze u nas znakomity mediewista prof. Jacek Banaszkiewicz – Polska wyłoniła się w Europie ex nihilo, w miejscu niezdominowanym jeszcze ani przez kulturę bizantyjską, ani łacińską. Zdążyła wyrosnąć właśnie z niczego – „kulturowego, państwowego, jakiegokolwiek – co jest w zasadzie fenomenem trudnym do zrozumienia…". A wyrosła jako „wielkie nowonarodzone mocarstwo", które „omalże nie zostało wkrótce zdmuchnięte ze sceny europejskiej. Rok 1031 po raz pierwszy dookreślił surowo jego geopolityczne położenie i związane z nim na trwale niebezpieczeństwa".

Kolejne „wielkie nowonarodzone mocarstwo" krzepło po polsko-litewskim (tj. także ruskim) zwycięstwie pod Grunwaldem w zmaganiach z Moskwą, dążącą z uporem (jak dziś!) do podboju wszystkich ziem Rusi Kijowskiej. Pytałem więc znamienitego autora „Dziejów Polski" (5. tom dotyczy „Imperium Rzeczypospolitej") – prof. Andrzeja Nowaka: „Zwycięstwo pod Kłuszynem, nasza załoga na Kremlu, carowie Szujscy składający w Warszawie hołd przed królem polskim… Czy była szansa aby uzyskać wtedy dominację, może na wieki?". „A niby jak? – usłyszałem. – Zwolennicy political fiction nie zwracają uwagi na realne dysproporcje. Mieszkańcy Rosji, prawosławni są znacznie liczniejsi. Mają też silną tożsamość opartą na mocnym połączeniu prawosławia z państwem. Sięga ono już dalekiej Syberii, nawet Oceanu Spokojnego. Masy moskiewskie upatrują od wieków jednego wroga: jest nim łacinnik. Zmiana tego stanu rzeczy byłaby trudna, mimo wiary szlachty w potęgę przykładu polskiej wolności…".

Wreszcie z prof. Mariuszem Wołosem dojdziemy do czasów walk o miejsce Polski w Europie po I wojnie światowej. To rodziła się nasza „skazana na wielkość" II Rzeczpospolita. Zapraszam do lektury. Bardzo na czasie… ©℗

eprasa.pl fe1ca3b33c

/ TEMAT NUMERU

.6–9 TOMASZ STAŃCZYK
Wzloty oraz upadki

.10–15 JACEK BANASZKIEWICZ
Europejski wyjątek: Polska

.16–20 ANDRZEJ NOWAK
Zmarnowana dziejowa szansa?

.22–25 MICHAŁ MACKIEWICZ
Arsenał Niepodległej

.26–27 MICHAŁ MACKIEWICZ
Polskie tankietki

.28–31 MARIUSZ WOŁOS
Mocarstwo, ale regionalne

/ CZASY I LUDZIE

.32–35 MIKOŁAJ IWANOW
Wojna o białoruską duszę

.36–38 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Czerwona partyzantka morderców

.39–41 MAREK GAŁĘZOWSKI
1863. Chwała Rawy

.42–45 JEAN-CHARLES STASI
Prosto we wrota bestii

.46–49 JANUSZ GRUDZIŃSKI
Królowa Polska

.50–52 PIOTR SEMKA
Ziemniaczana klątwa Irlandii

.53–55 JAKUB OSTROMĘCKI
Miłość i arszenik

.56–59 SŁAWOMIR KOPER
Słabości króla futbolu

/ CO CZYTAĆ

.60–63 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Idealny konformista PRL

.64–67 RECENZJE

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Niezałapany

.69 PIOTR SEMKA
Polski siepacz Stalina

/ KRESY

.70–73 TOMASZ STAŃCZYK
Męczennicy Kresów

/ BATALIE I WODZOWIE

.74–77 MACIEJ ROSALAK
Groza Berberów

/ TECHNIKA

.78–79 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Kozetka doktora Freuda

/ POD PRĄD

.80–81 PIOTR ZYCHOWICZ
Ukraina: między Polską a Rosją

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Dramat Iny Benity

eprasa.pl fe1ca3b33c

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
19:10

Podsumowanie najważniejszych wydarzeń dnia w Telewizji Republika z udziałem zaproszonych do studia polityków, dziennikarzy, komentatorów i ludzi kultury.

Prowadzą: **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz**

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl fe1ca3b33c

966–1921 / Terytorium i granice państwa polskiego

Wzloty oraz upadki

Jan Matejko „Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Polsce" FOT. WIKIPEDIA/ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Tomasz Stańczyk

Bywaliśmy potężnym państwem i mieliśmy wybitnych władców, ale też słabnącym, niepotrafiącym sprostać sąsiednim krajom

Był rok 966. Książę Mieszko I postanowił się ochrzcić i wprowadzić religię chrześcijańską w swoim państwie. Nie wiemy nic o tym, czy naprawdę doznał duchowej przemiany, pod której wpływem postanowił porzucić pogańską wiarę. Z pewnością natomiast Mieszko dostrzegł ogromne korzyści polityczne wynikające ze chrztu. Akt ten zrównywał go z innymi władcami w chrześcijańskiej Europie i pozbawiał zachodnich sąsiadów państwa piastowskiego pretekstu do najazdów oraz nawracania ogniem i mieczem. Oczywiście nie zapobiegło to zupełnie agresjom ze strony niemieckich możnowładców i cesarza niemieckiego, jednak wojny między chrześcijańskimi władcami były zawsze na porządku dziennym.

W polityce wewnętrznej Mieszka wprowadzenie chrześcijaństwa oznaczało przyjęcie jednej – zamiast wielu wiar pogańskich – religii, wspieranej autorytetem władcy. Był to ważny czynnik integracji państwa wielu plemion. Z drugiej natomiast strony Kościół chrześcijański wspierał panującego – pomazańca Bożego – a to sytuowało go wysoko ponad społeczeństwem. Nie najmniejsze znaczenie miało to, że Kościół oddał księciu do dyspozycji duchownych prowadzących kancelarię władcy.

Chrzest Polski – pierwszy kamień milowy w jej dziejach – stanowił mocną podstawę rozwoju państwa Piastów, a rozwój ten okazał się w pierwszym półwieczu po 966 r. doprawdy imponujący. Niespodziewanie i bardzo szybko pojawił się na mapie Europy liczący się kraj. Ekspansja terytorialna – dzieło Mieszka I – doprowadziła do przyłączenia do jego państwa Śląska, Małopolski, Pomorza.

Pierwsza korona

Nieczęsto zdarza się, by po wybitnym ojcu władzę objął wybitny syn. A tak właśnie się stało. Bolesław Chrobry okazał się godnym dziedzicem Mieszka I, umocnił i rozszerzył państwo, zyskał dla niego uznanie międzynarodowe i szacunek. W 1000 r. odbył się zjazd gnieźnieński. Młody cesarz Otton III przybył do Gniezna, by pomodlić się przy grobie świętego biskupa Wojciecha, zamordowanego przez Prusów. Jednak religijny aspekt pielgrzymki Ottona III został przyćmiony przez polityczne rezultaty zjazdu, niezwykle korzystne dla państwa polskiego. Niemiecki

eprasa.pl fe1ca3b33c

cesarz był wizjonerem: chciał stworzyć obejmujące całą Europę państwo, w którego skład wchodziłyby Galia, Italia, Germania i Słowiańszczyzna. Na czele Słowiańszczyzny widział Bolesława Chrobrego, władcę, który mu wybitnie zaimponował. Znaczącym gestem było podarowanie Chrobremu kopii włóczni św. Maurycego z gwoździem z krzyża Chrystusowego. Ogromne znaczenie dla państwa piastowskiego miało też ustanowienie w 1000 r., w rezultacie zjazdu, metropolii gnieźnieńskiej.

Niestety, cesarz Otton III zmarł niespełna dwa lata po zjeździe w Gnieźnie. Henryk II, jego następca, porzucił politykę współpracy na rzecz podporządkowania sobie Polski. To nieprzemijająca tendencja w dziejach naszego zachodniego sąsiada. Bolesław musiał przez kilkanaście lat odpierać ataki niemieckie, obronił się w 1017 r. pod Niemczą, a rok później zawarł z niemieckim cesarzem traktat budziszyński, na którego mocy państwo Piastów utrzymało Łużyce i Milsko. Później Chrobry zwrócił się na wschód, odebrał Rusi Grody Czerwieńskie i wjechał triumfalnie do jej stolicy – Kijowa. Wyrazem silnej pozycji Polski była koronacja Chrobrego w 1025 r. Polski władca stawał się równy innym monarchom europejskim.

Jednak ta wspaniała koniunktura trwająca przez ponad półwiecze od chrztu Polski skończyła się już wkrótce. Król Mieszko II nie sprostał atakowi Niemców i Rusinów oraz powstaniu pogańskiemu i musiał uciekać z kraju. Następca, Kazimierz Odnowiciel, podzielił los ojca. Ciosem dla państwa były najazd w 1038 r. czeskiego księcia Brzetysława I i utrata Śląska.

Kazimierz wrócił na tron, zresztą przy poparciu cesarza niemieckiego. Po klęskach odbudowywał kraj, stąd nazwany został Odnowicielem. Nie odnowiło się jednak królestwo. Korona na głowie panującego była symbolem siły państwa, a tej brakło za rządów Kazimierza Odnowiciela. Niemniej jednak odzyskał on Śląsk, jakkolwiek był zobowiązany płacić trybut z tej ziemi.

Dobra koniunktura powróciła za czasów Bolesława II Szczodrego, nazywanego też Śmiałym. Śladem swego imiennika – Chrobrego – wyprawił się na Ruś i wkroczył do Kijowa. Wykorzystał zręcznie spór cesarza z papieżem, stając po stronie tego ostatniego, co przyniosło mu koronę w 1076 r. Niestety, wewnętrzne zatargi zakończyły się drastycznie, zamordowaniem – z wyroku sądu królewskiego lub bez niego, na rozkaz Szczodrego, a może osobiście przez króla – biskupa krakowskiego Stanisława. Król uznał go za zdrajcę. W każdym razie biskup był w opozycji do króla. Nie on jeden. Możnowładcy i rycerstwo także byli niezadowoleni z porywczego i bywało, że okrutnego władcy. Bolesław II Szczodry zakończył życie jako wygnaniec.

Szansa na umocnienie się państwa polskiego, powrót do potęgi, którą miało za Chrobrego, skończyła się wraz z upadkiem Szczodrego. Co gorsza, jego następcą był nieudolny Władysław Herman.

Trzeci Bolesław na tronie – Krzywousty – okazał się równie wybitnym władcą jak jego imiennicy. Nie dopuścił do rozpadu Polski na dwa księstwa – jego i przyrodniego brata, Zbigniewa. Rywalizację, także zbrojną, przypłacił Zbigniew oślepieniem. Bolesław odparł niemiecki najazd Henryka V, pamiętny obroną Głogowa w 1109 r., podporządkował sobie Pomorze Zachodnie – jednak

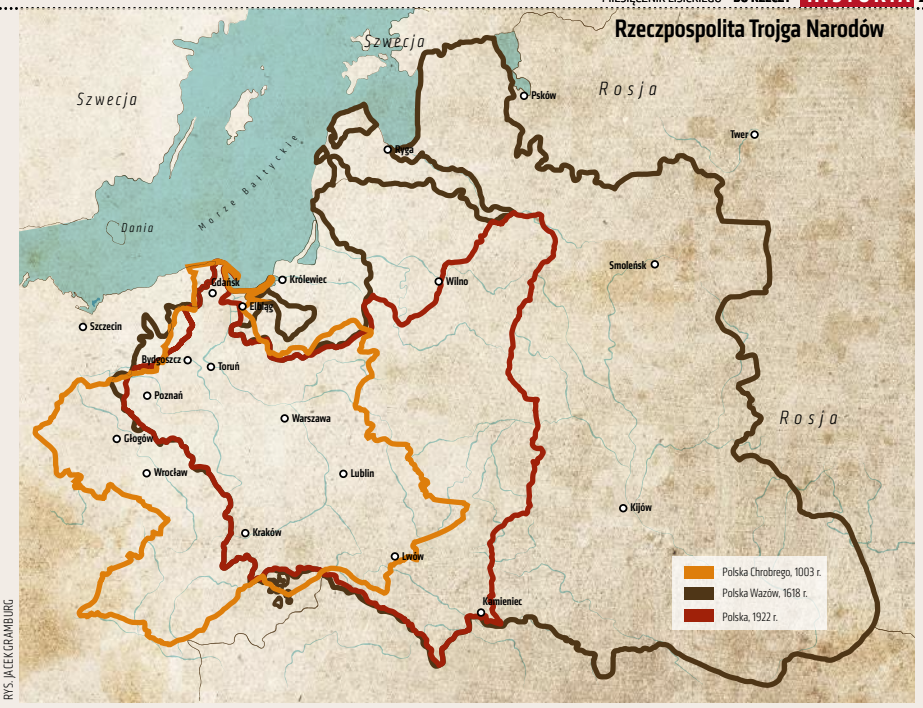

RYS. JACEK GRAMBURG

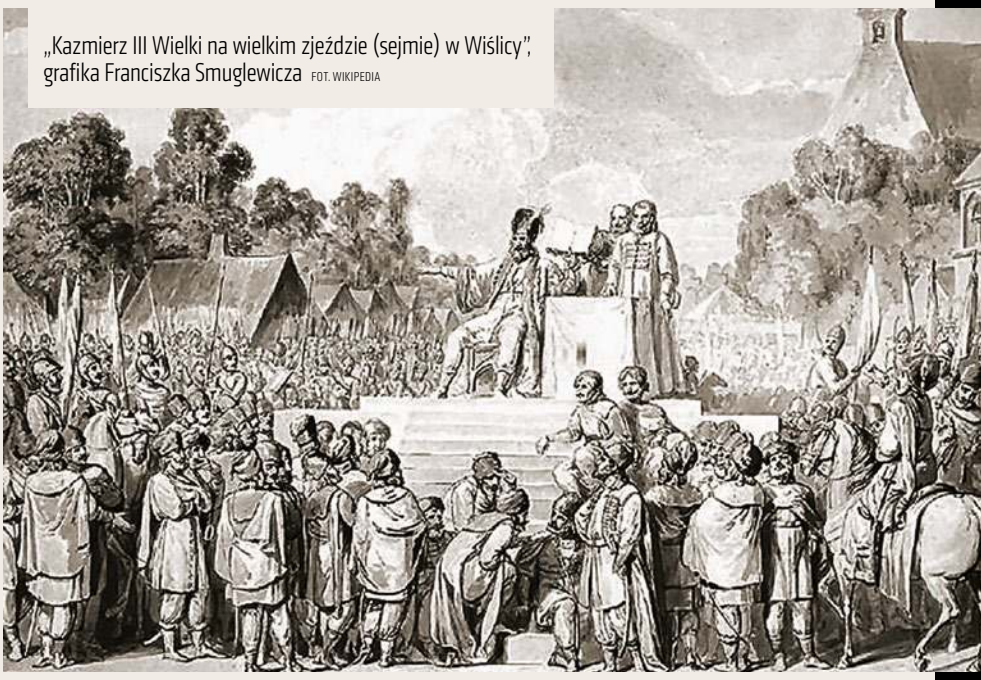
„Kazmierz III Wielki na wielkim zjeździe (sejmie) w Wiślicy", grafika Franciszka Smuglewicza FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl fe1ca3b33c

musiał z niego złożyć hołd cesarzowi – i włączył Pomorze Gdańskie do państwa Piastów.

Testament Krzywoustego, który wydzielał czterem synom dzielnice, doprowadził do rozpadu państwa polskiego początkowo na cztery księstwa, później ich liczba wzrastała.

Nie był to jednak polityczny błąd Krzywoustego. Gdyby chciał zachować integralność państwa, musiałby wydziedziczyć trzech synów, by oddać władzę jednemu. A to z całą pewnością spowodowałoby natychmiastową wojnę domową. Inna to już rzecz, że Bolesław Krzywousty wyobrażał sobie, że jego synowie i ich spadkobiercy podporządkują się władzy każdorazowego księcia seniora, najstarszego Piasta, któremu wyznaczył osobną dzielnicę. Tak się jednak nie stało. Przez niemal dwa wieki książęta piastowscy będą walczyć pomiędzy sobą. Inaczej być zresztą nie mogło.

Rozbicie i jednoczenie

Jednak część tych walk – a także zabiegów dyplomatycznych – miała na celu zjednoczenie ziem piastowskich i w konsekwencji reaktywację królestwa. Próbę taką podjął Henryk Brodaty, książę wrocławski i opolski, który zajął Małopolskę i część Wielkopolski. Rysowała się szansa na przezwyciężenie rozbicia dzielnicowego, jednak wszelkie nadzieje rozwiała w 1241 r. klęska i śmierć następcy Brodatego – Henryka Pobożnego – w bitwie z Mongołami pod Legnicą.

Niemałą rolę w dążeniu do zjednoczenia ziem polskich odegrała legenda o św. Stanisławie, kanonizowanym w roku 1253. Na krakowskie uroczystości przybyło wielu książąt piastowskich. Legenda mówiła, że rozsiekane ciało biskupa cudownie się zrosło i tak też stanie się z ziemiami polskimi. Jednak nie oczekiwano nadprzyrodzonej interwencji, lecz tego, że pojawi się książę, który swoją energią, dyplomacją i siłą przywróci jedność piastowskich dziedzin. Takim okazał się Henryk IV Prawy (Probus), książę wrocławski, mający królewskie ambicje. W 1289 r. opanował Kraków, a jego konkurent, książę z Kujaw – Władysław Łokietek – musiał uciekać z miasta. Jednak dwa lata później Probus umarł, być może otruty.

Księstwo krakowskie przekazał Przemysłowi II, księciu wielkopolskiemu. Ale panowanie Przemysła w Krakowie okazało się tylko chwilowe. Wielkopolski Piast wszedł natomiast w posiadanie Pomorza Gdańskiego, które objął zgodnie z układem z Mściwojem II po jego śmierci w 1294 r. Rok później Przemysł koronował się w Gnieźnie na króla Polski, a to pokazywało jego ambicje do dalszego jednoczenia ziem piastowskich. W następnym roku został jednak zamordowany, prawdopodobnie z inspiracji Brandenburczyków, którzy chcieli opanować Pomorze Gdańskie.

Częściowe zjednoczenie ziem polskich dokonało się na przełomie XIII i XV w., ale jego autorem był obcy monarcha, Wacław II, książę, a następnie król Czech. Wacław opanował Małopolskę w 1291 r., Władysław Łokietek, książę sandomierski i kujawski, musiał uznać jego zwierzchnictwo. Później zaś czeski król zajął Wielkopolskę i Kujawy oraz Pomorze Gdańskie, a swoje sukcesy uwieńczył koronacją w 1300 r. na króla Polski.

Książę Władysław otrzymał miano Łokietka, jednak równie dobrze mógłby być nazwany Władysławem Niezłomnym. Nie poddał się po porażkach w walce o dzielnicę krakowską. Powrócił z wygnania, odzyskał ziemię sandomierską i Kujawy, Pomorze Gdańskie (jednak w 1309 r. zagarnęli je Krzyżacy), opanował w 1314 r. Wielkopolskę. Sześć lat później koronował się na króla Polski w Krakowie. Przywrócenie – już na stałe – monarchii było kamieniem milowym w dziejach Polski. Z ziem piastowskich poza zasięgiem władzy Łokietka pozostawały jednak śląskie księstwa Piastów, faktycznie, a wkrótce formalnie podporządkowane Czechom – z wyjątkiem księstwa świdnickiego do 1368 r. – oraz Mazowsze. Największym zagrożeniem dla Polski Łokietka byli Krzyżacy. W wyniku wojny w latach 1329–1332 opanowali ziemię dobrzyńską i Kujawy.

> **Gdy w 1918 r. Polska odzyskała niepodległość i przekreślono traktaty rozbiorowe, naturalną tendencją było myślenie Polaków o powrocie do granic z 1772 r.**

Panowanie Kazimierza III Wielkiego oznaczało wzrost pozycji Królestwa Polskiego, wzmocnienie jego siły ekonomicznej i militarnej. Państwo Piastów uzyskało znaczenie niewidziane od czasów Bolesława Chrobrego. Do końca życia król Kazimierz usiłował włączyć w granice swego państwa śląskie księstwa Piastów, mimo że formalnie zrzekł się praw do Śląska. Król dążył też do podporządkowania sobie piastowskiego Mazowsza.

W 1340 r., po śmierci Bolesława II, księcia Rusi Halickiej z dynastii Piastów mazowieckich, rozpoczęła się rywalizacja Polski, Litwy i Węgier o dziedzictwo po nim, zakończona ostatecznie włączeniem Rusi Halickiej z Lwowem do Królestwa Polskiego, kilkanaście lat po śmierci Bolesława, w 1387 r., za panowania Jadwigi i Jagiełły.

Unia z Litwą

Rok wcześniej nastąpiło fundamentalne zdarzenie – kolejny kamień milowy w dziejach Polski – koronacja wielkiego księcia litewskiego Władysława Jagiełły i w konsekwencji zawarcie unii polsko-litewskiej. Dwa państwa połączyło wspólne niebezpieczeństwo krzyżackie, a efektem sojuszu było zwycięstwo pod Grunwaldem w 1410 r., trwale osłabiające państwo zakonu krzyżackiego. Choć wielcy mistrzowie z Malborka toczyli nadal wojny z Polską i Litwą, to odnotowywali jedynie porażki. Pokój toruński z 1466 r. za Kazimierza IV Jagiellończyka włączał do Polski Pomorze Gdańskie – ziemię piastowską – i Warmię. Panowanie tego króla zapisało się włączeniem do Korony ziem po mazowieckich Piastach – gostyńskiej, sochaczewskiej, rawskiej (1462, 1476).

Poza zasięgiem możliwości naszego potężnego wówczas państwa było odzyskanie Śląska. Niemniej jednak Kazimierz IV kupił od Piastów śląskich księstwo oświęcimskie, jego następca Jan Olbracht księstwo zatorskie. Spośród księstw śląskich księstwo siewierskie znajdowało się w polskiej orbicie, gdyż należało od XV w. do biskupów krakowskich, a w jej granice zostało włączone w 1790 r.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Jan Matejko, „Unia lubelska" FOT. WIKIPEDIA/MATHIASREX-MACIEJ SZCZEPAŃCZYK

Za panowania Zygmunta I Starego – po śmierci ostatnich Piastów mazowieckich – ostatecznie włączono do korony w 1526 r. pozostałą część Mazowsza z Warszawą.

Unie polsko-litewskie, z ostatnią i fundamentalną unią lubelską w 1569 r., kierowały politykę zagraniczną wspólnego państwa na wschód, gdzie rosło w siłę Wielkie Księstwo Moskiewskie, rywalizujące od XIV w. z Wielkim Księstwem Litewskim, także pod hasłem jednoczenia ziem ruskich. Apogeum konfliktu był wiek XVII. Sprawy układały się najpierw pomyślnie dla Rzeczypospolitej. Okres wielkiej smuty w państwie moskiewskim zapisał się świetnym polskim zwycięstwem pod Kłuszynem w 1610 r., obecnością wojska hetmana Żółkiewskiego w Moskwie oraz desygnowaniem królewicza Władysława na cara Rosji. Rozejm w Dywilinie w 1618 r. oznaczał wprawdzie koniec próby podporządkowana Moskwy Rzeczypospolitej, przyniósł jednak nabytki w postaci ziemi smoleńskiej, czernihowskiej i siewierskiej. Terytorium państwa polskiego – Rzeczypospolitej – osiągnęło największy rozmiar: 1 mln km kw. (trzy razy więcej niż ziemie dzisiejszej Polski).

Katastrofalne skutki przyniosły powstanie Bohdana Chmielnickiego w 1648 r. i krach projektu Rzeczypospolitej Trzech Narodów. Unia hadziacka z 1658 r., ustanawiająca Księstwo Ruskie jako trzeci człon Rzeczypospolitej, nie weszła w życie. Cztery lata wcześniej Chmielnicki zawarł z Rosją ugodę perejasławską, rozpoczynającą ekspansję Moskwy na ziemie ukraińskie. Ekspansję niezakończoną do dziś, czego dowodem są agresje Rosji z lat 2014 i 2022.

Pięć lat wojny ze Szwecją, zakończonej traktatem oliwskim w 1660 r., zapisało się m.in. projektem rozbioru Rzeczypospolitej – traktatem w Radnot (6 grudnia 1656 r.) – pomiędzy Szwecję, księstwo Siedmiogrodu i Brandenburgię, a beneficjentami rozbioru mieli być także książę Bogusław Radziwiłł i – być może – Bohdan Chmielnicki. Rzeczpospolita była na tyle silna, że obroniła swoją niepodległość, przetrwała potop szwedzki oraz w tym samym czasie wojnę z Rosją. Nie na tyle jednak, by wyjść bez strat terytorialnych. Na rzecz Szwecji traciła ostatecznie większość Inflant.

Na wschodzie cofała się przed ekspansją Rosji. W 1667 r. został zawarty rozejm andruszowski, oznaczający utratę województw smoleńskiego, czernihowskiego i połowy kijowskiego, z Kijowem włącznie. Był to pierwszy etap wchłaniania ziem Rzeczypospolitej do Rosji, zakończony ostatecznie III rozbiorem Polski. Świadectwem upadku potęgi państwa była utrata Podola na rzecz Turcji w 1672 r.

Rzeczpospolita wciąż jeszcze potrafiła zademonstrować swoją siłę, czego dowodziło zwycięstwo pod Wiedniem w 1683 r., które antyturecka koalicja zawdzięczała Janowi III Sobieskiemu. Jednak państwo nie było już tak silne, by samodzielnie odebrać Turcji okupowane przez nią Podole. A trzy lata po wiktorii wiedeńskiej Sobieski musiał pogodzić się z potwierdzeniem w traktacie Grzymułtowskiego strat poniesionych w rezultacie rozejmu andruszowskiego.

Ostatnie sto lat istnienia Rzeczypospolitej to dzieje upadku, będącego zarówno skutkiem słabości państwa, braku silnej władzy, jak i agresywności sąsiadów. Historycy spierali się i spierają, co było główną przyczyną upadku państwa polskiego i wymazania go z mapy Europy. Wszelkie próby wzmocnienia władzy królewskiej w Rzeczypospolitej kończyły się niepowodzeniem. Idea wolności obywatelskiej szlachty wygrała z tendencjami absolutystycznymi, a skrajnym przejawem było nadużywanie liberum veto, prowadzące do zrywania obrad sejmu przez jednego tylko posła. Jednak z tej wolności i braku silnej władzy królewskiej korzystała nie tyle szlachta, ile magnaci. To także przyniosło katastrofalne skutki dla Rzeczypospolitej, niezdolnej oprzeć się sąsiednim monarchiom absolutnym. W 1795 r. Polskę na 123 lata wymazano z mapy Europy!

Przeciw imperium

Gdy w 1918 r. Polska odzyskała niepodległość, a traktaty rozbiorowe zostały przekreślone, naturalną tendencją było myślenie Polaków o powrocie do granic z 1772 r. Kolidowało ono jednak z aspiracjami Litwinów i Ukraińców do stworzenia własnych państw. Rozumiał to dobrze Józef Piłsudski, dlatego też – nie zamierzając jednak zamykać Polski w granicach etnicznych – usiłował realizować ideę federacyjną. Była wymierzona przeciw Rosji, niezależnie od jej ustroju, białej czy czerwonej. Piłsudski zauważał, że każda Rosja jest (do dziś!) imperialistyczna. Wówczas zagrażała Ukrainie, Litwie i Polsce, które proklamowały swoją niepodległość w roku 1918.

Polska dzięki zwycięstwu w 1920 r. obroniła swą niepodległość, a wraz z nią niepodległość Litwy. Nie udało się jednak doprowadzić do odrodzenia się państwa ukraińskiego, a był to cel wyprawy kijowskiej Wojska Polskiego i oddziałów Ukraińskiej Republiki Ludowej. Polska była wyczerpana wojną, być może zabrakło społeczeństwu i politykom determinacji do definitywnego rozbicia Rosji bolszewickiej – jeśli rzeczywiście były siły moralne i materialne, by to osiągnąć.

Rok 1920 to zwycięstwo militarne, a także klęska geopolityczna, przypieczętowana traktatem ryskim. Bez niepodległej Ukrainy niepodległość Polski była bowiem niepewna i w dużej mierze z tego powodu została utracona w 1939 r. Jednak i dziś bez niepodległej Ukrainy niepodległość Polski jest zagrożona. Rywalizacja Rzeczypospolitej z Rosją, rozpoczęta w XVI w., trwa nadal. I nadal aktualna jest idea może już nie federacji, ale silnego związku Polski, Ukrainy i Litwy – a oby w przyszłości i Białorusi – mogącego przeciwstawić się nieuleczalnemu imperializmowi rosyjskiemu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

Wjazd Bolesława Chrobrego do Kijowa na obrazie znakomitego malarza Piotra Michałowskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Jacek Banaszkiewicz

Średniowiecze / O potędze (prawdziwej) państwa Piastów

Europejski wyjątek: Polska

Polska wzrosła ex nihilo – kulturowego, państwowego, jakiegokolwiek – co jest w zasadzie fenomenem trudnym do zrozumienia

Portret Polski dają podręczniki, zapominamy więc, że to, co wyłożone i zapamiętane przez nas jako historia ojczysta, jest tylko wyborem zdarzeń zestawianych wedle naszej, choćby i najszczerszej, współczesnej, kulturowo modelowanej koncepcji. Siłą rzeczy

eprasa.pl fe1ca3b33c

liczą się w takim wykładzie rzeczy zwyczajowo rozumiane jako wielkie (wojskowe wiktorie przede wszystkim czy spektakularne osiągnięcia intelektualne) i wprowadzane są one, co bardzo ważne, w odniesieniu do nurtu dziejów o zasięgu bardziej ogólnym, europejskim czy globalnym. Dodajmy zaraz: nie przez nas wytyczanym. W aktywach mamy tedy Grunwald, zwycięstwa nad Rosją, Szwedami, Kozakami, Turkami z Wiedniem jako znakiem firmowym. Cieszymy się Witelonem, Kopernikiem, Skłodowską itd.

Jest więc dobrze, godnie i w koncercie ludów wijemy sobie gniazdko w miarę wygodne, tym bardziej że potwierdzane w ciągu dziejów (aż do dziś) oryginalnymi dokonaniami naszych twórców. Nasza przeszłość jest pomyślana tak (bo tak musi być ze względów wymogu kompatybilności wobec reszty), by potwierdzać swą sprawność w gronie państw silniejszych w Europie i piszących najważniejsze rozdziały jej historii. Chrobry bije imperatora Henryka II, dzielnie stale przeciwstawiamy się niemieckiemu cesarstwu, wychodzimy z państwem na Wschód i stajemy się potęgą. Potem wymyślamy demokrację (wprawdzie szlachecką, ale zawsze), co prowadzi do upadku Rzeczypospolitej. Już pełnym narodem, po stu latach, wybijamy się na niepodległość.

Daleki jestem od krytyki tego schematu – daje sprawne narzędzia walki o miejsce kraju w szerszej europejskiej wspólnocie, bo w takich samych kategoriach, które ten schemat powołują do życia, „pracują" nasi europejscy przyjaciele i przeciwnicy. Ale zarazem przekonany jestem, że nie ma takiego jak Polska państwa na kontynencie, które kiedyś powstało i utrzymało swą egzystencję po dziś dzień, wzrastającego w tak wielkiej pustce kulturowej czy cywilizacyjnej, wznoszonego tak dalece własnymi siłami.

Jeszcze bez nas

Childeryk – ojciec Chlodwiga, francuskiego Mieszka I – gdzieś tak pod koniec V w. żył sobie na rzymskim terenie koło Tournai (dziś Belgia) i całkiem wygodnie, ba – luksusowo, gdy porównamy go z naszym odpowiednikiem. Dwadzieścia kilka koni uświetniło kurhan pochówkowy

„Bolesławowa drużyna", obraz Michała Byliny FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

owego barbarzyńcy, ale znaleziono tam również rzymskie atrybuty władzy: złote pszczoły i pierścień z jego wizerunkiem, oddającym wszakże znak barbarzyńskiej królewskości właściciela przedmiotu – bujne, spadające na barki włosy.

Między Attylą a Aecjuszem symbolicznie umieszczano tę postać, która opowiedziawszy się po stronie rzymskiej, utwierdziła karierę syna jako sprzymierzeńca, a potem pana miejscowej wspólnoty. Przybywając w 507 r. do Tours, Chlodwig zachowuje się niemalże jak rzymski cesarz – w purpurowej tunice z diademem na głowie i awansem na konsula od władcy bizantyjskiego przemierza miasto i rozrzuca, siedząc na swym rumaku, złoto i srebro zachwyconej gawiedzi. Kilkadziesiąt lat później to piękne historiograficzne zdjęcie Chlodwigowego sukcesu sporządził galo-rzymianin Grzegorz, biskup Tours i historyk. I tak się robi państwo – miasta, wodociągi, drogi, intelektualiści i wszystko inne – bierzemy i mamy królestwo Franków. Tylko garnizony barbarzyńców, rozlokowane po miastach – podobnie do tego ruskiego, usytuowanego w pięknej willi w Poznaniu na rogu ulic Skarbka i Rycerskiej, który pamiętam.

I nie trzeba Franków, którzy nabrali politury, długo terminując przy rzymskim limesie, czyli granicy. Spójrzmy na Karantanów, „państwowych protoplastów" Słoweńców. Osiedlając się koło Virunum, stolicy rzymskiej prowincji Noricum, już w VII w. powołali do życia polityczną wspólnotę rządzoną przez książąt, intronizowanych przynajmniej w późniejszych czasach w nieodległym Krnskim gradzie (Karnburgu) na specyficznym obiekcie – odwróconej bazie rzymskiej kolumny. Już w VIII stuleciu, niewiele później od Bawarów, zadomawiano u nich religię chrześcijańską.

Gdy Awarowie stracili na animuszu, po sąsiedzku pojawiło się państwo Winidów, czyli Słowian, którzy pod wodzą Samona, frankijskiego kupca, walczyli z „merowińskim" królem Dagobertem I ok. 630 r. Sztafeta, powiedzielibyśmy, politycznych tworów słowiańskich wykwitających wzdłuż granic państwa frankijsko-karolińskiego rozkręcała się ze stulecia na stulecie, idąc w kierunku północnym. Władztwa w Nitrze Przybiny, „balatońskie" Kocela, Wielka Morawa i wreszcie na przełomie wieków IX i X Czechy. Dla których to Czech także z tej słowiańskiej strony płynęły kulturowe podniety i organizacyjne wzorce, co podnosił wybitny mediewista Duszan Třeštik.

Naszym udziałem w owym wielkim procesie powstawania słowiańskich władztw, który tak przyspieszył po likwidacji u schyłku VIII w. kaganatu awarskiego przez Karola Wielkiego i jego syna Pipina, byłby Grakchus-Krak; szkoda tylko, że jest dzieckiem inwencji wielkiego

eprasa.pl fe1ca3b33c

intelektualisty Wincentego, zwanego Kadłubkiem. Słyszymy, że Krak przybywa nad Wisłę z Karyntii, gdzie – trzeba powiedzieć – nasi zrobili już wcześniej porządek z Rzymianami. Potem sprawy ułożyły się niekorzystnie i bohater zdecydował się podjąć gdzie indziej nową inicjatywę państwowotwórczą – jej efektem były Kraków i polskie królestwo.

Jakkolwiek po upadku Awarów jakieś istotne zmiany mogły dojść do skutku na terenach Małopolski, Śląska czy Serbii, usytuowanej między Turyngią a Odrą – może pojawiła się wspólnota z centrum w Krakowie – to jednak nie w ten nurt dziejowy wpisują się początki państwa gnieźnieńskiego i nie w ten czas. Nie pojawiło się jeszcze długo władztwo, które zbudowało Polskę. Nie znaczy to, że region na wschód od środkowej Odry był jakimś specjalnie upośledzonym pod względem rozwoju „politycznych wspólnot" regionem. Do granic wschodniej połówki pokarolińskiego imperium było wszakże daleko. Cywilizacja bizantyńska natomiast tak daleko nie sięgała.

Gdy jednak państwo Sasów Henryka I i Ottona I – korzystając z kryzysu państwa karolińskiego, przypieczętowanego śmiercią zdolnego i ambitnego króla Lotara (986) i uzurpacją tronu rok później przez dość marnego Hugona Kapeta – połknęło najpierw Lotaryngię (925), perłę w koronie Karolingów, a potem podbiło słowiańskie wspólnoty Połabia i Nadodrza (929, 939, 955), to równolegle na Wysoczyźnie Gnieźnieńskiej, słabo przedtem zaludnionej, dochodzi do wielkiej i dynamicznie rozwijającej się „państwowotwórczej akcji". Giną powoli pograniczne słowiańskie organizmy polityczno-kulturowe, które funkcjonowały już w IX w., a ich przywódcy jeździli do Akwizgranu, Ingelheim czy Frankfurtu, by wysłuchać woli karolińskich władców. Pojawia się za to gracz zza drugiej granicy, jeśli tak rzecz możemy nazwać.

W 929 r. Henryk zdobywa Ganę, stolicę Daleminców-Głomaczy, eliminując władztwo sprzyjające Węgrom w ich wypadach na teren państwa saskiego – buduje gród Miśnię, który jak klin wbija się w krajobraz polityczny regionu; stawia tamę czeskim aspiracjom i otwiera perspektywy na dalsze zdobycze na Wschodzie. Dziesięć lat później margrabia Gero truje w czasie uczty – w jedną noc, uściśla Widukind – prawie 30 książąt serbskich, władających terenami na zachód od Odry. W 950 r. Otto I wasalizuje Czechy, podchodząc pod Pragę, by pięć lat później, zaraz po rozgromieniu Węgrów w pobliżu Augsburga, rozbić Obodrytów nad Rzeknicą.

Drzwi Gnieźnieńskie ze scenami życia i męczeństwa św. Wojciecha

FOT. ADOBE STOCK

Mieszko na scenie

Bardzo dobrze w ten przedział czasowy między 920 a 950 r. wpisuje się powstawanie polańskiego władztwa z naczelnym ośrodkiem Gnieznem, uzewnętrznione budową rozległej i imponującej, co do wielkości grodowych założeń, siatki umocnionych punktów (mamy dendrodaty tych fortyfikacji). I dziś widać gwałtowny niemal wybuch polańskiej organizacji terytorialno-politycznej! Skąd się wzięli ci architekci, zwani później Piastami? Skąd wiedzieli, co i jak robić? Musieli skądś tu przybyć! Może z Wielkiej Morawy, może z Połabia, może od wikingów czy z Kalisza – może! Głośno myślą zwłaszcza archeolodzy, bo w inny sposób nie potrafią kulturowo i historycznie przykryć wydobywanych przez siebie z ziemi artefaktów.

Mieszko tymczasem po raz pierwszy pojawia się na scenie dziejowej ok. roku 963 („Dzieje saskie" z lat 967–973) i nie jest w tym doniesieniu kronikarza Widukinda postacią pierwszoplanową. Autor z uwagą śledzi skomplikowane losy arystokraty, wiecznego buntownika Wichmana Młodszego, walczącego przeciw krewniakowi, królowi Ottonowi I, i stryjowi Hermanowi Billungowi. I kiedy donosi o fakcie kolejnego ułaskawienia tego wielmoży, który wraca teraz do swoich barbarzyńców – Słowian, to dodaje, że Wichman z tymi sprzymierzeńcami napadał też na słowiańskie wspólnoty, które miały dalej swe siedziby. Dalej – z punktu widzenia kronikarza. Otóż wśród tych dalej mieszkających barbarzyńców odnajduje się Mieszko, który aż dwa razy uległ w walce wymienianemu banicie. On i ci, którzy byli pod jego władzą: Słowianie nazywani Licikaviki.

W drugiej linii zatem, od strony państwa saskiego patrząc, sytuowała się wówczas domena Mieszka i tam owe Licikaviki intensywnie pracowały nad umocnieniem swej władzy nad Wysoczyzną Gnieźnieńską i jej okolicami. Co ważne, ten lud wyróżniało miano własne na tyle dobrze znane, że uszczegółowiono zbiorczą nazwę o to miano właśnie. Mieszka wspierał w działaniach brat Czcibor, syn Bolesław gładko przejął po ojcu władzę, co pozwala wnosić, że ród ten nie tylko silnie ugruntował swe panowanie nad wspólnotą, lecz także „przekonał" wspólnotę, że spośród swych przedstawicieli trzeba wybierać władców. Ród dysponował już wtedy zapewne odpowiednią argumentacją ideową, zapewniającą mu owo wyróżnione stanowisko, a pozostałością po niej może być triada imion poprzedników Mieszka, zanotowana przez Galla Anonima (Siemowit, Lestek [od niego Licikaviki-Lestkowice?], Siemomysł) i wiążące się z tymi postaciami wątki fabularno-mitologiczne.

Mieszko i jego ludzie byli obecni w strefie styku słowiańsko-niemieckiego, widzieli zbliżanie się wielkiej machiny państwowej i byli świadomi, że albo się obronią, albo wylądują w wojsku Ottona (tego lub następnego) czy w majątkach feudałów, czy na „rynku" jako niewolnicy. Mnich Benedykt z klasztoru na Górze Sorakte niedaleko Rzymu najpewniej sam widział wojsko ottońskie w 961 r., zauważając jego wieloetniczne oblicze.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Ludy nieznanych języków, a wśród nich ci nazywani Guinula (Winulowie-Słowianie) – dźwigali ładunki, aparat wojenny, ich widok przerażał, a w starciu twardzi jak żelazo – konkluduje Benedykt, wtórując Widukindowi w ocenie siły i wytrzymałości Słowian.

Sukces państwa Ottonów miał też innego rodzaju słowiańskie (kolonialne) korzenie, na co wskazywał Timothy Reuter. Ta eksploatacja ludzi i dóbr, wchłanianych przez zdobywców, zostawiła swój ślad w gorzkich żalach Thietmara, biskupa Merseburga i kronikarza, który rozpamiętując czasową likwidację swego biskupstwa, powiedział: „Zostało rozdzielone jak słowiańska rodzina, której postawiono oskarżenie". Handel ludźmi w państwie saskim był na porządku dziennym. Właśnie tymi z przygranicznej masy słowiańskiej, wchłanianej później przez kresowych panów saskich, i tak dobrze prosperował, że Henryk II, bądź co bądź władca respektujący wyższe moralne zalecenia biskupów, swym autorytetem angażował się w przeciwdziałanie temu procederowi. W imię wszakże tego przede wszystkim, aby chrześcijanie (pauschal, czyli jak leci – „wszyscy" z naszego terytorium) nie trafiali w ręce pogan (czytaj: handlarzy arabskich czy żydowskich).

Ofiarą tych zaleceń padł w 1009 r. Gunzelin, margrabia Miśni, któremu król zarzucił m.in. sprzedawanie chrześcijan żydom. Gunzelin był bratem Ekkeharda, pana kresowego i wielkiej postaci w królestwie niemieckim, z którego córką żonaty był Bolesław Chrobry. Sam zaś wydał za bratanka Gunzelina – Hermana – swoją córkę Regelindę. Gdybym był mediewistą nowoczesnym i po linii, tobym napisał, że wcześni Piastowie to przedstawiciele przedsiębiorstwa dynastycznego do handlu niewolnikami, którym, w dodatku, nazwę państwa (Polonia) wymyślił cesarz Otto III (tak jak Johannes Fried, który, rzec można, w swoim czasie olśnił tzw. naukę polską). Lepiej rozwinięte od państwa gnieźnieńskiego Czechy były nawet wówczas słynne z handlu niewolnikami; przypomnijmy zarzuty kierowane przez św. Wojciecha do księcia Pragi Bolesława. Dobre sto lat później od Galla Anonima słyszymy, że żona Władysława Hermana, Judyta, wykupywała od żydów niewolników-chrześcijan, którzy to ludzie najpewniej dostali się do niewoli w wyniku polskich akcji na Pomorzu. Obrót brańcami czy inaczej zniewolonymi jest bowiem piękną i starą karolińską oraz długo kultywowaną tradycją!

Zwycięstwo Ottona I nad Madziarami na Lechowym polu (Lechfeld 955), mal. Michael Echter FOT. WIKIPEDIA

Polski blitzkrieg

Dotknęliśmy problemu przedsiębiorstwa rodowo-dynastycznego, a ma niniejsze zjawisko też, jak widzieliśmy, klasowe uwarunkowania, by trzymać się toku myślenia historyków postępowych, i ponadgraniczne. Poważnie jednak – rodowi Piastów, dość szybko, może po prostu szybko, udało się nie tylko potwierdzić swe władztwo w bezpośredniej już konfrontacji z cesarstwem, lecz także jego przedstawiciele potrafili znaleźć dla siebie miejsce po drugiej stronie, wśród lokalnej arystokracji i wśród elity władzy (np. mocne wsparcie regentki Teofanu za małoletniości Ottona III). Ukazując w ten sposób, lepiej niż na drodze orężnej, swoją podmiotowość czy pozycję swego władztwa.

Trudniej było mówić o słowiańskich psach czy pogańskich barbarzyńcach. Sprawę czuł Thietmar i nieraz ją wyartykułował ten biskup intelektualista, dzięki któremu zyskujemy kawał dobrej historii naszego kraju. Jedną z tych wypowiedzi przytoczmy przez wzgląd na jej antropologiczną, rzekłbym, wartość. Otóż, deklaruje Thietmar: „Wszystko to, że jego ojciec (czyli Mieszko I) i on sam (czyli Bolesław Chrobry) połączyli się z nami poprzez więzy małżeństw i wielkiej zażyłości, przyniosło więcej złego, jak dobrego, a jeszcze w przyszłości przyniesie".

Przyjęcie chrześcijaństwa otwiera oczywiście kolosalne możliwości przed władztwem pierwszych Piastów. Wszakże na początku XII w. klerka z kręgu cywilizacji karolińskiej, tak teraz nazwijmy Galla, fascynuje las, las i jeszcze raz las, który przykrywa największe powierzchnie kraju. Jasnymi punktami kultury, gdyby sprawę ująć metaforycznie, są postacie biskupów, kleru – partnerów i rozmówców kronikarza. Jego burgundzki kolega po piórze Raoul Glaber na początku XI w. zauważa, że Burgundia okryła się białym płaszczem kościołów – białych romańskich i tyle ich było! Żadne porównania nie są możliwe, tak z interiorem karolińskim, a nawet z jego obrzeżami!

Czesi korzystali najpierw z łagodnej pokarolińsko-bawarskiej formy

eprasa.pl fe1ca3b33c

„Kazimierz Odnowiciel wracajacy do Polski", mal. Wojciech Gerson FOT. WIKIPEDIA

cywilizowania (chrystianizowania), potem zbliżeni via facti do państwa saskiego (jego struktury kościelnej i wojskowej) łatwiej i intensywniej przyswajali organizacyjno-kulturowe rozwiązania łacińskiej, imperialnej formacji. Mieli też bardzo ważny kontakt z nurtem kultury literackiej języka starosłowiańskiego (np. „Legenda św. Wacława" datowana ostatnio na połowę X w.). A po łacinie, tak, już u schyłku X w. mnich Chrystian, wszakże przemyślidzki dynasta, pisze żywot św. Wacława i notuje legendę o Przemyśle oraczu i najstarszych władcach państwa.

Przed Piastami otwierały się natomiast perspektywa saskiej Schwertmission (nawracanie mieczem) i konieczność potwierdzenia swego jeszcze stabilizującego się władztwa. Wiele tu zrobiono. Nasz nieoceniony Thietmar donosi, że Bolesław ostro wziął się za chrystianizację poddanych, za co nawet pochwalił nielubianego władcę, wskazując też na brutalną karę, stosowaną w przypadkach wykroczeń seksualnych, bo za takie uznano wtedy cudzołóstwo i rozpustę. Otóż, gdy chodziło o winnego w tym względzie mężczyznę, przewidział władca i jego ludzie, aby tegoż doprowadzić do pomostu targowego i przymocować doń gwoździem mosznę nieszczęśnika. Miał stać tak na owym miejscu lub wyzwolić się przez odcięcie sobie nożem, który kładziono obok, przybitej części genitaliów.

Wbrew pozorom to nie makabryczna strona spektaklu jest najciekawsza. Pons mercati – czyli most-pomost targu czy targowy – budzi zainteresowanie jako konstrukcja i medium wymierzania sprawiedliwości królewskiej. Takie urządzenia, wynika z tekstu, znajdowały się nie na jednym przecież placu targowym. Z materiału porównawczego wiemy, że były to często schodkowe konstrukcje czy piedestały zwieńczone słupem/kolumną i znaczyły miejsca władzy, przy których dokonywał się w sposób wiążący i formalny kontakt rządzących z miejscowymi wspólnotami. Przy nich ogłaszano wolę suwerena, odbywały się czynności prawne oraz wymierzano kary. I w naszym przypadku wspólnota w tak ważnym punkcie swego terytorium widzi karzącą rękę królewskiej sprawiedliwości, widzi wystawionego na pokaz publiczny winowajcę, aż ten nie skona w ten czy inny sposób. Targ pokazuje też przy okazji swą zapomnianą funkcję: był najbardziej naturalną przestrzenią cyklicznych spotkań wspólnoty i służył nie tylko handlowaniu.

A więc wniosek – Bolesław Chrobry w taki właśnie sposób integrował kraj, rozprzestrzeniał swą moc na lokalne grupy, nie tylko poprzez pobór danin i ludzi do służby wojskowej lub innych prac. Podobnie ręka pańska chroniła drogi, dostępne dla wszystkich, gwarantowała, przynajmniej deklaratywnie, mir wewnątrzkrajowy i powinna umieć zapewnić ludziom dobre urodzaje. Bolesław, a wcześniej Mieszko, integrowali kraj, bo maleńkie państwo gnieźnieńskie, rozciągnięte między Poznaniem, Gnieznem, Gieczem i Kruszwicą-Włocławkiem, szybko wypełniło „pustkę" między Odrą a Wisłą, na południu wchłaniając Śląsk i domenę krakowską z jej głównym grodem, a na północy przebijając się ku Bałtykowi. To jakiś kulturowo-państwowy blitzkrieg! Z pewnością bez siły się nie obyło, napotykano, zwłaszcza na południu, wspólnoty, choć bardzo zbliżone do tej, z której wyszli zdobywcy, ale umocowane we własnych konstelacjach politycznych.

Tak jak Sasom, tak Chrobremu ów szybki przechwyt wielu organizacji wspólnotowych i na tak rozległym terenie zaowocował możliwościami prowadzenia dynamicznej polityki. Zdobywa Pragę, Kijów, prowadzi długotrwałe wojny z Henrykiem II, potwierdza swą obecność po zachodniej stronie Odry, na Łużycach i w Milsku, zdobywa koronę. A stare znajomości ojca i nowe, zadzierzgane przez niego samego, dają krajowi za przyzwoleniem imperatora Ottona III wybitną pozycję w ramach cesarstwa, a krajowi arcybiskupstwo gnieźnieńskie, czyli niezależność od Kościoła niemieckiego, dla owego czasu czytaj państwa. W mitologii politycznej XI stulecia zrodził się nawet pomysł, zanotowany czy podkolorowany może przez „Francuza" Ademara z Chabannes, że Otto III, gdy otworzył grób superwładcy Karola Wielkiego, to wzięty stamtąd jego złoty tron ofiarował Chrobremu.

Złoty tron, złoty sen

Złoty sen ma to do siebie, że nawet jeśli nie za bardzo odbiega od realiów, to z pewnością nie trwa długo. To wielkie nowo narodzone mocarstwo omalże nie zostało wkrótce zdmuchnięte ze sceny europejskiej. Rok 1031 po raz pierwszy dookreślił surowo jego geopolityczne położenie i związane z nim na trwale niebezpieczeństwa. Razem uderzyli na groźnego sąsiada Mieszka II – od zachodu cesarz Konrad II, od wschodu książę Kijowa Jarosław, wspierany przez liczną drużynę wojów norweskich, uciekających na Ruś po klęsce pod Stiklastadir króla Olafa. Później dekompozycja władzy (apostazja pogańska, jak rzecz nazwał Gerard Labuda), najazd księcia Brzetysława i zrabowanie Gniezna (1038/1039?). Gall napisał obrazowo, że dzikie zwierzęta zadomowiły się w tamtejszej katedrze.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Państwo wszakże przetrwało. Kazimierz, syn Mieszka II i Rychezy, dostał od cesarza Konrada II znaczny oddział rycerzy i jak Aragorn (vide: opowieść mistrza Wincentego), czyli dynasta jedynie predestynowany do wskrzeszenia królestwa, rusza do dzieła. Cesarzom Polska jakoś odpowiadała, ale wyraźnie nie w wymiarze Chrobrego.

Państwo przetrwało, odzyskało wigor, a za Krzywoustego zrobiło to, co mogło jeszcze zrobić, zanim do pomorskich spraw na dobre nie włączył się cesarz Lotar, a potem marchia brandenburska. Wbrew obiegowym poglądom państwo zyskało na tzw. rozbiciu dzielnicowym. Mniejsze jednostki polityczne szybciej i łatwiej strukturyzowały się cywilizacyjnie, a dzielnica krakowska ze stolicą kraju, niczyja na stałe, ogniskowała działania książąt i wytyczała trwałą domenę państwową. Od drugiej połowy XII w. ziemie Piastów, jeśli nie nawiązują do standardów kulturowo-państwowych Europy porzymskiej, to przecież widać już wyraźnie, że przejmują i zadomawiają występujące tam cywilizacyjne zjawiska. Zakony cysterskie mnożą się w różnych regionach Polski i to one na dobrą sprawę „monastycyzują" dopiero kraj, z całym kulturowo-gospodarczym wymiarem tego zjawiska. Wykształca się sieć parafialna znaczona lokalnymi budowlami sakralnymi.

Rzymianie nie zurbanizowali nam kraju. Od połowy XIII stulecia rusza wielki ruch lokacji miast i wsi, fundowanych często na tzw. surowym korzeniu, czyli w tym wypadku projekt nie odnosi się do funkcjonującej już wcześniej aglomeracji, lecz stymuluje jej powstanie. Wyposażonej jednak odpowiednio (rynek, ratusz, pręgierz, działki pod zabudowę, obwarowania) pod względem rozplanowania przestrzennego jak ustroju (wójt, sołtys na wsi, ława miejska, prawo własne).

Całkiem szybkie pojawienie się nowych zakonów w Polsce – franciszkanów i dominikanów – skutkuje wielkim ożywieniem różnych zjawisk kulturowych: bracia mniejsi (ci pierwsi) zwracają się do grup nieobjętych jeszcze oddziaływaniami kultury wyższej, chrześcijańskiej. Są mobilni w odróżnieniu od starszych kongregacji, a poprzez kazania i atrakcyjny sposób przekazu treści (tzw. exempla – krótkie życiowe opowieści z morałem) spełniają jakby rolę dzisiejszych mediów, pośrednicząc w obiegu informacji o świecie, historii Kościoła i dziejach kraju. Piszą, czytają i takich ludzi w służbie Kościoła jest coraz więcej.

Bohaterem i ucieleśnieniem tych zmian może być z powodzeniem mistrz Wincenty, zwany Kadłubkiem, biskup krakowski i intelektualista przełomu wieków XII i XIII. Najważniejsze: państwo, ba – królestwo, Lechitów-Piastów otrzymuje wielką i pierwszą legitymację tożsamościową – ideowo-historyczną. Pierwszą, ponieważ wcześniej nie było żadnej próby historiograficznej rodzimej (wyjąwszy kilka wątłych roczników i Galla obcokrajowca). Co lepszy klasztor w strefie pokarolińskiej produkował znacznie więcej, i to z kronikami włącznie, i w krótszych przedziałach czasowych.

Aby zakończyć optymistyczniej – w pierwszej połowie XIII w. społeczność potrafiła już wypromować, własnymi siłami, własnego świętego (to tak, jak gdyby dziś „zrobić" dobry samochód lub nowoczesne urządzenie elektroniczne). Wojciecha dostaliśmy 200 lat wcześniej w prezencie wraz z żywotami obcych piór, podobnie z Pięcioma Braćmi Męczennikami. Jeszcze w 1184 r. Kazimierz Sprawiedliwy musiał sprowadzić do Krakowa relikwie św. Floriana, żeby jakiś patron i wspomożyciel pojawił się w stołecznej wspólnocie i w kraju. Od lat 20. XIII stulecia kiełkuje wszakże kult zabitego przez króla biskupa Stanisława – środowisko katedralne krakowskie umie otoczyć opieką rozwijającą się wokół grobu bohatera dewocję, mnożą się cudowne zajścia, notowane dla pamięci, coraz większa rzesza wiernych uczestniczy w misterium narodzin świętego herosa.

Są już wykształceni ludzie, którzy poprowadzą sprawę kanonizacji w Rzymie, powstają dokumentacja życia i dokonań Stanisława, a także dwie jego vitae – żywoty – pióra dominikanina Wincentego z Kielczy. Jest sukces w 1253 r. i Stanisław rozpoczyna swój wielki i długi kulturotwórczy marsz przez historię Polski (wykształca się z czasem świetna ikonografia męczeństwa tego świętego, powielana w parafialnych kościołach). Także stary bohater, św. Wojciech, doznaje historiograficznego ożywienia, o ikonograficznym jego żywocie, czyli Drzwiach Gnieźnieńskich nie zapominając.

I sam już finisz: Polska wzrosła ex nihilo – kulturowego, państwowego, jakiegokolwiek, co jest w zasadzie fenomenem trudnym do zrozumienia – i potwierdziła się jako trwały udziałowiec europejskiej rodziny państw. W XIV w., uciekając przed krzyżackim zagrożeniem, zwróciła się ku Wschodowi, szukając sprzymierzeńca i korzystając z pewnej pustki politycznej, która zaistniała na Rusi. Pojawiły się całkiem inne i nowe szanse na wielkość. Ale przede wszystkim szanujmy własną niepowtarzalność, nasze zgrzebne (czytaj też: oryginalne) początki i nasz wymiar czasu historycznego!

Listopad, ok. Święta Niepodległości 2022 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Obraz Aleksandra Augustynowicza „Święty Stanisław" FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Jacek Banaszkiewicz jest historykiem mediewistą, profesorem Polskiej Akademii Nauk, Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i Uniwersytetu Warszawskiego.

eprasa.pl fe1ca3b33c

XV–XVII w. / Z prof. Andrzejem Nowakiem o rywalizacji polsko-moskiewskiej

rozmawia Maciej Rosalak

Zmarnowana dziejowa szansa?

MACIEJ ROSLAK: Jeśli kiedykolwiek – to najbardziej za czasów unii Królestwa Polskiego z Wielkim Księstwem Litewskim w państwie Jagiellonów oraz Rzeczypospolitej Dwojga Narodów mieliśmy szansę stworzenia naprawdę potężnego państwa. Pytanie brzmi: Czy mogliśmy pokonać Moskwę i stać się – zamiast niej – wielkim imperium na wschodzie Europy?

PROF. ANDRZEJ NOWAK: W stosunkach Polski z Moskwą zmianę zasadniczą przynosi podjęcie przed rokiem 1340 przez wielkiego księcia moskiewskiego Iwana Kalitę hasła „zbierania ziem ruskich", a więc przypisanie sobie prawa do całego dziedzictwa historycznego wielkiego księstwa kijowskiego. W tym samym okresie, kiedy nacisk Tatarów na Ruś zdecydowanie osłabł, próżnię polityczną na rozległych obszarach od Bałtyku do Morza Czarnego wypełniają Litwini. I wtedy możemy mówić o imperialnej rywalizacji litewsko-moskiewskiej. [...]

W tym czasie Moskwa obejmuje zresztą ćwierć miliona kilometrów kwadratowych, natomiast Litwa – blisko milion. Kiedy unia w Krewie (1385) zbliża Litwę do Polski, automatycznie Korona zostaje wciągnięta w rywalizację litewsko-moskiewską o to, kto trwale zdominuje całość dziedzictwa Rusi. Rozstrzygająca była klęska księcia Witolda nad Worsklą (1399) – gdzie Litwini wraz ze „swoimi" Tatarami i posiłkami polskimi pod wodzą Spytka z Melsztyna przegrali z Moskwicinami i „ich" Tatarami prowadzonymi przez dowódcę ze szkoły Timura Kulawego. To zepchnęło Litwę do defensywy w rywalizacji z Moskwą. Pamiętajmy, że Litwini zawarli z nami unię, aby obronić się przed Krzyżakami. Po Grunwaldzie i odzyskaniu Żmudzi krzyżackie niebezpieczeństwo zażegnali. Gdyby Witold wygrał z Moskwą pod Worsklą, byłby to kres unii polsko-litewskiej. Być może stworzyłby wielkie imperium, ale szybko przekształciłoby się ono w gigantyczną Ruś, w której Litwa roztopiłaby się jak kruszynka cukru w litrze wody. Taka Ruś szybko straciłaby zainteresowanie trwaniem w przymierzu z maleńką Polską. Ale Witold przegrał. Na szczęście! Mówię to zarówno z polskiego punktu widzenia, jak i z litewskiego – bo po zwycięskiej dla Witolda Worskli rychło nie byłoby żadnej Litwy.

Kazimierz Jagiellończyk zawiera z Moskwą (1449) pokój wieczysty, a w latach 70. XV w. nie pomaga Nowogrodowi w starciu z władcą moskiewskim. To jest kolejny kapitalny moment w omawianej tu historii. Jeżeli spojrzelibyśmy na ówczesną mapę, to ujrzelibyśmy państwo Nowogrodu liczące od 1,5 do 2 mln (!) kilometrów kwadratowych, Litwę o powierzchni 900 tys. km kw. i trzy razy mniejszą Moskwę. Skłonni jesteśmy dzisiaj ze spóźnionym entuzjazmem zakrzyknąć: Jeżeli Kazimierz zwycię-

eprasa.pl fe1ca3b33c

Hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz prowadzi szarżę jazdy pod Chocimiem, 1621 r. Mal. Józef Brandt FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

żyłby wraz z Nowogrodem, to miałby imperium aż do Obu na Syberii! Ale nasz mądry król nie chciał państwa ciągnącego się od Krakowa do Obu, bo byłoby ono nader łatwo rozcięte moskiewską siekierą.

Iwan III, właściwy twórca potęgi imperium moskiewskiego, jego następca Wasyl III, a potem Iwan IV Groźny zwykle zwyciężają w wojnach przeciw Jagiellonom. Pięć z nich było napaściami moskiewskimi, a tylko jedna (w latach 30. XV w.) nieudaną próbą kontrofensywy polsko-litewskiej. Mimo wspaniałego zwycięstwa Konstantego Ostrogskiego pod Orszą (1514) Litwa traci niezmiernie ważny strategicznie Smoleńsk oraz (łącznie w pierwszych czterech wojnach) jedną trzecią swego terytorium. Ponad 300 tys. km kw.!

Moskwa, która powiększyła się o to terytorium, niejako wpychała Litwę do ściślejszego związku z Polską, którego wspaniałym ucieleśnieniem stała się unia w Lublinie (1569). Zawierano ją zresztą pod presją kolejnego najazdu moskiewskiego. Wpływowych wielmożów litewskich, którzy opierali się jej zaprzysiężeniu, zmusił do tego Zygmunt August, przekazując ziemie ukrainne – do czego miał prawo jako wielki książę litewski – Koronie Polskiej.

Hasło Rzeczypospolitej Obojga Narodów utrwaliło pisarstwo historyczne, Pawła Jasienicy zwłaszcza. Pamiętajmy, że dla ludzi w XV i w XVI w. istniały w sposób oczywisty dwa państwa: Królestwo Polskie i Wielkie Księstwo Litewskie. W tym czasie inkorporowano też Prusy – z dominującym żywiołem niemieckim i znaczną autonomią. Mieliśmy więc trzeci element w ramach Rzeczypospolitej.

Szlachta ruska zyskała pełne uprawnienie ze szlachtą litewską i polską, nie musząc rezygnować z prawosławia. Nie stanowiła więc jakiegoś elementu drugiej kategorii w Rzeczypospolitej. W drugiej połowie XVI w. nie możemy więc mówić o państwie tylko „obojga narodów".

Niezmiernie ważne przemiany przyniosła przy tym reformacja. Większość szlachty przechodzi wówczas na kalwinizm. W przypadku szlachty prawosławnej, szczególnie na Litwie, był to tylko etap – po jednym pokoleniu czy dwóch – w kierunku katolicyzmu. I to dopiero podgrzewa kocioł kulturowy na wschodzie Rzeczypospolitej: elity zatracają swoją ruską, prawosławną tożsamość. To boli i wywołuje protesty, nawet jeśli dokonuje się bez państwowego przymusu. Drugim czynnikiem – obok reformacji i kontrreformacji – pobudzającym ferment na Rusi jest Moskwa.

Zbroja czerniona oksydowana z XVI w. FOT. MWP

Zygmunt III Waza doprowadza do unii brzeskiej (1596), przyłączającej część Kościoła wschodniego do katolickiego. Wywołuje to konflikty, protesty, w dramatycznych okolicznościach giną nawet ludzie. Spotka się pan profesor z poglądem, że od tej pory prawosławni czują się w Rzeczypospolitej obywatelami drugiej kategorii, a Moskwa tym bardziej może się mienić obrończynią prawosławia. Czy unia brzeska była naszym błędem o znaczeniu dziejowym?

Myślę, że to również jest stereotyp utrwalony głównie przez pisarzy i publicystów historycznych, m.in. przez Jerzego Giedroycia. Stereotyp ahistoryczny. Nie można traktować unii w oderwaniu od – wspomnianego wcześniej – wielkiego eksperymentu z wyznaniami, który zapoczątkował Luter w 1517 r. Okazało się, że tożsamość wyznaniowa nie jest dana raz na zawsze. To dociera szybko na teren Rzeczypospolitej. Po drugie – czego znaczenia nie sposób przecenić – siedem lat przed unią brzeską Moskwie udaje się zainstalować u siebie patriarchat, czyli zyskuje ona potencjalnie zwierzchnictwo nad prawosławnymi mieszkającymi również na terenie Rzeczypospolitej. Konflikt polityczny o dominację nad ziemiami ruskimi był osadzony na kośćcu różnic kulturowych i wyznaniowych. Wprowadzając unię brzeską, Zygmunt III usiłował go rozwiązać na gruncie zachowania pokoju wewnętrznego. Podkreślany nadmiernie fanatyzm kontrreformacji i zapał jezuitów odgrywały w tej kwestii rolę drugoplanową. Zygmunt pragnął przede wszystkim uspo-

eprasa.pl fe1ca3b33c

kojenia prawosławnych mieszkańców, zapewnienia im dotychczasowych obrządków greckich, czyli kultury i obyczaju, a jednocześnie ukrócenia potencjalnie destrukcyjnych dla państwa wpływów Moskwy.

Biskupi rzymskokatoliccy strzegli swoich pozycji w Senacie, ale przypomnijmy też, że w końcu XVI w. większość senatorów świeckich stanowili niekatolicy. Najpotężniejszymi magnatami byli w owym stuleciu prawosławni Konstanty Ostrogski i Dymitr Wiśniowiecki. Radziwiłłowie – niejako dla zachowania swej odrębności litewskiej i rodowej – przyjmują najchętniej (choć nie zawsze) protestantyzm. Możnowładcy zachowują prawo wyboru wyznania, stanowiąc przykład dla szlachty (chłopi oczywiście wyznania nie zmieniali). Król też manipuluje tym prawem, wprowadzając w interesie państwa unię w Brześciu, zresztą na żądanie większości hierarchów prawosławnych na Rusi.

Od tamtej pory przez 40 lat funkcjonował jednak zakaz legalnego funkcjonowania u nas prawosławnego Kościoła. I wtedy Rzeczpospolita rzeczywiście przestaje być rzeczą wspólną dla wszystkich obywateli. Nie da się temu zaprzeczyć. Wspomniany zakaz przyczynił się do podgrzania konfliktów wyznaniowych zamiast do ich uspokojenia, jak chcieli pomysłodawcy.

Wróćmy do konfrontacji z Moskwą sprzed 400 lat. Trzy wyprawy wojenne Stefana Batorego przeciw Iwanowi IV Groźnemu (1579–1582) były zwycięskie pod względem militarnym. Co nam przyniosły?

Korzystny rozejm w Jamie Zapolskim. Jednocześnie ze zwycięstwami rozwija się jednak myśl o pokojowym rozwiązaniu konfliktu z Moskwą. Wschodnie ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego są potwornie pustoszone ogniem i mieczem przez Iwana IV. Wytwarza się coś, co można by nazwać lobby promoskiewskim – nie w znaczeniu agentury Moskwy, ale elit dążących do dogadania się z carem: lepiej „bestię" zaspokoić niż z nią walczyć… Rozważa się możliwość panowania moskiewskiego króla Polski, a nie tylko – jak potem podczas wielkiej smuty – polskiego cara Moskwy. Na dwóch pierwszych elekcjach kandydaturę zgłasza Iwan IV Groźny, a po jego śmierci (oraz Batorego) syn tego cara – Fiodor. Na sejmikach poważnie rozważano te kandydatury. Ci, którzy je popierali, powoływali się na sukces eksperymentu z Litwą: car, jego otoczenie i w końcu cały naród przejmie naszą wiarę, prawa i zwyczaje. Oponenci wskazywali na ogrom państwa moskiewskiego, który spowoduje, że to raczej my zostaniemy zdominowani przez prawosławnych.

„Batory pod Pskowem" – dzieło Jana Matejki

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Podczas wielkiej smuty, dymitriad, a następnie wygranej (1610) wojny zyskaliśmy przewagę, jakiej w stosunkach z Moskwą nie mieliśmy nigdy przedtem ani potem. Zwycięstwo pod Kłuszynem, nasza załoga na Kremlu, carowie Szujscy jako jeńcy składający w Warszawie hołd przed królem polskim… Czy była realna szansa wykorzystania tego momentu w historii, aby wprowadzić bieg wydarzeń w koleiny gwarantujące nam dominację w przyszłości, może na wieki?

A niby jak? Zwolennicy political fiction nie zwracają uwagi na realne dysproporcje. Mieszkańcy Rosji, prawosławni, są znacznie liczniejsi. Mają też silną tożsamość opartą na mocnym połączeniu prawosławia z państwem. Sięga ono już dalekiej Syberii, nawet Oceanu Spokojnego. Masy moskiewskie upatrują od wieków jednego wroga: jest nim łacinnik. Zmiana tego stanu rzeczy byłaby niezmiernie trudna, mimo ówczesnej wiary szlachty w potęgę przykładu polskiej wolności.

Trzeba jednak zaznaczyć, że na początku pierwszej dymitriady większość sejmików podzielała opinię starego kanclerza Jana Zamoyskiego: nie mieszajmy się w te awantury. Król podchodził do tego odmiennie, ponieważ – zajęty sprawą tronu szwedzkiego, którego właśnie został pozbawiony – pragnął zdominować Moskwę i wykorzystać w planach przeciw Szwecji. Ponadto istotnie chciał ziścić marzenie papieża o powrocie całej Rusi na łono prawowitego Kościoła, które Zygmunt III podzielał, aczkolwiek nie tak fanatycznie, jak mu niektórzy przypisują. Przyjął nawet łże-Dymitra. Dymitr Samozwaniec niedługo jednak cieszył się tronem na Kremlu; został obalony podczas buntu, a jego prochy wystrzelono tam, skąd przybył, czyli na zachód…

Zygmunt musiał mieć to w pamięci, kiedy zdecydował się na wojnę z Moskwą, której powodem był wymierzony przeciw Rzeczypospolitej sojusz cara Szujskiego ze Szwecją. Wtedy sejmiki poparły króla, bo zaprzysiągł przecież w pactach conventach, że odbije krainy stracone przez Rzeczpospolitą: Smoleńsk oraz ziemie czernihowską i siewierską. Dalej wiemy: Smoleńsk oblega król, hetman Stanisław Żółkiewski we wspaniałym stylu pokonuje – głównie dzięki husarii – pięciokrotnie liczniejszą odsiecz moskiewsko-szwedzką i wkracza na Kreml. Nie musiał go zdobywać, bo otworzyli przed nim bramy sami Moskwicini.

W układzie, który zawarł z bojarami – przekraczając notabene swoje kompetencje – rezygnował z jakichkolwiek zdobyczy terytorialnych na rzecz Polski i zgodził się, aby nie król, ale królewicz Władysław został carem. Zygmunt wiedział […], że Władysław, nawet jeśli przeżyje, zostanie prawosławnym

eprasa.pl fe1ca3b33c

władcą, niemającym z Polską już nic wspólnego poza pochodzeniem. Bo tego właśnie żądali bojarzy. Poza tym miał ważki argument polityczny: musiał zdobyć Smoleńsk, bo do tego się zobowiązał. Toteż zgłosił własną kandydaturę na tron moskiewski chociażby po to, aby dopilnować interesów Rzeczypospolitej.

Choć hetman odniósł wiekopomne zwycięstwo, to – moim zdaniem – rację w sierpniu 1610 r. miał król. Nie uległ złudzeniom.

A hetman został wpuszczony w 1610 r. na Kreml, stacjonował miesiąc, a pozostawiona przez niego polska załoga przebywała tam jeszcze dwa lata.

Żółkiewski nakazał żelazną dyscyplinę i, jak długo tam był, nie zdarzały się gwałty i rabunki. Ale później rozzuchwaliło się żołdactwo i zaczęły się swawole. A na to nałożył się czynnik religijny, który znakomicie wykorzystali mnisi prawosławni. Przypomina to oblężenie naszej Jasnej Góry, kiedy to dopiero wtedy, w walce z protestancką nawałą szwedzką (i prawosławną moskiewską od wschodu), wykształca się pojęcie „Polak katolik". Czterdzieści pięć lat wcześniej identyczna sytuacja panowała w państwie moskiewskim, najechanym przez katolików – Polaków, jak również przez protestantów – Szwedów, którzy okupowali Nowogród. Przyszedł czas ogromnej mobilizacji i wzrostu owej prawosławnej tożsamości, wrogiej wobec Zachodu.

Tu jest jeszcze jeden ciekawy moment. Polska załoga weszła na Kreml w wyniku umowy z elitą bojarską – przedstawicielami siedmiu najmożniejszych rodów. Ale ta elita nie cieszyła się akurat szerszym poparciem mas w centrum Rosji. Możliwe, że gdyby Polacy nawiązali kontakt z tzw. dworianstwem, odpowiednikiem naszej średniej szlachty, o bardziej stabilne poparcie dla zbliżenia z Polską byłoby może łatwiej: status polskiego stanu szlacheckiego mógł okazać się atrakcyjny (tak to przynajmniej wywodzi najznakomitszy rosyjski badacz smuty, prof. Borys Fłorja). Układ Polski z elitą bojarską okazał się błędnym posunięciem. Pod naciskiem zbuntowanych przez prawosławną agitację „dołów" elita bojarska zaakceptowała w końcu przeciw Polsce wybór nowej dynastii, zapoczątkowanej przez Michała Romanowa.

Straciliśmy więc szansę trwałego zażegnania niebezpieczeństwa ze strony Moskwy przez brak rozeznania politycznego?

Stracilibyśmy ją w każdym wypadku, jeśli nie uszanowalibyśmy prawosławnej tożsamości Rosji, to znaczy – nie pozostawilibyśmy jej taką, jaką była. Wątpię, czy kiedykolwiek mogłaby się stać częścią polsko-litewskiej Rzeczypospolitej.

W tym czasie można już o państwie moskiewskim mówić Rosja. Kozacy w służbie carów od schyłku XVI w. podbijają Syberię i państwo to osiąga coś, co nazywa się głębią strategiczną, której nie jest w stanie pokonać już żaden zdobywca. Polacy byli na Kremlu przez dwa lata, ale Rosji przez to nie zdobyliśmy. Nie zdobyliśmy też jej najważniejszej twierdzy duchowej, którą była ławra Troicko-Siergijewska (taka rosyjska Częstochowa), mimo blisko półtorarocznego oblężenia przez siły polsko-litewskie walczące pod komendą Jana Piotra Sapiehy w ramach wojsk Dymitra II Samozwańca. A Ławra leży zaledwie 80 km na wschód od Moskwy. Czy mogliśmy zdobyć tereny położone kilka tysięcy kilometrów od Moskwy?

Rojenia o tym, że polska załoga na Kremlu miała Rosję u stóp, nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Dlatego bronię decyzji Zygmunta III. Zdobył to, co Polska mogła utrzymać: Smoleńsk i ziemie czernichowską oraz siewierską. Utrzymać i krzewić tam kulturę zachodnią, czyli tworzyć na tych obszarach Europę Wschodnią. Natomiast tworzyć Europę aż do Oceanu Spokojnego – dokąd Kozacy dotarli w latach 30. XVII w. – było ponad nasze siły. A nawet gdyby cała Europa się zawzięła, też nie byłaby w stanie rozszerzyć się od Atlantyku do Pacyfiku.

W pierwszej połowie XVII w. wychodzimy jeszcze z konfrontacji z Moskwą zwycięsko, o czym świadczą umowy w Dywilinie (1618) i w Polanowie (1634) – po zwycięstwach Władysława IV. Narasta jednak problem Zaporoża, który w drugiej połowie XVII w. postawi nas w sytuacji nader niekorzystnej. Usiłowano go rozwiązać dopiero w Hadziaczu (1658), tworząc Księstwo Ruskie, czyli jakby Rzeczpospolitą Trojga (a nie tylko Obojga) Narodów. Dlaczego dopiero wtedy, po tych strasznych rzeziach? Czy wcześniej zabrakło wyobraźni politycznej? Czy, zapytam może ahistorycznie, to my mogliśmy stworzyć imperium w tej części świata?

Aby okiełznać Kozaków, a jednocześnie chronić południowo-wschodnie rubieże Rzeczypospolitej, starano się zorganizować ich w siłę zbrojną służącą państwu. Pierwszą przeszkodą w realizacji tego – wydawałoby się – znakomitego pomysłu był brak centralizacji, stanowiący zarówno siłę, jak i słabość tego państwa. To była absolutnie oryginalna konstrukcja opierająca się na wolności obywateli. Ale wolność przejawiała się również w tym, że obywatele nie chcieli płacić podatków – stąd słabość ekonomiczna państwa, które nie miało pieniędzy na administrację i wojsko. Ani rozbudowanej administracji, ani silnego wojska nie chcieli też sami obywatele, strzegący swej wolności.

I tu tkwi podstawowa sprzeczność między Rzecząpospolitą a imperium, o którym pan wspomniał. Szlachta nie chciała wojny, nie chciała ekspansji oznaczającej zawsze wzmocnienie władzy centralnej, a armia może być użyta na zewnątrz, ale może też wrócić i być użyta do wewnątrz, przeciw naszym wolnościom. A Kozacy, kiedy otrzymują zgodę na posiadanie broni, opowiadają się przy królu. Tak więc siła połączona z królem, a wyodrębniona ze szlachty, może stanowić zagrożenie dla wolności szlachty.

Przyczynił się do tego Władysław IV, który zwłaszcza w latach 40. starał się uczynić z kozactwa siłę służącą celom imperialnym – wojnie z Moskwą, a następnie z Turcją. Potrzebował więc ogromnej armii. Mieli ją stanowić właśnie Zaporożcy, świetnie sprawdzający się przy oblężeniu Kremla w 1617 r., czy przy obronie Chocimia przed Turkami cztery lata później. Powiększenie reje-

eprasa.pl fe1ca3b33c

stru kozackiego oraz konszachty króla z Kozakami poza Sejmem, poza wolnymi obywatelami, budziły najwyższe obawy tych ostatnich. Bali się realizacji polityki, która zamieniłaby Rzeczpospolitą w imperium, odnoszące triumfy na zewnątrz, ale zabierające wolność wewnątrz.

Możemy dziś się na to zżymać, ale to właśnie był powód nieufności do gry, którą Kozacy prowadzili z królem, który lekkomyślnie – jak sądzę – do tej gry wchodził. Czy większość szlachty, która nie chciała dzielić się swą wolnością z innymi, okazała egoizm klasowy, a właściwie – stanowy? Być może. Ale takie były realia, a ich ocena z dzisiejszego punktu widzenia byłaby właśnie ahistoryczna.

Wydaje się, że w poprzednim stuleciu szlachta była mniej egoistyczna, bardziej skłonna do myślenia w kategoriach dobra państwa. Bardziej poczuwała się do odpowiedzialności za jego los...

Od połowy XVII w. rośnie przewaga wielkich fortun magnackich nad równym głosem szlacheckim. Następuje nieuchronna w demokracji oligarchizacja życia politycznego. Oczywiście nie było to dobre wtedy, tak jak nie jest dobre dzisiaj. Kryzys demokracji szlacheckiej wiązał się też z wojnami, które wówczas właśnie pustoszyły kraj, dotykając podstaw gospodarki szlacheckiej. Poza tym zmiany w podziale pracy na kontynencie zepchnęły państwo polsko-litewskie na peryferie Europy. Regres systemu społecznego i gospodarczego powodował zaś zanik śmielszych inicjatyw obywatelskich.

Nie bronię szlachty, która blokowała rozwiązanie problemu kozackiego i – szerzej – chłopskiego, ale jednocześnie wymagania w tej sprawie, które wysuwano z perspektywy wieku XIX czy XX, nie biorą pod uwagę realiów tamtej epoki.

W buncie, który ogarnął Ukrainę w 1648 r., wzięli udział nie tylko Kozacy i chłopi, lecz także sporo szlachty ruskiej. Sam Bohdan Chmielnicki był szlachcicem. Podobnie zresztą hetman Iwan Wyhowski, inicjator porozumienia z Rzecząpospolitą w Hadziaczu ze strony kozackiej...

Tak, ale spora część szlachty ruskiej nie chciała oddać się w ramiona Rosji czy kogokolwiek innego. Ich hasłem było pozostanie w Rzeczypospolitej, w której chcieli tylko wywalczyć lepszą pozycję. Właśnie ich reprezentantem był Iwan Wyhowski. Dotykamy tu problemu nakładania się na kwestie społeczne – kwestii religii, m.in. sporu o unię brzeską. Coraz większy wpływ na ludność ziem ruskich zyskują bractwa prawosławne, działające w Kijowie, we Lwowie i w innych ośrodkach. Dopiero wtedy, w latach 30. i 40. XVII w., pojawia się problem trzeciego narodu; problem wymagający jakiegoś rozwiązania.

> **Od połowy XVII w. widać nieuchronną w demokracji oligarchizację życia politycznego. Oczywiście nie było to dobre wtedy, tak jak nie jest dobre dzisiaj**

Po 1569 r., a więc po przyłączeniu ziem ukrainnych do Królestwa Polskiego, rozpoczyna się tam intensywna kolonizacja, prowadzona w znacznej mierze przez możnowładców małopolskich, i rzeczywiście powstają wielkie majątki, do których przychodzi polski pan. I tak problem społeczno-etniczno-religijny zaczyna się z końcem wieku XVI. Wybucha w latach 30. i 40. następnego stulecia, kiedy na szykanowanie prawosławia nakłada się jeszcze świadomość mocy Kozaków, stanowiących główną siłę uderzeniową w wojnach z Rosją i z Turcją. I wtedy to Władysław IV rzuca im słynną, zgubną w skutkach radę: „Chcecie walczyć o swoją wolność, a nie macie szabli u boku?”.

Wojny z Kozakami, Moskwą i ze Szwedami wyniszczyły Polskę, ale przecież jeszcze w 1660 r. biliśmy armie moskiewsko-kozackie pod Połonką i Cudnowem, podpisywaliśmy wtedy zwycięską ugodę. Rozejm andruszowski (1667) i pokój Grzymułtowskiego (1686) utrwaliły wprawdzie rozbiór Ukrainy między Polskę i Rosję wzdłuż Dniepru, ale Rzeczpospolita nie ulegała jeszcze potężnemu sąsiadowi ze Wschodu. Stało się to jednak faktycznie już w pierwszej połowie następnego wieku, właściwie bez większego oporu. Dlaczego?

Podstawową przyczyną jest degeneracja ustroju. Widzimy ją wyraźnie za Jana III Sobieskiego, a więc króla, który jeszcze potrafił zwyciężać. Obok degeneracji ustrojowej dawały znać zniszczenia wojenne, które da się porównać dopiero z pierwszą wojną światową. O naszych błędach i nieszczęściach można długo mówić.

Ale zwróćmy także uwagę na sąsiadów. Od zachodu i częściowo od południa mamy pokojową granicę, za którą leżą wyższe materialnie państwa Rzeszy niemieckiej. O ekspansji w kierunku Atlantyku nie ma co mówić. Kierunek bałkański blokuje skutecznie Turcja, a wybrzeża Bałtyku – Szwecja. A Rosja właśnie w XVII w. rośnie z 4 mln km kw. do 15 mln km kw. Nie jest to tylko pustkowie; to są ogromne zasoby ekonomiczne i głębia strategiczna, która powiększa się zarówno na wschód, jak i na południe, w kierunku Kaukazu. Potencjał demograficzny i gospodarczy Rosji znacznie przewyższa nasz potencjał i to ona – a nie my – staje się partnerem dla rozwiniętych krajów Zachodu. To Rosja jest pomostem między Europą a Azją, a Polska – tylko między Europą a Rosją. I wreszcie Rosja zyskuje w osobie Piotra I władcę, który – skutecznie, choć barbarzyńskimi metodami – potrafi ten ogromny potencjał własnego państwa uruchomić. Rosja zaś była z natury skazana na wielkość.

Powiedziałbym, że to, co stało się na początku wieku XVIII, było wynikiem kumulacji wszystkich wymienionych wyżej czynników oraz radykalnie nierównorzędnej sytuacji geopolitycznej Polski i Rosji.

Od tej pory – z wyjątkiem 1920 r. – ciągle przegrywamy. Czy jesteśmy skazani na klęskę, tak jak Rosja na wielkość?

Przede wszystkim nie zgadzam się na tak pesymistyczną ocenę rywalizacji polsko-moskiewskiej. Jej skutki są takie, że nie graniczymy z Rosją, ale z Białorusią i Ukrainą. Nie byłoby tych krajów, gdyby wcześniej nie istniała na ich obszarach Rzeczpospolita. Nie wierzę, aby Ukraina zniknęła z mapy. A to, co nadaje rdzeń jej istnieniu, jest dziedzictwem tych kilku wieków zmagań Rzeczypospolitej z Moskwą. I oddziaływania kulturowego, bakcyla wolności, który Polska tam zaszczepiła przez swoje nieżyciowe – jakby się wydawało – i prowadzące do upadku instytucje ustrojowe. ©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jest to skrót autoryzowanych rozmów z prof. Andrzejem Nowakiem publikowanych w numerach 13/2014 i 14/2014 „Historii Do Rzeczy”. Dotyczyły głównie tematu wydanego w ubiegłym roku tomu 5 jego monumentalnych „Dziejów Polski. Imperium Rzeczypospolitej”, czyli lat 1572–1632.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Miejsce pełne wiedzy i emocji — wywiad z dyrektorem Muzeum Dom Rodziny Pileckich

2 listopada 2022 r. w miejscowości Ostrów Mazowiecka zostało otwarte Muzeum Dom Rodziny Pileckich. Zwiedzający mogą się tam zapoznać z dziedzictwem rotmistrza Witolda Pileckiego i jego rodziny. O misji i funkcjonowaniu muzeum porozmawialiśmy z jej dyrektorem Karolem Madajem

W jaki sposób narodziła się idea powstania muzeum i kto był jej inicjatorem?

DYREKTOR KAROL MADAJ: Idea powstania Muzeum zrodziła się w samej Ostrowi Mazowieckiej w 2016 roku i szybko zyskała uznanie oraz finansowe wsparcie ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W jakim budynku ulokowano siedzibę muzeum?

Muzeum mieści się w domu rodziny Marii Pileckiej, z domu Ostrowskiej, czyli żony Witolda Pileckiego. Rodzina Ostrowskich wybudowała ten dom w 1900 r. Przynależał on do gospodarstwa ogrodniczego i sadowniczego rodziców Marii: Konstantego i Franciszki Ostrowskich.

Natomiast Witold Pilecki przebywał tam m.in. w 1931 r., gdy brał z żoną ślub w Ostrowi Mazowieckiej. Maria z dziećmi mieszkała w nim do 1948 r., aż do śmierci Witolda.

Co znajdowało się w tym domu bezpośrednio przed utworzeniem muzeum? Czy zachowały się jakiekolwiek elementy oryginalnego wyposażenia?

Miasto Ostrów Mazowiecka odkupiło ten budynek od ówczesnych właścicieli i przekazało go na siedzibę muzeum. Wnętrza były przearanżowane, jednak zachowała się część oryginalnego wyposażenia, która jest w tej chwili eksponowana, jak biurko, przy którym w święta zbierała się cała rodzina.

Czy udało się państwu pozyskać jakieś pamiątki po Witoldzie Pileckim?

Większość pamiątek znajduje się w posiadaniu rodziny rotmistrza. Udało nam się pozyskać m.in. rodzinny sygnet, lornetkę, pieczęć herbową czy szafę. Te przedmioty są oczywiście cenne, jednak najistotniejsza jest opowieść, w którą je wplatamy.

Wystawa w Muzeum Dom Rodziny Pileckich ma charakter narracyjny. Proszę wyjaśnić, co to oznacza w praktyce.

Dla naszego muzeum najistotniejsza jest narracja. Jeżeli prezentujemy jakieś obiekty, to prezentujemy je razem z towarzyszącą im historią. Jest tak m.in. przy zdjęciu dokumentującym uczucie łączące Witolda i Marię. Na podstawie zachowanych relacji stworzyliśmy z pomocą aktorów słuchowisko, które opowiada o tym uczuciu i ich pierwszym spotkaniu po dwóch latach spędzonych w KL Auschwitz.

Nasza wystawa nie jest opowiadana przez kuratora, a poprzez eksponaty, słuchowiska czy filmy. Warto dodać, że prezentujemy ją po polsku i po angielsku.

Wystawa została zaaranżowana na trzech poziomach. W jaki sposób zostały rozłożone akcenty na poszczególnych poziomach?

Podstawą naszego muzeum jest budynek domu, który dzieli się na trzy poziomy: piwnicę, parter i poddasze. Poziom piwnicy jest poświęcony przede wszystkim Witoldowi Pileckiemu. Parter koncentruje się na Marii Pileckiej, a małe poddasze prezentuje historię już po śmierci jej męża.

Kładą państwo spory nacisk na zaangażowanie młodzieży w działalność muzeum. W jaki sposób objawia się ta współpraca?

Nasze muzeum jest skierowane przede wszystkim do młodzieży. Wyszliśmy z założenia, że jeśli nasza opowieść będzie zrozumiała i wciągająca dla młodych ludzi, to zainteresuje wszystkich. Ekspozycja stanowi połączenie tradycyjnych i bardzo nowoczesnych metod muzealnych. Stosujemy różne formy animacji, w które staramy się wciągać młodzież. Powołaliśmy również Młodzieżową Radę Muzeum, która nam doradza i tworzy własne projekty.

Dlaczego Witold i Maria Pileccy tak trwale zapisali się w historii naszego kraju? Dlaczego warto przekazywać wiedzę o nich następnym pokoleniom?

Witold Pilecki przeszedł do historii ze względu na swój pobyt w KL Auschwitz. Trudno znaleźć porównywalną historię, gdy ktoś z własnej woli dostał się do obozu, stworzył tam siatkę konspiracyjną i napisał pierwsze na świecie raporty o Holokauście, aby świat dowiedział się o tej zbrodni. Jednocześnie cały czas pisał wzruszające listy do swoich najbliższych. Z ich treścią można zapoznać się na naszej wystawie.

Maria, żona Witolda, również była bohaterką. W czasie wojny opiekowała się nie tylko swoimi dziećmi, lecz także dziećmi swoich sióstr i braci, którzy doświadczyli obozów i zsyłek. Historia Pileckich silnie łączy się z teraźniejszością i wciąż jest aktualna. Spójrzmy na wojnę na Ukrainie, gdzie mężowie walczą za ojczyznę, a kobiety opiekują się dziećmi.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl fe1ca3b33c

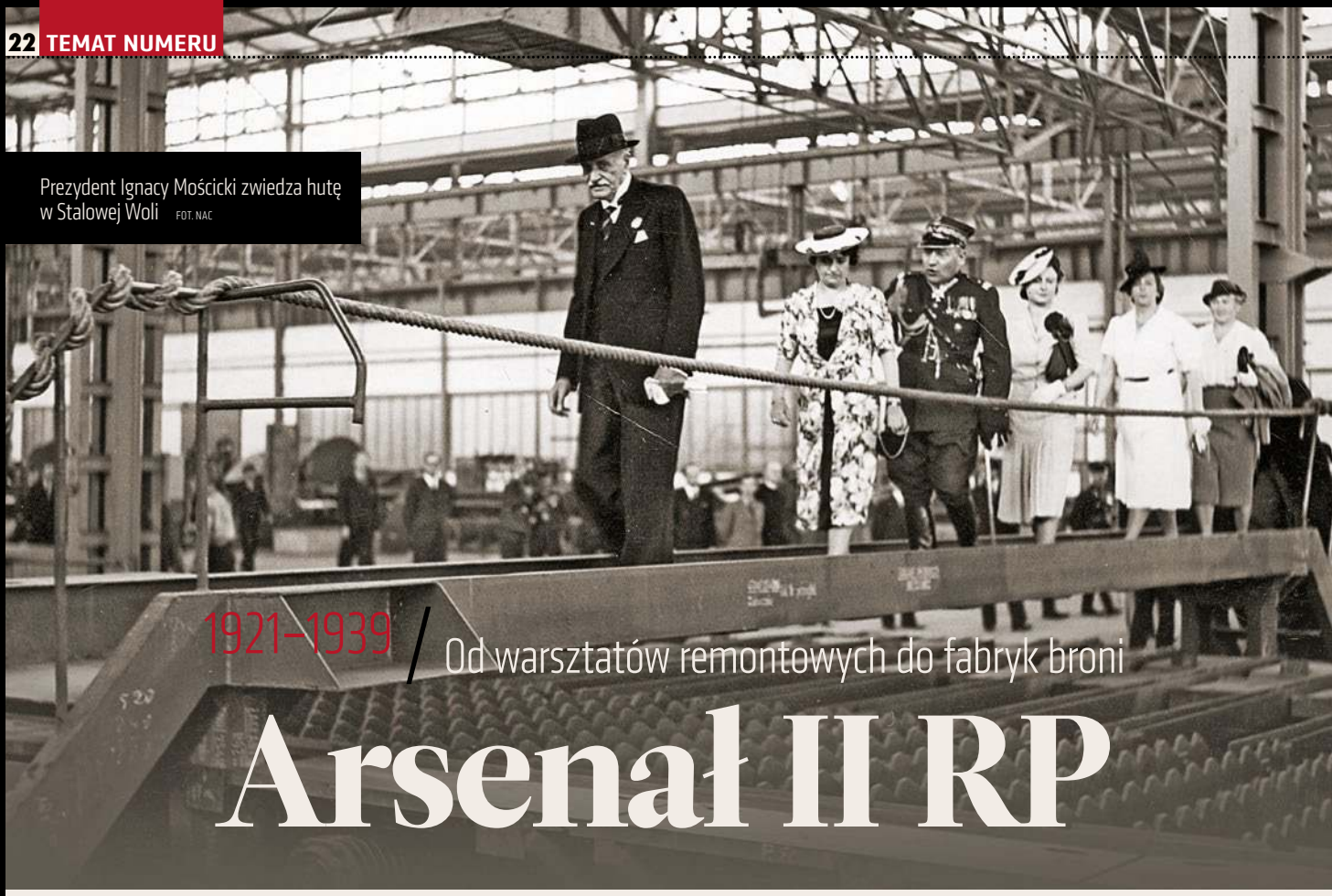

Prezydent Ignacy Mościcki zwiedza hutę w Stalowej Woli FOT. NAC

1921–1939 / Od warsztatów remontowych do fabryk broni

Arsenał II RP

Michał Mackiewicz

Wbrew utartym stereotypom o zacofaniu we wrześniu 1939 r. Wojsko Polskie prezentowało całkiem niezły europejski poziom

Modernizacja uzbrojenia Wojska Polskiego wdrożona w latach 30. nie byłaby możliwa, gdyby nie przemysł zbrojeniowy, budowany tytanicznym wysiłkiem już od wczesnych lat 20. Było to bez wątpienia jedno z największych osiągnięć II Rzeczypospolitej.

Lata 1918–1921 z uwagi na niemal permanentny stan wojenny nie sprzyjały inwestycjom. Szybko rozbudowujące się Wojsko Polskie potrzebowało bojowego sprzętu natychmiast, a jedyną drogą jego pozyskiwania były zakupy za granicą uzupełniane zdobyczą na wrogu. Znaczący wzrost potencjału bojowego nastąpił w chwili przybycia do kraju z Francji tzw. Błękitnej Armii gen. Józefa Hallera w 1919 r. Formacja była w pełni uzbrojona. W owym czasie do Polski spływała zewsząd rozmaita broń, głównie wzorów francuskich i niemieckich.

Bieżących remontów, napraw czy ewentualnych przeróbek, zwłaszcza sprzętu artyleryjskiego i broni strzeleckiej, dokonywano w tzw. zbrojowniach, które rozpoczęły działalność w oparciu o rosyjskie, austriackie i niemieckie warsztaty remontowe z okresu pierwszej wojny światowej. Istniało ich pięć: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Brześciu nad Bugiem i Przemyślu. Z czasem niektóre z nich podjęły produkcję drobnych części potrzebnych do uzupełnienia sprzętu zużytego na froncie, a krakowska Zbrojownia nr 4 uruchomiła na początku lat 20. fabrykację bagnetów.

Cekaemy i visy

W czerwcu 1921 r. Międzynarodowa Komisja Podziału Mienia Poniemieckiego przyznała Polsce urządzenia, zapasy materiałów i plany fabryki broni z Gdańska. Pochodzące stamtąd wyposażenie instalowano w mieszczących się na warszawskiej Woli zakładach Gerlach i Pulst. Przed pierwszą wojną światową produkowano tu obrabiarki, a po zajęciu przez Niemców Warszawy w 1915 r. przeprowadzano naprawy broni. Przedwojenne wyposażenie zostało wywiezione przez Rosjan, ale pozostał doświadczony personel, który w krótkim czasie opanował proces produkcji karabinów. Od lipca 1920 r. oficjalna nazwa zakładów brzmiała: Państwowa Fabryka Karabinów (PFK). Do czasu wykupienia zakładów przez Skarb Państwa w 1927 r. były one dzierżawione od holenderskiej spółki będącej ich formalnym właścicielem.

W 1922 r. rozpoczęto produkcję karabinu wz. 1898 kal. 7,92 mm, wiernie wzorowanego na niemieckim pierwowzorze. Zaniechano jej już kilka lat później, ponieważ w związku z ogólnoświatowym trendem wprowadzania do wyposażenia piechoty broni bardziej poręcznej, tzn. lżejszych i krótszych karabinków (kbk), w 1925 r. uruchomiono produkcję kbk wz. 1898. Poza drobnymi detalami i gorszą jakością cechującą

eprasa.pl fe1ca3b33c

pierwsze partie broni właściwie niczym nie różnił się od kbk niemieckiego. Na początku lat 30. PFK, od 1927 r. wchodząca w skład przedsiębiorstwa Państwowe Wytwórnie Uzbrojenia (PWU), zakończyła produkcję broni indywidualnej – w sumie dostarczyła wojsku ponad 200 tys. kb i kbk.

Odtąd niemal cały wysiłek skupiono na broni maszynowej systemu Browninga, czyli erkaemach wz. 1928 i cekaemach wz. 1930. W drugiej połowie lat 30. uruchomiono także produkcję kilku wzorów karabinów maszynowych na potrzeby lotnictwa. Do 1939 r. dostarczono ponad 20 tys. karabinów maszynowych różnych wzorów.

Poza tym w PFK powstało w drugiej połowie lat 30. kilka tysięcy karabinów przeciwpancernych wz. 1935 – produkcja tej broni odbywała się w specjalnym oddziale o kryptonimie Ur. Chodziło o utajnienie produkcji, a nazwa sugerowała zwykły karabin, tyle że przeznaczony na eksport do jednego z krajów Ameryki Południowej. Konstruktorem karabinu był inż. Józef Maroszek, absolwent Wydziału Mechanicznego Politechniki Warszawskiej. Proch i specjalną amunicję opracowano w zakładach państwowych: Wytwórni Prochu z Pionek i Fabryce Amunicji ze Skarżyska. Nabój 7,92 x 107 mm DS (pocisk ołowiany w płaszczu stalowym) w połączeniu z 1200-milimetrową lufą zapewniały pociskowi prędkość wylotową ok. 1270 m/s. Na dystansie 300 m wybijał on 20-milimetrowy otwór w pancerzu o grubości 15 mm. Było to aż nadto na lekkie czołgi Wehrmachtu, o czym Niemcy przekonali się we wrześniu 1939 r.

Od 1927 r. produkcję indywidualnej broni strzeleckiej kontynuowano w Fabryce Broni (FB) w Radomiu założonej w 1923 r. Z początku były to kbk wz. 1898, ale od 1930 r. ruszyła produkcja udoskonalonego kbk wz. 1929. Uznaje się go za jedną z najlepszych broni wśród ogromnej rodziny 98. Do 1939 r. Wojsko Polskie otrzymało 264 tys. karabinków tego wzoru. W drugiej połowie lat 30., w związku z nowymi poglądami na taktykę walki piechoty, która powinna być zdolna do prowadzenia skutecznego ognia na dystansie ponad 1000 m, w FB uruchomiono produkcję klasycznego karabinu (wz. 1898a), którego zasięg strzału, ze względu na długość lufy, był dużo większy. Szacuje się, że do września 1939 r. mury fabryki opuściło ich ok. 70 tys. Warto wspomnieć, że ponad 140 tys. kbk wz. 29 wyeksportowano za granicę.

W 1936 r. w FB uruchomiono seryjną produkcję visa wz. 1935 – pistoletu, którego prototyp powstał w PFK. Do wybuchu wojny wojsko odebrało ich prawdopodobnie ok. 48 tys. sztuk. Poza kbk, kb i pistoletami radomska wytwórnia dostarczyła WP także kilkaset tysięcy bagnetów wz. 1928/29, a Policji Państwowej ponad 8 tys. rewolwerów Nagant.

Pepance i zenitówki

Największym zakładem zajmującym się produkcją sprzętu artyleryjskiego i amunicji działowej było Towarzystwo Starachowickich Zakładów Górniczych SA. W dwudziestoleciu międzywojennym, dzięki państwowym kredytom, spółka przeszła gruntowną modernizację, ukierunkowując się głównie na produkcję dla wojska. Powstały dwa działy: armatni oraz amunicji artyleryjskiej. Doświadczenie zdobywano, remontując i modernizując armaty polowe starszych typów: francuskie kal. 75 mm i rosyjskie 76,2 mm. W drugiej połowie lat 20. powstało Biuro Konstrukcyjne, a wkrótce potem uruchomiono produkcję haubic kal. 100 mm i armat dalekonośnych kal. 105 mm oraz, w drugiej połowie lat. 30, armat przeciwlotniczych (plot.) kal. 40 mm (na licencji szwedzkiego Boforsa).

Ostatnim typem działa wdrożonym do seryjnej produkcji była armata plot. kal. 75 mm. Zmontowano zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy, co starczyło na wyposażenie dziesięciu czterodziałowych baterii. Armata nie ustępowała najlepszym konstrukcjom zagranicznym. Chwalono osiągi balistyczne, doskonałą stabilizację w trakcie prowadzenia ognia. Lufa wytrzymywała 850 strzałów, a szybkostrzelność praktyczna sięgała 10–12 strz./min. Ogniem baterii kierowano za pomocą tzw. aparatu centralnego z Polskich Zakładów Optycznych.

Myśliwce PZL P.11 z Państwowych Zakładów Lotniczych powstałych w 1928 r. FOT.NAC

Tuż przed wybuchem wojny produkcję sprzętu artyleryjskiego podjęto m.in. także w Zakładach Południowych w Stalowej Woli, jednej z największych państwowych inwestycji realizowanych w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP). Powstanie COP związane było z procesem modernizacji WP podjętym w 1936 r. (tzw. plan sześcioletni), a także koniecznością zwiększenia

eprasa.pl fe1ca3b33c

możliwości produkcyjnych na wypadek wojny. Rozbudowywano funkcjonujące już zakłady oraz planowano budowę kolejnych dla potrzeb produkcji amunicji różnych kalibrów, materiałów wybuchowych oraz broni. Wśród tych ostatnich wymienić wypada prywatną fabrykę obrabiarek w Sanoku, która w kooperacji z krakowską firmą Zieleniewski zdołała uruchomić na krótko przed wojną produkcję najcięższych karabinów maszynowych (nkm) kal. 20 mm – opracowano kilka ich wersji: do uzbrojenia czołgów, samolotów i jako broń przeciwlotnicza.

Znaczący udział w produkcji zbrojeniowej miały firmy prywatne. Do czołowych przedsiębiorstw należało Stowarzyszenie Mechaników Polskich z Ameryki SA w Pruszkowie, skąd pochodziły armaty przeciwpancerne wz. 1937 kal. 37 mm – licencyjne boforsy. Pruszkowski zakład szybko opracował całą dokumentację i w rekordowo krótkim czasie uruchomił montaż dział. Podzespoły pochodziły od podwykonawców (np. tarcze i odkuwki luf z Huty Baildon-Pokój, celowniki zaś z PZO). W toku produkcji konstrukcję poddano wielu drobnym modyfikacjom.

Pruszków był głównym producentem – do wybuchu wojny zdołał dostarczyć blisko tysiąc armat – ale nie jedynym. Nieco ponad 200 wyprodukowała rzeszowska filia poznańskich zakładów H. Cegielskiego SA, która także sprowadzała podzespoły od różnych krajowych kooperantów. W krakowskiej firmie Zieleniewski, Fitzner, Gamper – Zjednoczone Fabryki Kotłów, Maszyn i Wagonów SA produkowano granatniki piechoty wz. 1936 kal. 47 mm. Była to oryginalna polska konstrukcja opracowana przez zespół inżynierów z Instytutu Techniki Uzbrojenia. Liczbę tych granatników w WP szacuje się na 4 tys. sztuk.

Armaty przeciwlotnicze kal. 75 mm ze Starachowic FOT. MUZEUM WOJSKA POLSKIEGO

Czołgi z Czechowic

Produkcja wozów bojowych, czyli samochodów pancernych, czołgów lekkich oraz rozpoznawczych (tankietki), była domeną Państwowych Zakładów Inżynierii w Warszawie. W 1930 r. do przedsiębiorstwa włączono Zakłady Mechaniczne „Ursus" z Czechowic. Stąd właśnie pochodziły słynne tankietki, czyli czołgi rozpoznawcze TK-3 i TKS, których produkcję uruchomiono na początku lat 30. Konstrukcję oparto na angielskim pojeździe Carden-Lloyd Mk VI, ale wprowadzono wiele oryginalnych modyfikacji i udoskonaleń. W 1939 r. stanowiły najliczniejszy sprzęt pancerny WP; ich uzbrojeniem były karabiny maszynowe, ale ponad 20 otrzymało nkm kal. 20 mm krajowej produkcji.

Najlepszym pojazdem pancernym WP był czołg lekki 7TP. Opracowany na bazie angielskiego Vickersa E został gruntownie przeprojektowany przez naszych inżynierów, dzięki czemu we wrześniu 1939 r. był równorzędnym przeciwnikiem dla lekkich czołgów niemieckich. Nowa, produkowana w kraju jednostka napędowa – wysokoprężny, chłodzony cieczą silnik Saurer-Diesel VBLDb (PZInż. 235) o mocy 110 KM – zapewniła mu lepsze osiągi, zwłaszcza podczas jazdy w terenie. Pierwsze 7TP produkowano w wersji dwuwieżowej z karabinami maszynowymi. Walory bojowe wzrosły z chwilą opracowania wersji jednowieżowej (produkcja od 1937 r.). W tym wypadku zasadnicze uzbrojenie stanowiła armata ppanc. Boforsa. Czołg wyposażono w nowatorski peryskop konstrukcji inż. Gundlacha. Do 1939 r. wyprodukowano ok. 140 czołgów 7TP, głównie w wersji jednowieżowej.

Pojazd z czechowickich zakładów stanowił namacalne świadectwo modernizacji armii, powstał w wyniku rodzimych koncepcji i przy udziale polskiej myśli inżynierskiej. Niestety, dostrzegając przebojowość i ofensywne walory czołgów jako doskonałego narzędzia do ataku ze skrzydeł i wyjścia na tyły przeciwnika, ograniczano jednocześnie ich rolę do zadań stricte taktycznych. Broni pancernej nie traktowano w Polsce jako formacji przeznaczonej do wykonywania samodzielnych działań o charakterze operacyjnym, ale – podobnie jak np. we Francji – jako wsparcie dla piechoty i kawalerii.

Poza wozami bojowymi w Czechowicach produkowano także wiele innych, w tym ciągniki artyleryjskie na podwoziach tankietek (C2P) i 7TP (C7P). Uzupełnieniem arsenału pancernego było 10 pociągów. Ten rodzaj broni znalazł stosunkowo szerokie zastosowanie w latach 1918–1921 i to na ogół z dobrym skutkiem. W 1939 r. nasze pancerki, modernizowane w ciągu całego dwudziestolecia, dysponowały sporym potencjałem bojowym – ich atutem były silna artyleria, mocne opancerzenie i duża szybkość. Były niestety bezradne wobec ataków lotnictwa.

Biorąc pod uwagę skromne możliwości finansowe II RP, wystawienie do boju kilkuset pojazdów bojowych (ok. 800, włącznie z samochodami pancernymi), także względnie nowoczesnych, było imponującym osiągnięciem.

„Jedenastki" z Okęcia

Ogromnym osiągnięciem niepodległej Polski było zbudowanie przemysłu lotniczego. Z początku oparto się na licencjach zagranicznych, ale z czasem zaczęto tworzyć rodzime, oryginalne konstrukcje. Najważniejszym, choć nie

eprasa.pl fe1ca3b33c

jedynym wytwórcą samolotów były Polskie Zakłady Lotnicze – Wytwórnia Płatowców powstałe w 1927 r. Produkowano tu m.in. myśliwce P.11. W chwili przyjęcia do uzbrojenia, czyli w połowie lat 30., samolot ten należał do najlepszych maszyn myśliwskich. Był kolejnym ogniwem w łańcuchu rozwojowym konstrukcji opracowanej pod koniec lat 20. XX w. przez inż. Zygmunta Puławskiego.

Wykorzystano w nim wiele nowoczesnych rozwiązań konstrukcyjnych oraz technologicznych. P.11, podobnie jak wcześniejszy P.7, miał oryginalny układ górnopłata o płacie przypominającym skrzydła mewy (stąd określenie „mewi płat"). Samolot miał całkowicie metalową konstrukcję wykonaną z duraluminium, stopu stosowanego od ponad dekady, ale do początku lat 30. tylko w ograniczonym zakresie. Dzięki użyciu takiego materiału – duraluminium ma taki sam ciężar właściwy jak aluminium, ale znacznie większą wytrzymałość – wzrastała odporność na wpływ warunków atmosferycznych. Samolot był ponadto mniej wrażliwy na uszkodzenia zadane pociskami i odłamkami oraz – co najważniejsze – zdecydowanie lepsze właściwości aerodynamiczne.

W drugiej połowie lat 30. PZL miały swoją siedzibę na warszawskim Okęciu. Produkowano tu wówczas bombowce P.37 Łoś – najlepsze maszyny, którymi polskie lotnictwo dysponowało w 1939 r. Samolot miał małe rozmiary i cechował się świetnym współczynnikiem ładunku użytecznego (zwłaszcza w odniesieniu do uzbrojenia bombowego) do masy podstawowej – był w stanie unieść ładunek niemal równy własnej masie.

Krótka kołdra...

Wymienione przedsiębiorstwa były projektami sztandarowymi, ale poza nimi istniało wiele innych – zarówno państwowych, jak i prywatnych – które specjalizowały się w fabrykacji rozmaitego materiału wojskowego: sprzętu łączności, optycznego, taborowego, wyposażenia indywidualnego, saperskiego, materiałów wybuchowych, rozmaitych samochodów i pojazdów specjalnych etc. Biorąc pod uwagę okoliczności, w tym biedę, zacofanie gospodarcze i spustoszenia po pierwszej wojnie światowej, jest oczywiste, że budowa przemysłu zbrojeniowego była gigantycznym i bezprecedensowym dziełem tamtego pokolenia Polaków.

Generał Aleksander Litwinowicz, w latach 30. odpowiedzialny m.in. za budowę COP, wspominał: „W dziale uzbrojenia od zakończenia wojny polsko-bolszewickiej uzyskano bardzo poważne wyniki, biorąc pod uwagę środki materialne, którymi dysponowało wojsko, stan i różnorodność broni [...]. Zaopatrzenie wojska, w broń nowoczesną, jednolitą, przezbrojenie wszystkich dywizji objętych planem zostało dokonane w ostatnich latach [do poł. lat 30. – przyp. M.M.]. W toku była sprawa zaopatrzenia wojska w broń przeciwpancerną, przeciwlotniczą, ciężką i najcięższą. Prace powyższe nie były jeszcze zakończone [...]. W dziale przemysłu wojennego, a więc w dziale produkcji broni, amunicji, lotnictwa, broni pancernej, sprzętu saperskiego i łączności, wojsko dokonało olbrzymiego wysiłku, zważywszy na stan początkowy i rozporządzane środki. Przemysłu wojennego w Polsce z chwilą powstania państwa niepodległego nie było [...]. W ciągu 18-tu lat trzeba było stworzyć przemysł, rozpoczynając od punktu zerowego".

Czy można było zrobić więcej? A jeśli tak – to czy miałoby to wpływ na przebieg kampanii 1939 r.? Pierwsze pytanie jest dyskusyjne. Owszem, nie ustrzeżono się błędów, a tarcia i rywalizacja w wojsku oraz sprzeczne koncepcje odnośnie do kierunków jego rozwoju przekładały się na opóźnienia i chwiejność niektórych programów zbrojeniowych. Widać to było zwłaszcza w lotnictwie – perspektywicznym na początku lat 30., a tak słabym i zacofanym pod koniec dekady (z wyjątkiem Łosia). Wyśrubowane wymagania techniczno-odbiorcze na nowo produkowany sprzęt także miały swój wpływ – część uzbrojenia można było produkować prościej i taniej, a więc także nieco szybciej.

Ale kołdra i tak była za krótka. Polska była państwem na dorobku i nie było jej stać na równoległy i szybki rozwój wszystkich rodzajów broni. W realiach 1939 r. nawet kilkaset dodatkowych armat ppanc. Boforsa, kilka nowych batalionów 7TP lub więcej łosi nie mogłoby odmienić losów wojny. Co najwyżej przedłużyłyby agonię o kilka tygodni. II RP nie mogła samotnie wygrać pojedynku z dwoma największymi potęgami ówczesnego świata. A wbrew zapewnieniom swoich sojuszników musiała walczyć w osamotnieniu.

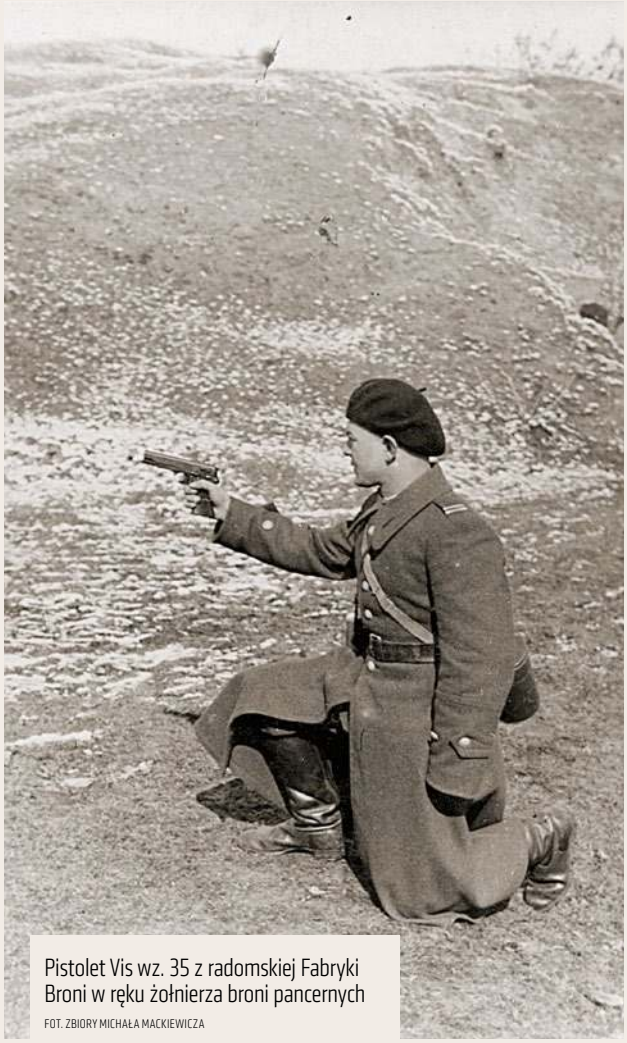

Pistolet Vis wz. 35 z radomskiej Fabryki Broni w ręku żołnierza broni pancernych

FOT. ZBIORY MICHAŁA MACKIEWICZA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

Tankietki

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Kilkaset tankietek TK–3 i TKS stanowiło podstawę polskiej broni pancernej w 1939 r. Nie zabrakło ich na żadnym odcinku wrześniowego frontu

W 1929 r. z wydzielonej części Departamentu Inżynierii Ministerstwa Spraw Wojskowych utworzono Szefostwo Broni Pancernej. Decyzja związana była z rozwojem konstrukcyjnym czołgów za granicą i postępem prac koncepcyjnych dotyczących ich użycia. Broń pancerna miała zostać uwzględniona w procesie modernizacji Wojska Polskiego. Jednak zdobywający dopiero doświadczenie krajowy przemysł zbrojeniowy nie był w stanie zaprojektować i wyprodukować od podstaw nowoczesnego wozu bojowego. Punktem wyjścia musiały stać się konstrukcje obce.

W latach 30. podstawą polskiej broni pancernej stało się kilkaset tankietek TK-3 i TKS, nazywanych – nieco na wyrost – czołgami rozpoznawczymi. We wrześniu 1939 r. większość z nich rozdzielono pomiędzy dywizje piechoty (samodzielne kompanie czołgów rozpoznawczych – 13 wozów) i brygady kawalerii (szwadron 13 tankietek wchodzący w skład dywizjonu pancernego). Konstrukcję oparto na angielskim wozie Carden-Lloyd Mk VI, ale wprowadzono wiele oryginalnych modyfikacji i udoskonaleń. Przede wszystkim zastosowano całkowite opancerzenie (w angielskich wozach przedział bojowy był odkryty od góry), nowe zawieszenie oraz skrzynię biegów.

Pierwsze wozy, czyli TK-3 (na zdjęciu), rozpoczęły służbę w 1931 r., dwa lata później pojawiła się udoskonalona wersja – TKS. Czołg otrzymał lepsze opancerzenie (płyty grubości do 10 mm, w TK-3 do 8 mm), które zabezpieczało od zwykłych pocisków karabinowych na każdą odległość, a od pocisków przeciwpancernych na odległość powyżej 200 m, zastosowano też silnik Polski Fiat 122B w miejsce importowanego forda oraz obrotowy peryskop konstrukcji inż. kpt. R. Gundlacha, który umożliwiał obserwację pola walki w zakresie 360 stopni bez potrzeby odwracania się. Nowy pojazd miał też zmieniony kształt przodu kadłuba oraz nowe jarzmo dla kaemu. Obie wersje tankietek uzbrajano w jeden karabin maszynowy Hotchkiss wz. 25 kal. 7,92 mm, ale w kilkudziesięciu pojazdach zamontowano najcięższy karabin maszynowy krajowej konstrukcji wz. 38FK kal. 20 mm.

Tankietki uznawano niegdyś za substytut „prawdziwych" czołgów i konstrukcję zupełnie nieprzydatną w walce z bronią pancerną wroga. Z perspektywy czasu ocena ta wydaje się niesprawiedliwa. Przede wszystkim nie były one żadnym kuriozum. Wozy tego typu istniały w niemal wszystkich armiach. Także tych uchodzących za nowoczesne. Owszem, w Polsce proporcje były może zachwiane (duża liczba tankietek w porównaniu z pojazdami z uzbrojeniem artyleryjskim), ale pojazdy te były widomym znakiem postępującego procesu motoryzacji armii. I miały niepodważalne zalety. Małe rozmiary oraz dobre właściwości manewrowe predestynowały je do działań rozpoznawczych. Dobrze sprawdzały się w zasadzkach i szybkich wypadach. Zapewniały istotne wsparcie piechocie, pełniąc rolę mobilnego stanowiska cekaem. ©℗

eprasa.pl fe1ca3b33c

„Mors”

W drugiej połowie lat 30. polski Departament Piechoty zainteresował się pistoletami maszynowymi. Zamierzano uzbroić nimi m.in. dowódców drużyn w kompaniach zwiadowczych, strzeleckich i dowódców działonów przeciwpancernych. W związku z tym inżynierowie Piotr Wilniewczyc i Jan Skrzypiński, twórcy pistoletu Vis wz. 35, przystąpili do prac nad rodzimym wzorem. Projekt oparli na niemieckim EMP kal. 9 mm zbudowanym przez Heinricha Vollmera. Był to klasyczny peem działający na zasadzie odrzutu zamka swobodnego, zaopatrzony w drewnianą osadę z karabinową kolbą i pudełkowy magazynek dołączany z lewej strony. Po wielu miesiącach prac, jesienią 1938 r., Wilniewczyc i Skrzypiński zaprezentowali peem spełniający wymagania Departamentu.

MORS wz. 39 kal. 9 mm działał na zasadzie odrzutu zamka swobodnego i posiadał dwa języki spustowe: do ognia ciągłego i pojedynczego. Zasilany był z 24-nabojowego magazynka pudełkowego dołączanego od dołu. W przednim chwycie znajdowała się teleskopowa podpórka, mająca stabilizować broń przy strzelaniu serią. Zapewniono możliwość szybkiej wymiany lufy w warunkach polowych oraz zastosowano pneumatyczny ogranicznik szybkostrzelności. Po ostatnim strzale zamek zatrzymywał się w tylnym położeniu; jednocześnie następowało samoczynne zwolnienie pustego magazynka, a po włożeniu naładowanego, zwolniony z zaczepu zamek zaskakiwał na dźwignię spustową – broń była gotowa do strzału. Do wybuchu wojny zdążono wyprodukować niecałe 40 sztuk testowych. ©℗

Granatnik wz. 36

Granatnik wz. 36 kal. 47 mm był bronią przeznaczoną do prowadzenia ognia stromotorowego na dystansie od 100 do 800 m. Strzelał przy stałym kącie podniesienia lufy, a zasięg ustalano poprzez regulację ciśnienia gazów prochowych. Opracowano go w Instytucie Techniki Uzbrojenia na podstawie granatnika wz. 30, którego kilkaset sztuk wykonało Towarzystwo Fabrykacji Motorów „Perkun” w Warszawie. Ważący zaledwie 8 kg granatnik wz. 36 przyjęto do uzbrojenia Wojska Polskiego w styczniu 1936 r. Amunicję stanowiły granaty rozpryskowe; opracowano też pociski sygnalizacyjne i ćwiczebne. Granatniki znajdowały się na wyposażeniu sekcji tworzonych w ramach kompanii piechoty. Produkowano je w firmie Zieleniewski, Fitzner, Gamper – Zjednoczone Fabryki Kotłów, Maszyn i Wagonów SA w Krakowie. Wzór 36 przewyższał swoje odpowiedniki w armiach Niemiec i ZSRS. Posiadał płynną regulację donośności (pokrętło do ustawienia odpowiedniego ciśnienia), podczas gdy granatniki sowiecki i niemiecki wymagały zmiany kąta podniesienia lufy. Do 1939 r. dostarczono armii ok. 4 tys. sztuk. ©℗

Szabla wz. 34

Prace nad nową szablą kawaleryjską rozpoczęły się w 1928 r. Rozpisano konkurs, na który zgłoszono siedem projektów. Kilka uznano za perspektywiczne. Postanowiono wykonać po kilkadziesiąt egzemplarzy wybranych szabel i skierować je do pułków kawalerii celem przetestowania. Zrobiła je warszawska wytwórnia Perkun. Na podstawie sprawozdań z jednostek przystąpiono do opracowania prototypu, zaaprobowanego ostatecznie przez komisję, której przewodniczył gen. bryg. Bolesław Wieniawa-Długoszowski. W sierpniu 1935 r. minister spraw wojskowych zatwierdził do uzbrojenia szablę wz. 34.

Produkcję uruchomiono w kieleckiej Hucie Ludwików. Szabla wz. 34 kształtem głowni nawiązywała do szabel husarskich. Oprawa rękojeści była mosiężna. Krzyżowy jelec załamywał się w przedniej części pod kątem prostym i przechodził w kabłąk dochodzący do głowicy i łączący się z trzpieniem głowni. Jelec posiadał obustronne wąsy. Trzon, wykonany z drewna i karbowany po bokach, był nakładany na trzpień głowni i mocowany dwiema śrubami. Głownia miała długość 82,5 cm i była obustronnie szlifowana w bruzdę. Na grzbiecie u nasady głowni wybijano znak kontrolny wojskowego rzeczoznawcy i numer seryjny. Na zewnętrznym płazie głowni u nasady znajdowało się oznaczenie wzoru „S.wz.34”, na wewnętrznym zaś nazwa wytwórni „H. Ludwików/Kielce”. Do września 1939 r. wyprodukowano ok. 40 tys. szabel wz. 34. ©℗

eprasa.pl fe1ca3b33c

Wywiad / Z prof. Mariuszem Wołosem, historykiem dyplomacji, współautorem książki „Józef Beck. Biografia”

rozmawia Piotr Włoczyk

Ostatnia defilada przyjmowana przez marszałka Piłsudskiego, Warszawa, 11 listopada 1934 r. FOT. NAC

Mocarstwo, ale regionalne

– W elitach II RP mocne było przeświadczenie, że Polska albo będzie silna, albo nie będzie jej wcale – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: Czy elity II RP faktycznie uważały Polskę za mocarstwo?

PROF. MARIUSZ WOŁOS: Najważniejsi polscy politycy, tacy jak Józef Piłsudski, Roman Dmowski czy Wincenty Witos, zdawali sobie sprawę z tego, że Polska nie jest mocarstwem. Natomiast wszyscy oni mieli przeświadczenie, że ich państwo powinno stać się mocarstwem. Oczywiście nie takim jak USA, Wielka Brytania czy nawet Francja lub Włochy, ale mocarstwem w skali regionalnej, państwem, które sporo „waży” w Europie Środkowo-Wschodniej. Myślę, że źródłem wielu nieporozumień jest słynna książeczka pod znamiennym tytułem „Polska jest mocarstwem”, napisana przez ówczesnego ambasadora RP we Francji Juliusza Łukasiewicza i opublikowana w 1938 r.

Do dziś przytaczana jest ona w dyskusjach o II RP głównie w szyderczym kontekście.

Mało kto czytał tę książkę, ale wszyscy znają jej tytuł i rzeczywiście często używa się go w szyderstwach. Jeżeli jednak wczytamy się w książkę tego bliskiego współpracownika Józefa Becka, to okazuje się, że Łukasiewicz pisze o mocarstwie w skali regionalnej. To nie był odosobniony głos. W elitach II RP mocne było przeświadczenie, że Polska albo będzie silna, albo nie będzie jej wcale.

Istniały jednak obiektywne trudności, których nie sposób było szybko pokonać.

Nasze elity rozumiały, że Polska była krajem bardzo biednym. Jak powiedział gen. Gustaw Orlicz-Dreszer w 1925 r. do Józefa Piłsudskiego: „... bieda wraz z nędzą do okien zaglądająca”.

Tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej niemiecki potencjał gospodarczy i – co za tym idzie – zbrojeniowy był ok. 11 razy większy od polskiego. Z drugiej strony była sowiecka gospodarka, która choć bardzo skrzywiona, tzn. ignorująca potrzeby ludności cywilnej, dysponowała coraz potężniejszym przemysłem ciężkim. Potencjał sowiecki był co najmniej kilkukrotnie większy od polskiego. Nie znamy dokładnych liczb, ponieważ dane te były ukrywane. W związku z tym Polska musiała podjąć próbę budowy większego organizmu politycznego w tej części Europy.

Czym miała się objawiać ta mocarstwowość regionalna? Mieliśmy być „dawcą bezpieczeństwa” dla innych państw regionu i samemu korzystać na takiej obronnej symbiozie?

eprasa.pl fe1ca3b33c

Dokładnie tak. W ten sposób widzieli to piłsudczycy. Elementem tej polityki była próba budowania przez Polskę defensywnego bloku złożonego z limitrofów, czyli państw graniczących z ZSRS, zlokalizowanych na styku dwóch typów cywilizacji. Od Finlandii na północy, przez państwa bałtyckie, do Rumunii na południu. To było bardzo źle przyjmowane przez Sowietów, którzy widzieli w tym agresywny plan. Tego typu starania pasowały im doskonale do koncepcji „okrążania" państwa komunistycznego. Nawiasem mówiąc, ta sama retoryka stosowana jest przez Rosję do dziś wobec NATO, które podobno marzy o zaatakowaniu Rosji. Oczywiście ta interpretacja stała w sprzeczności z rzeczywistością: budowanie przez Polskę bloku polityczno-militarnego miało być organizmem stricte defensywnym. Wszystkie te kraje obawiały się wielkoruskiego szowinizmu pokrytego patyną komunizmu.

Na początku lat 20. pojawiły się próby zawierania konwencji z państwami bałtyckimi. Łotwa, Estonia i Finlandia wydawały się naturalnymi sprzymierzeńcami. Koncepcja Związku Bałtyckiego, nieudana, rozbiła się o niechęć wejścia tych państw w alians z Polską. Kraje te rozumiały implikacje wynikające ze swojego położenia między Niemcami a Rosją bolszewicką, ale uznawały, że Polska jest jednak zbyt słabym partnerem, by pełnić rolę gwaranta bezpieczeństwa.

Litwa kompletnie nie wchodziła wtedy z grę?

Nasze stosunki wokół Wilna i Wileńszczyzny były tak napięte, że wszelka bliższa współpraca polityczna była na tamtym etapie nie do pomyślenia.

W drugiej połowie lat 30. polskie władze podjęły jeszcze jedną próbę budowy wspólnoty bezpieczeństwa w naszym regionie Europy. Chodzi o koncepcję Międzymorza. Ten pomysł nie jest dokładnie znany, jeżeli chodzi o wizję Becka, ale wiadomo, że na gruzach Czechosłowacji próbował on stworzyć taki organizm polityczny mający opierać się na trzech państwach: Polsce, Rumunii i Węgrzech. Cała sprawa rozbiła się o bardzo złe stosunki między Rumunią a Węgrami, których Polsce nie udało się niestety poprawić, a także negatywną ocenę polskiej polityki wobec Czechosłowacji w 1938 r. formułowaną w Bukareszcie. To pokazuje jednak pewne ambicje „mocarstwowe" Polski: chęć stanięcia na czele regionalnego bloku.

Spotkanie księcia Mikołaja, brata króla Rumunii, z Józefem Piłsudskim FOT. NAC

Propagandowy wizerunek marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza FOT. WIKIPEDIA

Stworzenie szerszej reduty obronnej przeciw ZSRS było więc obiektywnie niemożliwe? Pozostawał nam tylko sojusz z Rumunią?

Niestety, skuteczność polskiej dyplomacji wobec tych obiektywnych trudności nie mogła być duża. I dlatego na kierunku wschodnim musieliśmy polegać właściwie jedynie na sojuszu militarnym i politycznym zawiązanym w 1921 r. z Rumunią.

Jednak próba budowy Międzymorza miała również wymiar antyniemiecki, o czym mniej się mówi. Koncepcja ta szła dalej. Beck próbował bowiem przekonać do koncepcji Międzymorza polityków szwedzkich. Szef polskiego MSZ chciał rozszerzyć aspiracje Polski jako twórcy takiego bloku w kierunku południowym, nawet ze wskazaniem na Włochy. To jednak nie mogło się udać, ponieważ Italia grała już w jednej drużynie z III Rzeszą.

Ostatecznie okazało się, że II RP nie jest atrakcyjna ani dla mniejszości narodowych, ani dla sąsiadów z Europy Środkowo-Wschodniej. Po prostu tamte państwa wiedziały, że potencjał Niemiec i Związku Sowieckiego jest znacznie większy od Polski. Mało kto chciał stawiać na Polskę. Takie próby miały większe szanse powodzenia w latach 20., gdy Niemcy i ZSRS były słabsze. W kolejnej dekadzie, wraz ze wzrostem ich potencjału gospodarczego, Polska relatywnie traciła na znaczeniu i atrakcyjności.

Ciężko było w tej części Europy zbudować sojusz obronny przed ZSRS, a co dopiero przed Niemcami...

Dokładnie. Niemcy przez cały okres międzywojenny, szczególnie w latach 30., penetrowali gospodarczo wszystkie interesujące Polskę państwa. Wpływy niemieckie na Bałkanach, także w Rumunii i na Węgrzech, które znajdowały się szczególnie w orbicie naszych zainteresowań, były niepomiernie większe od polskich. Tak samo w przypadku Finlandii i państw bałtyckich. Berlin wykorzystywał do tego także mniejszość niemiecką zamieszkującą te państwa, która miała niemałe wpływy polityczne i gospodarcze. Z taką machiną Polska nie miała wielkich szans.

Czy dodatkowym problemem nie było to, że zwycięstwo w wojnie 1920 r. w pewnym sensie „uśpiło" czujność naszych elit?

Niestety, kapitalne zwycięstwo 1920 r. zredukowało ostrość widzenia bardzo wielu przedstawicieli naszych elit, również na szczytach władzy. Jeszcze w drugiej połowie lat 30. część generalicji i korpusu oficerskiego uważała, że rozgrywka z Sowietami jest rozstrzygnięta i nie ma się co ich obawiać.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Wbrew pozorom ludzi, którzy rozumieli, co się dzieje w ZSRS, jak mocne są tam dążenia odwetowe i imperialistyczne, zbyt wielu w Polsce nie było. Poza tym nie od dziś wiadomo, że ludzka psychika wypiera najgorsze scenariusze. Do pewnego czasu w Wojsku Polskim ćwiczony był plan obronny N + R, czyli Niemcy i Rosja. Później, po zamachu majowym, Piłsudski z tego zrezygnował. Trenowano jedynie plan N lub R. Mało kto zakładał, że oba te państwa mogą się jednocześnie zwrócić przeciw Polsce. Ci, którzy mieli wyobraźnię polityczną, rozumieli, że jeżeli dojdzie do realizacji takiego scenariusza, to Polska będzie zgubiona. Piłsudski powiedział, że jeżeli doszłoby do tego, to nie pozostanie nam nic innego, jak bronić się na placu Saskim.

To ciekawe, ponieważ pakt Ribbentrop-Mołotow nie spadł przecież „z nieba". Już w 1922 r. oba państwa zawiązały w Rapallo bliską współpracę.

Nie do końca tak było, pakt Ribbentrop-Mołotow w znacznej mierze jednak spadł „z nieba". Po dojściu do władzy w 1933 r. Hitler zaczął krzyczeć, że komuniści to najwięksi wrogowie Niemiec. Nie zerwano stosunków z Moskwą i do pewnego stopnia utrzymywano handel, ale to już nie było to samo, co przed 1933 r. Już nie było współpracy militarnej, tzn. niemieccy żołnierze nie trenowali na sowieckich poligonach, a ulokowane w ZSRS fabryki nie wysyłały już amunicji do Niemiec. Mało komu mieściło się w głowie, że III Rzesza, która otworzyła obóz w Dachau m.in. dla komunistów, może się dogadać z państwem komunistycznym.

Polacy byli tu wyjątkiem?

Nie, tak samo oceniano to za granicą. Właściwie wszyscy decydenci ówczesnego świata zostali zaskoczeni zbliżeniem niemiecko-sowieckim. To nie jest jednak dla nas żadne usprawiedliwienie, ponieważ Polska, będąca między młotem a kowadłem, powinna się najlepiej orientować w sytuacji.

Czy polityka zagraniczna mocno różniła poszczególne polskie partie polityczne?

Zasadniczą różnicą pomiędzy obozem pomajowym a narodową demokracją był inny stosunek do Francji. O ile piłsudczycy pokazywali Francuzom, gdzie się da, że prowadzą niezależną politykę, a Polska nie jest „klientką" Francji, o tyle endecy czy tacy ludzie jak gen. Władysław Sikorski przekonywali, że Polacy powinni mieć z Paryżem stosunki o wiele bardziej kordialne.

Niemieccy i sowieccy żołnierze – sojusznicy we wrześniu 1939 r.

FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

Czyli uważali, że Polska powinna podążać krok w krok za Francją?

Dosyć wyraźnie nasuwa mi się tu analogia w stosunku do tego, co dziś się dzieje w Polsce wokół Unii Europejskiej. Przecież polski rząd nie chce wychodzić z UE. Zależy mu natomiast na tym, by Polska była traktowana w sposób podmiotowy.

Jesienią 1938 r. przejęcie Zaolzia zostało przyjęte przez polskie społeczeństwo z wielką euforią. Czy jednak ten krok nie zaszkodził Polsce na arenie międzynarodowej?

W tej sprawie istniała daleko idąca zbieżność opinii między rządem a opozycją. Nawet ci, którzy w czasie wojny pisali, że zajęcie Zaolzia było błędem, wówczas nie protestowali.

W Polsce dobrze pamiętano, że w styczniu 1919 r. Czesi rozpoczęli agresję na tereny zamieszkane w większości przez Polaków, podczas której mordowano polskich jeńców. Dziś rzeczywiście niektórzy uważają, że to działanie zaszkodziło Polsce, ale wtedy kalkulowano inaczej. Skoro pierwszym celem agresji Niemiec była Austria, a następnie czeski Sudetenland, to znaczy, że agresja niemiecka kieruje się nie przeciwko Polsce, ale na południe – w kierunku Bałkanów.

Argumentem za zajęciem Zaolzia było też to, że jeżeli Polska nie upomni się o ludność polską mieszkającą po drugiej stronie granicy, to ci ludzie wpadną za chwilę w ręce Niemców. Proszę pamiętać i o tym, że o losie Czechosłowacji zdecydowali Brytyjczycy i Francuzi 10 dni przed konferencją monachijską. W jej trakcie przypieczętowano tylko podjęte wcześniej w Londynie decyzje. Beck o tym wiedział i dostosował taktykę do rozwijającej się dynamicznie sytuacji.

Część polskich historyków przekonuje jednak, że Polska zachowała się wtedy niekonsekwentnie. Zajmując Zaolzie, miała się bowiem zachować jak de facto sojusznik Niemiec, a potem definitywnie odrzuciła propozycję takiego sojuszu.

Znam ten rodzaj argumentacji, ale sęk w tym, że Polska od początku nie chciała wchodzić w alians z Niemcami. Już wówczas garstka polskich publicystów twierdziła, że taka polityka byłaby „realistyczna", a utrzymywanie Niemiec na dystans to „romantyzm". Polska odrzucała awanse III Rzeszy od dawna. Od zimy 1935 r. rozmowy na ten temat prowadził z Polakami Hermann Göring. Cały czas słyszał to samo: wspólnego marszu na Wschód nie będzie, bo jest to dla nas niebezpieczne, a na granicy z Sowietami chcemy mieć spokój.

Nasze elity rozumiały, że nie może być prawdziwego sojuszu między Niemcami a państwem 11 razy słabszym gospodarczo. Warszawa nie chciała być podporządkowana, nie chciała być „junior partnerem". To było nie do pomyślenia dla polskich elit. Ci ludzie nie wyobrażali sobie utraty podmiotowości po tym, gdy z takim trudem odbudowano niepodległe państwo. Zresztą każdy przytomny człowiek rozumiał, że podobny „sojusz" zakończyłby się połknięciem Polski przez Niemcy.

W jaki sposób?

Oczywiste było, że Polska będzie musiała zapłacić Niemcom swoimi ziemiami zachodnimi. III Rzesza była wściekle rewanżystowska. Niemcy chcieli przywrócić dawne granice i to, jak wyglądała granica Polski na zachodzie, bardzo ich uwierało. I choćby dlatego nie można było grać z Hitlerem w żadną grę. Prędzej czy później Niemcy pozbawiliby Polaków co najmniej Pomorza, Wielkopolski i Śląska. Hitler traktował te ziemie jako terytoria niemieckie, utracone czasowo, oderwane od macierzy w czasie osłabienia Niemiec po pierwszej wojnie światowej.

Rzeczywiście możemy być pewni, że efekt takiego sojuszu z Niemcami nie byłby lepszy od tego, co spotkało Polskę w czasie drugiej wojny światowej?

Toczyłem na ten temat wiele dyskusji z tzw. realistami. Zawsze pytam ich, czy w III Rzeszy istniał rasizm. Jaki był

eprasa.pl fe1ca3b33c

stosunek Niemców do Słowian? Theodor Mommsen, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury za rok 1902, wybitny historyk czasów starożytnych, który zmarł w 1903 r., czyli 30 lat przed dojściem Hitlera do władzy, nazywał Słowian „apostołami barbarzyństwa". Takie głosy były w Niemczech normą, także wśród elit intelektualnych. Zaraz po Żydach największym „problemem" dla Hitlera było 100 mln Słowian. Proszę poczytać wydawane w III Rzeszy prace młodej generacji historyków niemieckich urodzonych na początku XX w., takich jak Erich Maschke, Werner Conze czy Theodor Schieder.

Czym wytłumaczyć mordy na elitach Polski? Czy wynikały one z tego, że Beck powiedział Hitlerowi „nie"? To absurd. Masowe mordy były rezultatem budowanej od dawna nieokiełznanej nienawiści do narodu, który uważano za gorszy, prymitywny, barbarzyński i niezasługujący na istnienie.

Nie przekonuje pana argument, że Hitler potrafił być pragmatyczny również wobec Polaków? Gdy zależało mu na tym, potrafił powstrzymać antypolską propagandę.

Powtarzam: ta nienawiść była bardzo głęboka. Hitler nie był czarodziejem i nawet on w warunkach totalitarnych musiał się liczyć z nastrojami własnego społeczeństwa. Faktycznie na chwilę udało mu się uciszyć antypolską propagandę po śmierci Piłsudskiego. Historycy, którzy badają dzieje mniejszości niemieckiej w Polsce, zauważyli, że na odgórny rozkaz z Berlina Niemcy mieszkający w II RP rzeczywiście się uciszyli. W ewangelickich świątyniach odbywały się nabożeństwa żałobne po śmierci Marszałka, ale to była tylko dekoracja. Polakami gardzono tak samo, jak wcześniej.

Czyli pańskim zdaniem Polska byłaby bezwzględnie przez Niemców wykorzystana, a na koniec i tak unicestwiona?

Dokładnie tak by się to skończyło. Nie zapominajmy też o ogromnej liczbie polskich Żydów, którzy musieliby się w końcu stać celem ludobójczej polityki Niemiec. Niemcy na pewno nie „odpuściliby" polskim Żydom, ponieważ byli kompletnie opętani rasizmem.

Druga strona tego sporu podaje też argument, że przecież Słowakom, Bułgarom czy Chorwatom udało się zachować jakiś rodzaj autonomii w czasie wojny

MAREK KORNAT, MARIUSZ WOŁOS „JÓZEF BECK. BIOGRAFIA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

w relacjach z Niemcami. Tylko że to właśnie Polska leżała w „korytarzu" do upragnionego niemieckiego Lebensraumu. A to ogromna różnica. Niemcy mieliby zostawić w spokoju o wiele słabszą od nich Polskę leżącą pomiędzy Rzeszą a zdobytymi na wschodzie ziemiami?

Podstawowym problemem takich fantastycznych wizji jest założenie, że Polska – także z perspektywy Berlina – mogła być dla III Rzeszy równorzędnym partnerem, że mogła z Niemcami prowadzić długą dyplomatyczną grę. To właśnie przejaw romantyzmu owych „realistów". Przed 1939 r. Niemcy faktycznie robili wobec Warszawy małe gesty, które ich niewiele kosztowały, ale główna linia ich polityki pozostawała niezmienna: Polska jest państwem, z którym nie trzeba się liczyć i które musi Niemcom oddać ziemie zachodnie.

Nie było alternatywy dla polityki Józefa Becka?

Nie. Alternatywna polityka prowadziłaby co najmniej do utraty części terytoriów, podmiotowości, a w efekcie do pełnego podporządkowania Niemcom. Dlatego też trzymano się polityki równego dystansu, próbując jednocześnie budować – niestety z małą skutecznością – defensywny blok państw Europy Środkowo-Wschodniej.

Czyli wszystko opierało się na założeniu, że nie będzie współpracy niemiecko-sowieckiej?

Tak, ale Beck – może naiwnie – liczył też na to, że appeasement w końcu się skończy. Ta polityka faktycznie się skończyła, lecz niestety po upadku Polski.

Wiara we Francję nie była naiwna?

Nie jestem hagiografem Becka. Założenie, że Francja wystąpi zbrojnie w naszej obronie, okazało się nieracjonalne. Błędem Becka było to, że on do końca wierzył w Wielką Brytanię, nawet po upadku Polski. Uważał, że Brytyjczycy są racjonalnymi, realnymi i wiernymi sojusznikami.

Kluczem była właśnie Wielka Brytania. Beck już jako attaché wojskowy we Francji na początku lat 20. zauważył, że Francja zaczyna się oglądać na Wielką Brytanię. To Londyn miał decydujący głos i było to coraz bardziej oczywiste. Jak wyglądało wypowiedzenie wojny Niemcom 3 września? Najpierw o godz. 11 zrobili to Brytyjczycy, a dopiero sześć godzin później poszli za nimi Francuzi. Beck nie wierzył, że Francuzi przyjdą z pomocą Polsce bez decyzji politycznej Brytyjczyków. Ale widział też na granicy z Niemcami wielką francuską armię i wierzył, że w przypadku ataku na Polskę Londyn da „zielone światło". To był jego błąd, ale do samego końca zakładał przecież, że gwarancje ze strony Francji i Wielkiej Brytanii skutecznie będą odstraszały Hitlera.

Podobnie jak Beck myślała zresztą duża część niemieckich generałów, którzy byli przekonani, że Francuzi uderzą od zachodu i wojna skończy się dla Niemiec klęską.

Hitler jednak jako zwierzę polityczne miał od nich lepszą intuicję. Wiedział, że społeczeństwa francuskie i brytyjskie nie są skore do wojny, a opinia publiczna ma ogromne przełożenie na tamtejszych polityków.

Czy w tamtych warunkach Polska mogła lepiej to rozegrać?

Nie było takiej możliwości. Uwarunkowania geopolityczne i przywiązanie polskich elit do podmiotowości własnego państwa prowadziły w sposób naturalny do koncepcji polityki równego dystansu. Jako historyk nie widzę dla niej alternatywy.

Czyli Polska była w 1939 r. skazana na zagładę?

Niestety tak. Sąsiedztwo dwóch rewizjonistycznych, totalitarnych gigantów było tragedią Polski. Temu sojuszowi nie mogły zapobiec największe mocarstwa, a co dopiero Polska. Z drugiej strony podporządkowanie się któremukolwiek z wielkich sąsiadów również musiało prowadzić do zagłady niepodległej Rzeczypospolitej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Mariusz Wołos
jest historykiem, znawcą dziejów dyplomacji II RP. W 2020 r. ukazała się napisana przez niego (wraz z prof. Markiem Kornatem) biografia Józefa Becka.

eprasa.pl fe1ca3b33c

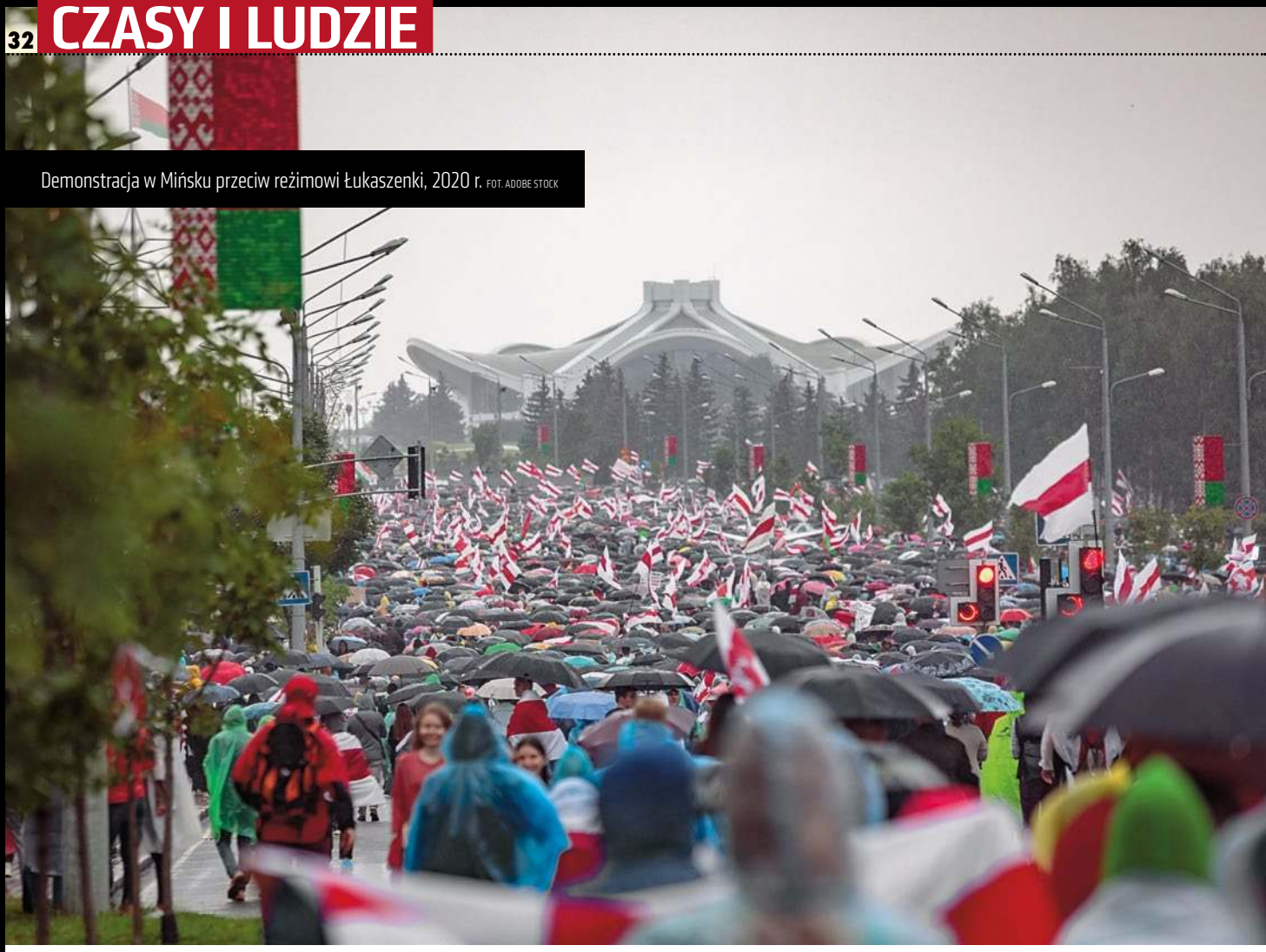

Demonstracja w Mińsku przeciw reżimowi Łukaszenki, 2020 r. FOT. ADOBE STOCK

XX w. / Kształtowanie społeczeństwa obywatelskiego na Białorusi

Wojna o białoruską duszę

Mikołaj Iwanow

Z Zachodu szedł polski „dar swobody", ze Wschodu – widmo „zepsutych przez Polaków Rosjan"

Białoruś pod rządami Alaksandra Łukaszenki bez wątpienia jest dziś agresorem. Armia rosyjska wykorzystuje jej terytorium dla prowadzenia wojny. Współudział w agresji jest potępiany przez cały cywilizowany świat, w tym

eprasa.pl fe1ca3b33c

również przez większość samych Białorusinów, którzy w rozmaity sposób walczą z tym reżimem. Liczba więźniów politycznych na Białorusi przekracza już tysiąc osób, setki tysięcy w obawie przed represjami zmuszone były opuścić swój kraj, szukając schronienia poza jego granicami. Większość znalazła przytułek w Polsce. Pomoc Polaków dla Białorusinów ma jednak wieloletnią tradycję, chociaż nie brakuje w naszych stosunkach z tym językowo i świadomościowo najbliższym Polakom narodem przykładów wzajemnej wrogości, nieporozumień i krzywd.

Każdy naród ma swoje wyjątkowe narodowościowe kompleksy. Większość Europejczyków w XXI w. patrzy na właściwe sobie słabości z dystansem, niekiedy z ironią i nawet z pogardą. Białorusini pozostają w Europie prawdopodobnie jednym z nielicznych narodów, który w dużym stopniu nadal ulega wpływom własnych fobii. Jedna z nich, która umożliwia Alaksandrowi Łukaszence tak długo utrzymywać się przy władzy, polega na bardzo daleko idącej tolerancyjności, niekiedy graniczącej z absurdem. Jest to narodowa cecha, o której dyskutuje się prawie w każdej rodzinie białoruskiej. Większość mówi o niej z dumą, czasem ironizując, mniejszość z obrzydzeniem, traktując ją jako zjawisko blokujące białoruską drogę do demokracji.

Białoruska tolerancyjność – zjawisko historyczne. W poprzednim tysiącleciu przez ziemie białoruskie przewinęło się tylu zaborców, że naród wykształcił u siebie unikatową obojętność wobec każdej władzy. W II Rzeczypospolitej Białorusini ze wszystkich mniejszości narodowych nie bez podstaw byli uważani za najbardziej lojalną wobec władz grupę narodowościową, powoli ulegającą wynarodowieniu i polonizowaniu się. W byłym Związku Sowieckim Białorusini byli odbierani jako najbardziej prokomunistyczni. Świadczy o tym fakt, że nawet u schyłku imperium sowieckiego, kiedy w 1990 r. Michaił Gorbaczow przeprowadzał referendum o zachowaniu ZSRS, Białorusini prawie jednogłośnie zagłosowali za zachowaniem imperium, wyprzedzając pod tym względem nawet samych Rosjan. Przełamanie tego kompleksu, pozbycie się stereotypu myślowego, że każda zmiana jest gorsza od zachowania „status quo", stanowi do dziś jedno z najbardziej skomplikowanych zadań opozycji.

W odróżnieniu od Ukrainy, gdzie czynnik polski w kształtowaniu społeczeństwa obywatelskiego zaczął odgrywać dość istotną rolę dopiero po rewolucji pomarańczowej i Majdanie, a nabrał szczególnego znaczenia w okresie rosyjskiej agresji, na Białorusi istniał od dawna.

„Polska intryga" i polonofilstwo

Czynnik polski odegrał decydującą rolę w kształtowaniu się narodu białoruskiego i powstaniu społeczeństwa obywatelskiego w tym kraju już w drugiej połowie XIX stulecia. Administracja carska nie uznawała istnienia narodu białoruskiego i rozpatrywała Białorusinów jako rdzenną rosyjską grupę narodowościową, która tylko – znajdując się przez kilka stuleci w ramach polskiego państwa – częściowo utraciła świadomość przynależności do narodu rosyjskiego. Szeroko rozpowszechnione było traktowanie Białorusinów jako „zepsutych przez Polaków" Rosjan.

Każda wzmianka o próbach białoruskiego odrodzenia narodowego była uważana przez administrację rosyjską jako przestępstwo pospolite, a polskie zaangażowanie w proces tworzenia białoruskiego społeczeństwa obywatelskiego było traktowane jako akt zdrady. Ruch odrodzeniowy białoruski był odbierany przez carat i społeczeństwo rosyjskie jako „polska intryga" skierowana przeciwko rosyjskim interesom narodowym.

Abstrahując od tych zarzutów carskiej administracji i nacjonalistów rosyjskich, niewątpliwie należy uznać fakt narodzenia się białoruskiego ruchu niepodległościowego przy decydującym poparciu (można nawet stwierdzić: w łonie) polskiego ruchu rewolucyjnego. Założona w 1902 r. przez Wacława Iwanowskiego pierwsza białoruska partia polityczna, Białoruska Partia Rewolucyjna (BPR), w istocie rzeczy powstała jako przybudówka Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS). To samo można powiedzieć o założonej rok później przez Iwana Luckiewicza Białoruskiej Rewolucyjnej Hromadzie.

Początkowo hromadaucy (jak ich określają dziś na Białorusi) w ogóle uważali się za członków polskiego ruchu rewolucyjnego. W Grodnie miejscowa filia Hromady nawet organizacyjnie

Józef Piłsudski w Mińsku, 1919 r. FOT. LIBRARY OF CONGRESS

eprasa.pl fe1ca3b33c

należała do PPS. Jej kierownictwo – Franciszek Eidukiewicz, bracia Truskowscy i Borys Szyszkiewicz – stało na stanowisku, że utworzenie osobnej białoruskiej organizacji rewolucyjnej może przeszkodzić PPS w osiągnięciu jej głównego celu – odrodzenia niepodległości Rzeczypospolitej.

Okres dominacji polonofilstwa w białoruskim ruchu niepodległościowy nie trwał długo. Po pierwszej rewolucji rosyjskiej po 1907 r. większość białoruskich działaczy socjalistycznych uznała cel osiągnięcia autonomii dla Białorusi u boku odrodzonej niepodległej Polski za mało realny. Postawiono na autonomię białoruską w ramach imperium Romanowów.

Urodzony na tej ziemi...

Wszystko zmieniło się po rewolucji 1917 r. „Kraj wasz od stu kilkudziesięciu lat nie zna swobody, uciskany przez wrogą przemoc... Ten stan ciągłej niewoli dobrze znany mi osobiście, jako urodzonemu na tej nieszczęśliwej ziemi, raz nareszcie musi być zniesiony i raz wreszcie na tej ziemi, jakby przez Boga zapomnianej, musi zapanować swoboda i prawo wolnego, niczym nieskrępowanego wypowiedzenia się o dążeniach i potrzebach". To są słowa człowieka, którego wielu ówczesnych białoruskich działaczy niepodległościowych uważało za szczerego zwolennika samostanowienia narodu białoruskiego, za jedyną dla Białorusinów możliwość wyrwania się spod panowania rosyjskiego. Tą osobą był Józef Piłsudski.

Federalistyczna koncepcja budowy państwa polskiego, której Józef Piłsudski był autorem, przewidywała szeroką autonomię dla ziem białoruskich, włączonych do II Rzeczypospolitej. „Będę dumny z Polski – przemawiał Piłsudski po białorusku w wyzwolonym od Armii Czerwonej Mińsku w 1919 r. – będę dumny ze swoich żołnierzy, będę dumny wreszcie z siebie samego, jeżeli będę mógł tej nieszczęśliwej ziemi dać najcenniejszy dar Boży – dar swobody".

Koncepcja Piłsudskiego znalazła wśród białoruskich działaczy niepodległościowych wielu zwolenników. Zafascynowanie osobą marszałka i jego ideami było tak wielkie, że stanęli z bronią w ręku u boku wojsk polskich zwalczających Armię Czerwoną. Liczebnie narodowe oddziały białoruskie walczące razem z wojskiem polskim w obronie RP wielokrotnie przewyższały białoruskie formacje wojskowe innych politycznych orientacji, w tym również komunistycznych.

Bardzo ważnym czynnikiem budzenia narodu białoruskiego, kształtowania u niego poczucia świadomości narodowej i lokalnego patriotyzmu była polsko-sowiecka rywalizacja o białoruskie względy. Obie te zwalczające się strony świadomie przesadzały w ocenie potencjału państwowotwórczego białoruskiego ruchu niepodległościowego w celu przyciągnięcia Białorusinów na swoją stronę. Skorzystał z tego białoruski ruch narodowy, który po obu stronach granicy ryskiej, dzielącej Białoruś między Rosją Sowiecką i Polską prawie na pół, założył podstawy przyszłego niepodległego państwa białoruskiego.

W Związku Sowieckim była to pseudoniezależna BSRS, gdzie w latach 20. i 30. przeprowadzono zakrojoną na bardzo szeroką skalę białorusinizację, obejmującą prawie wszystkie dziedziny życia społecznego. Przypomnijmy, że w tym okresie nawet jednostki Armii Czerwonej, rozmieszczone na Białorusi, były zmuszane do wprowadzenia do regulaminu wojskowego języka białoruskiego. Powstały szkolnictwo w tym języku, białoruskojęzyczna prasa i inne środki masowego przekazu, narodowy teatr, Białoruska Akademia Nauk. Język białoruski po raz pierwszy w historii stał językiem miast białoruskich. W postanowieniu Plenum Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Białorusi z maja 1926 r. czytamy: „Najważniejszym zadaniem jest stworzenie najbardziej sprzyjających warunków dla rozwoju języka białoruskiego... Język białoruski powinien zająć wiodące miejsce w republice białoruskiej. Język ten obiera się jako język wszystkich stosunków między państwami związkowymi i społecznymi instytucjami, a także między osobami prywatnymi".

II RP dała unikatową szansę kształtowania autentycznego demokratycznego życia politycznego oraz kadry narodowych liderów politycznych Białorusi

Mińsk, Kuropaty. Miejsce egzekucji Białorusinów i Polaków w czasach ZSRS

FOT. ANDREJ KUŹNIEČYK/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

Kierownictwo bolszewickiej partii nie ukrywało, że u podstaw polityki białorusinizacji leżą głównie przyczyny ideologiczne. Mówił o tym sam Stalin jeszcze na 10. zjeździe partii w 1921 r., pełniąc w tym okresie obowiązki ludowego komisarza do spraw narodowościowych.

W polskiej części podzielonego kraju początkowo władze również dopuściły stworzenie dość rozległej siatki szkół białoruskich. Powstała niezależna prasa białoruska. Ale główna niezaprzeczalna zasługa II Rzeczypospolitej dla rozwoju narodu białoruskiego polegała na tym, że właśnie tutaj w warunkach niepodległego państwa polskiego narodził się i nabrał siły masowy ruch polityczny, mający swoją reprezentacje parlamentarną. W odróżnieniu od totalitarnego państwa sowieckiego w warunkach II Rzeczypospolitej Białorusini mogli przez swoich deputowanych własnym głosem przemawiać z trybuny sejmowej.

Nie można negować licznych faktów zakrojonych na szeroką skalę represji władz polskich wobec białoruskiego ruchu narodowego, późniejszych zniszczeń białoruskiego szkolnictwa, rozpędzenia słynnej „Hromady", prześladowania niezależnego druku białoruskiego i innych podobnych działań. Jednak II Rzeczpospolita dała Białorusinom unikatową szansę kształtowania autentycznego demokratycznego życia politycznego oraz kadry narodowych liderów politycznych, którzy na zawsze zapisali się w najnowszej historii Białorusi.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Prorocze okazały się słowa Józefa Piłsudskiego, wypowiedziane jeszcze w roku 1919: „Co do Białorusi, nieprzygotowanej jeszcze do życia i myślenia kategoriami politycznymi, czekać trzeba odpowiedniej koniunktury i wytwarzać na razie w Polsce Piemont białoruski". Musimy przyznać, że pomimo wszystkich zatargów, wzajemnych antagonizmów i represji antybiałoruskich ten Piemont białoruski w II Rzeczypospolitej istniał. Kiedy w Związku Sowieckim w latach po zakończeniu białorusinizacji w okrutnych represjach stalinowskich zginęła prawie cala elita intelektualna, polityczna i kulturalna narodu, w Polsce, pomimo represji, ta elita przetrwała i stworzyła odpowiednie zaplecze dla późniejszego niepodległego bytu narodu.

Propolska empatia

Nie można pomijać jeszcze jednego czynnika, który zdecydowanie wpłynął na kształtowanie współczesnego społeczeństwa obywatelskiego Białorusi. Były to antypolskie represje we wschodniej Białorusi w latach 1937–1938, gdzie według statystyk sowieckich mieszkało ponad 400 tys. katolików, w większości Polaków. Początkowo wobec nich przeprowadzono tzw. eksperyment polonijny, polegający na tworzeniu fenomenu tzw. Polaka radzieckiego, patrioty komunisty, którego polskość miała się wyrażać jedynie w posługiwaniu się językiem polskim i w pragnieniu zwycięstwa socjalizmu w Polsce.

Kiedy próby szerokiego zakorzenienia się komunizmu w kresowym społeczeństwie polskim się nie powiodły, przyszły represje. Były zakrojone na tak szeroką skalę, że w wirze represyjnym wolność i życie straciło wielu Białorusinów, mających polsko brzmiące nazwiska. Miejscowi Polacy na zawsze weszli do świadomości większości Białorusinów jako niewinne ofiary terroru, jako prawdziwi albo potencjalni przeciwnicy władzy sowieckiej. Słowa „Polak" i „Polacy" nabrały nowego znaczenia. Dla wielu kojarzyły się z niewinnymi ofiarami reżimu, a także z tymi, którzy w nadzwyczaj trudnych warunkach spróbowali stawić opór.

Zniszczenie polskości na dalszych Kresach ukoronowało – mimo krańcowo zmienionej już sytuacji politycznej – tradycyjną politykę carskiej Rosji, skierowaną na „odpolszczenie" tych ziem, a zarazem działania wynikające z założeń ówczesnej polityki wewnętrznej władz sowieckich. Białorusini byli tego niemymi świadkami.

W okresie drugiej wojny światowej oddziaływanie czynnika polskiego na Białorusinów nie zmniejszyło się pomimo porażki armii polskiej w 1939 r. i narzucenia Polakom ustroju komunistycznego w latach 1944–1945. Walka Polaków o niepodległość w szeregach Armii Krajowej i innych formacjach zbrojnych wzbudzała u Białorusinów zarówno podziw, jak i chęć prowadzenia wspólnej walki z okupantem. Są ku temu liczne świadectwa. W oddziałach Armii Krajowej na Nowogródczyźnie prawosławni żołnierze stanowili prawie połowę stanu osobowego. Można sadzić, że Białorusinów wśród polskich leśnych żołnierzy było jeszcze więcej.

Główna przyczyna tak aktywnego występowania Białorusinów w obronie polskiej sprawy tkwiła w tym, że w latach 1939–1941 Białorusini poznali prawdziwe, niepropagandowe oblicze władzy sowieckiej. Masowe wywózki, deportacje i inne represje wobec całej ludności kresowej otworzyły oczy wielu z tych, którzy 17 września 1939 r. stawiali bramy triumfalne dla Armii Czerwonej. Bardzo często represjonowani Białorusini zgłaszali się także do tworzonej w ZSRS na podstawie układu Sikorski-Majski armii polskiej. Według danych białoruskiej emigracji stanowili oni do 15 proc. stanu osobowego II Korpusu pod dowództwem gen. Władysława Andersa.

Po drugiej wojnie światowej polski czynnik nadal odgrywał bardzo ważną rolę. Część Białorusinów wolała opuścić BSRS w ramach tzw. repatriacji do PRL. W odróżnieniu od Litwy i Ukrainy, gdzie do repatriacji prawie zupełnie nie zgłaszali się rdzenni Litwini czy Ukraińcy, na Białorusi procent rdzennych Białorusinów udających Polaków był pokaźny. Zjawisko masowej rejestracji Białorusinów (nawet prawosławnych) w celach repatriacji do przeniesionej na inne miejsce Europy Polski znajduje proste wytłumaczenie właśnie podczas okrucieństw zaznanych od Sowietów w latach 1939–1941. Ustępowali oni ze zrozumiałych powodów miejscowym Polakom pod względem liczby represjonowanych i wysiedlonych, a także wobec nich represje nowej władzy miały totalny i bezwzględny charakter.

Dziś niepodległa Białoruś nadal jest podzielona prawie na pół wzdłuż granicy polsko-sowieckiej z 1939 r. Ten podział w dużej mierze przypomina podziały istniejące do dziś w III Rzeczypospolitej wzdłuż starych granic zaborów: rosyjskiego, niemieckiego i austriackiego. Zachodnia część Białorusi z pokaźnym odsetkiem ludności polskiej ma wyraźne sympatie europejskie. Miejscowa ludność jest powiązana dość ściśle z Polską i Polakami. Na Grodzieńszczyźnie w wielu rejonach te związki mają rodzinny charakter. Prawie każdy ma w Polsce bliższych lub dalszych krewnych. Polska, wydarzenia życia politycznego za bliską granicą są odbierane przez miejscowe społeczeństwo byłych Kresów prawie jako wewnętrzne sprawy własnego państwa. Bez przesady można stwierdzić, że do Warszawy tym ludziom o wiele bliżej niż do Moskwy, i nie tylko geograficznie.

Wydarzenia z 2020 r., kiedy setki tysięcy Białorusinów odważyły się na otwarty protest przeciwko sfałszowaniu wyborów prezydenckich, przyspieszyły proces wzrostu zaufania wobec Polski i Polaków wśród Białorusinów. Dziś, w dobie rosyjskiej agresji na Ukrainie i masowego exodusu Białorusinów z kraju, proces ten trwa nadal.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

Arkadiusz Karbowiak

Sowieccy partyzanci masakrowali, rabowali i gwałcili w Finlandii – zupełnie jak na Wileńszczyźnie po 1943 r.

Fińscy cywile zamordowani w Seitajärvi FOT. SA-KUVA/WIKIPEDIA/CC BY 4.0

1941–1944 / Sowiecko-fińska „wojna kontynuacyjna”

Czerwona partyzantka morderców

Rozpoczęta w czerwcu 1941 r. sowiecko-fińska wojna kontynuacyjna (po zimowej 1939/1940) przybrała od początku charakter nie tylko konfliktu konwencjonalnego, lecz także obrony Finów przed czerwonymi dywersantami. Już w lipcu 1941 r. władze sowieckie podjęły decyzję o utworzeniu i wykorzystaniu do działań na fińskim zapleczu oddziałów partyzanckich.

2 lipca 1941 r. na polecenie Prezydium KC KPZR Karelo-Fińskiej Socjalistycznej Sowieckiej Republiki utworzono trzyosobowy zespół, mający zorganizować ruch partyzancki. W jego skład weszli: wysocy funkcjonariusze aparatu partyjnego i państwowego KFSSR – Anatolij Warłamow, Michaił Isakow i Michaił Baskakow. Do pierwszych powstających oddziałów partyzanckich delegowano głównie działaczy partyjnych (stanowili 40–70 proc.), a także funkcjonariuszy NKWD-NKGB, w tym członków Istriebitielnych Batalionów (bataliony niszczycielskie, pościgowe, szturmowe lub likwidacyjne). Partyzanci mieli prowadzić na terenach zajętych przez Finów działania dywersyjne – atakować wrogie garnizony, niszczyć linie telefoniczne, kolejowe i drogowe oraz wszelkie obiekty o znaczeniu militarnym.

25 października 1941 r. oddziały partyzanckie podporządkowano NKWD. Kiedy to nastąpiło, za liniami wroga znajdowało się już 17 oddziałów partyzanckich, liczących 1196 osób. Były to zazwyczaj niewielkie grupy, których liczebność wahała się pomiędzy 50 a 100 ludzi. Skład etniczny ugrupowań partyzanckich w pewnej mierze obrazuje struktura narodowościowa oddziału „Polarnik”, który składał się w 79,2 proc. z Rosjan, natomiast Karelczycy i Finowie stanowili 14,85 proc. Podobnie układały się te proporcje w innych oddziałach. Warto wspomnieć, że do służby w partyzantce skierowano 177 zwolnionych z więzień i obozów przestępców. Nie były to osoby skazane za gwałty czy morderstwa, ale np. za przestępstwa urzędnicze.

Działalność sowieckich partyzantów w Karelii była dość specyficzna, ponieważ prowadzili oni w zasadzie rajdy, przemieszczając się ze swych kwater umiejscowionych na nieokupowanych terytoriach ZSRS na zaplecze fińskie, po czym – po bardziej lub mniej długotrwałym tam pobycie – wracali na sowiecką stronę. Były to więc de facto grupy dywersyjne, a nie stricte oddziały partyzanckie. Ich stałe funkcjonowanie na fińskich terenach było niemożliwe ze względu na słabe zaludnienie, a także brak wsparcia ze strony ludności cywilnej.

Poważnym problemem bytowania partyzantów był brak żywności. Próbowano ją zdobywać w fińskich wsiach, dokonując rekwizycji. Wtedy zazwyczaj dochodziło również do mordów na cywilach. Zabijano ich, by wywołać nastrój paniki i strachu, a także w obawie przed powiadomieniem fińskich jednostek wojskowych, których szybka reakcja mogłaby doprowadzić do unicestwienia oddziałów partyzanckich. Stosowanie przez „czerwonych” dywersantów bezwzględnych metod walki powodowało, że wojna na zapleczu frontu stała się krwawa i brutalna.

Jednym z pierwszych powołanych do życia oddziałów partyzanckich był utworzony przez dowództwo sowieckiej 7. Armii Frontu Karelskiego 30-osobowy oddział dowodzony przez Fina z pochodzenia, byłego członka Czerwonej Gwardii z czasów wojny domowej w Finlandii, Urho Aitikannena. Prowadził on działania dywersyjne na zapleczu 3. Dywizji Piechoty. 30 maja 1942 r. powstał Karelsko-Fiński Sztab Partyzancki przy dowództwie Frontu Karelskiego. Na jego

eprasa.pl fe1ca3b33c

czele stanął generał wojsk NKWD Siergiej Wierszynin. Współpracowali z nim ściśle Giennadij Kuprijanow i lider fińsko-karelskiego Komsomołu Jurij Andropow.

Rzeź w Viiksimo

Jednym z najbardziej znanych oddziałów partyzanckich był oddział „Naprzód", który powstał 19 lipca 1941 r. i operował w rejonach Repolan i Rukajävi. Początkowo służyło w nim 41 partyzantów, ale potem stan osobowy powiększył się do ponad 80 osób. Działalność grupy stanowiła odzwierciedlenie tego, jak operacje wymierzone w fińskie siły wojskowe mieszały się z akcjami terrorystycznymi, których ofiarami padali fińscy cywile. 24 września 1942 r. partyzancki 10-osobowy I pluton oddziału „Naprzód" pod dowództwem Kiryła Bondiuka wkroczył w celu uzupełnienia zapasów żywności do fińskiej wsi Viiksimo. Sowieci oddzielili mężczyzn od kobiet i dzieci, a po zabraniu żywności we wsi ich rozstrzelali. Zabici zostali 49-letni Mikko Heikkinen, Matti Heikkinen, Jussi Jauhonen, natomiast Veikko Heikkinen pomimo trzykrotnego trafienia upadł i udając zabitego, przeżył.

Część kobiet i dzieci, słysząc strzelaninę i domyślając się, co może ona dla nich za chwilę oznaczać, podjęła próbę ucieczki. Umożliwiła ją odważna 14-letnia dziewczynka Hilja Heikkinen, rzucając się na szykującego się do egzekucji jednego z napastników. Do uciekających i tych, którzy pozostali na miejscu, „czerwoni" zaczęli strzelać. Zginęli wówczas: Anni Lyyti Heikkinen, 18-letnia Anna Reeta Heikkinen, Impi Heikkinen, Eino Heikkinen. Ciężko postrzelony został również sześcioletni chłopczyk Tauno Heikkinen, który zmarł w drodze do szpitala. Ranę głowy odniosła, tracąc wzrok na całe życie w prawym oku, czteroletnia Helli Heikkinen. W sumie zginęło osiem osób. Niektórzy uczestnicy zbrodni szczycili się w niej swoim udziałem. Późniejszy komisarz oddziału Michaił Piwojew chwalił się potem, że podczas egzekucji zaciął mu się pistolet maszynowy i musiał dokończyć rozstrzeliwanie ze swojego nagana, z którego zabijanie szło znacznie lepiej niż z pepeszy.

Krótko po dokonanej masakrze w okolicy Viiksimo pojawił się przypadkowo samochód z czterema fińskimi oficerami. Auto zostało ostrzelane, ale poza lekką raną, którą odniósł kapitan Eino Penttilä, pozostali trzej pasażerowie wyszli z tego zdarzenia bez szwanku, kryjąc się za podziurawionym jak sito samochodem (w karoserii auta naliczono ok. 50 dziur po pociskach). Nieco później na miejsce tragedii przybyła ciężarówka z 22 fińskimi żołnierzami. Nie zastali oni już we wsi napastników, ponieważ ci zdążyli uciec. Tego samego dnia, czyli 24 września 1942 r., II pluton oddziału „Naprzód" zorganizował zasadzkę na drodze Roukkula – Miinoa. Wpadł w nią 10-osobowy fiński patrol rowerowy.

Od bolszewickich kul zginęli ppor. Grigori Koivuniemi, sierż. Kalle Aarikka, st. sierż. Erkki Tuovinen, kpr. Arvo Ovaska i st. Szer. Toivo Käihkö. Rany odniosło czterech kolejnych żołnierzy, których jednak zdołano ewakuować z pola walki. Po ciała poległych towarzyszy broni przyjechał silny wojskowy patrol. Kilka dni później, 2 października 1942 r., poddał się Finom po wcześniejszej dezercji z oddziału traktorzysta w cywilu, a wtedy szeregowy partyzant, Karelczyk z pochodzenia Iwan Markow. Udzielił on por. Amosowi Malinenowi ze sztabu VI Korpusu Armijnego bardzo wyczerpujących informacji na temat składu osobowego oddziału, wyposażenia, przeprowadzonych akcji, stosowanej taktyki, a także stosunków i nastrojów w nim panujących.

Takie sytuacje w realiach okrutnej wojny partyzanckiej należały zdecydowanie do rzadkości. Fińskie źródła odnotowały fakt przejścia na stronę fińską zaledwie ośmiu sowieckich dezerterów. Niewielu zdecydowało się też poddać. Biorąc pod uwagę metody, które stosowali Sowieci wobec ludności cywilnej, trudno się dziwić pewnej ich wstrzemięźliwości w tym zakresie. Finowie z reguły po przesłuchaniu jeńców zgodnie z prawem wojennym ich rozstrzeliwali (dotyczyło to szczególnie osób występujących w fińskim umundurowaniu lub po cywilnemu, agentów tudzież fińskich zdrajców pracujących dla bolszewików).

Czasami ofiarami akcji sowieckich dywersantów padały kobiety pełniące służbę pomocniczą albo w tzw. domach żołnierskich. Najbardziej znaną była zabita w zasadzce pod Muujärvi 8 lipca 1942 r. jadąca na 12-dniowy urlop do domu we wsi Mieslathi 23-letnia członkini Lotta Svärd (fińska pomocnicza służba kobiet) Sirkka Korhonen. Jej ciężarówka najechała w zasadzce na minę, a ona sama została ranna. Sowiecki partyzant ubrany w mundur fiński wyciągnął ją z samochodu i po otrzymaniu pozytywnej odpowiedzi na zadane pytanie, czy jest Finką, zadał jej kilka ciosów bagnetem, powodując śmierć na miejscu. Oprócz niej zabito wtedy 10 żołnierzy. Jeden wzięty do niewoli uciekł i przekazał miejscowym władzom wojskowym informację o całym zdarzeniu.

Inny znany przypadek miał miejsce 5 lipca 1942 r. Tego dnia inny oddział, dowodzony przez Fiodora Kantorowa, zaatakował na trasie Kussamo – Uchta konwój, w którym jechały przewodnicząca Fińskich Domów Wojskowych – Toini Jännes, żona dowódcy 3. Dywizji Piechoty gen. Väinö Palojärvi – Greta Palojärvi – oraz dyrektorka Faini Aflecht. W wyniku otwarcia ognia wszystkie trzy panie poniosły śmierć. Zginęło również dwóch

Fiński żołnierz z ciałem dziecka zamordowanego przez sowieckich partyzantów w miejscowości Lokka FOT. FDF/WIKIPEDIA

eprasa.pl fe1ca3b33c

żołnierzy: kpr. Veikko Moilanen i kierowca kpr. Toimi Rossinen.

Nie tylko kobiety, lecz także osoby duchowne traciły życie z rąk partyzantów. Zginął pełniący od 8 kwietnia 1943 r. funkcję biskupa diecezji Oulu – Yrjö Wallinmmow. Podczas podróży inspekcyjnej do jednej z parafii w okolicy wsi Laanila, na drodze pomiędzy Rovaniemi a Invalo, autobus z pocztą, w którym jechał wraz 20 innymi osobami, został o godz. 2.45 ostrzelany z karabinu maszynowego. Wysadzono także mostek, na który właśnie miał wjechać autobus. Na skutek partyzanckiego ognia śmierć ponieśli kierowca oraz dwie kobiety, a rany odniosło 11 pasażerów. Biskup, choć co prawda zdążył opuścić pojazd, zginął śmiertelnie raniony odłamkami rzuconych przez Sowietów granatów. Odpowiedzialność za śmierć duchownego ponosił oddział „Bolszewik Polarny" Aleksandra Smirnowa. Jego meldunek złożony po akcji, sugerujący zabicie 50 oficerów, 13 żołnierzy i 36 wrogich cywili, ukazuje konfabulacyjny charakter w zakresie oceny strat przeciwnika, sprawozdań i raportów partyzanckich.

Mord w Seitajärvi

Rok 1942 to okres, kiedy strona sowiecka zdecydowała się użyć na fińskim zapleczu licznej, bo 648-osobowej brygady partyzanckiej Iwana Grigoriejewa. Brygada posiadała sześć oddziałów (im. Czapajewa, im. Toibo Antikainena, „Mściciel", „Za Ojczyznę", „Bojowi Przyjaciele", „Zwiastun Burzy"). Pierwotnie rajd brygady miał odciągnąć od linii frontu fińskie siły z uwagi na planowaną ofensywę odblokowania Leningradu. Ofensywę odwołano, ale akcji przerzutu na fińskie tyły brygady już nie. Duża liczebność brygady spowodowała, że oddziały Maavoimat (wojska lądowe) dość szybko, bo już 15 lipca 1942 r., ją namierzyły. Wykruszały się szeregi partyzanckie. Podczas próby przebicia się przez okrążenie 30 lipca 1942 r. zginął czterokrotnie ranny dowódca brygady Grigoriejew. Całkowicie został zniszczony 47-osobowy oddział „Mściciel".

W ręce fińskie z całej brygady wpadł jeden partyzant – Andriej Griabin. Ostatecznie do sowieckich pozycji dotarło po 56 dniach rajdu 178 partyzantów, w tym 53 rannych. 213 zginęło w walce, 85 umarło z głodu, 156 zaginęło, 7 się utopiło, 9 rozstrzelano. Straty wyniosły więc 470 partyzantów. Operacja zakończyła się zupełną klęską. Jednak ów sukces wypada uznać za epizodyczny, ponieważ Finom nie udało się już odnieść tak spektakularnych zwycięstw. Zniszczenie mniejszych grup dywersantów było już znacznie trudniejsze. Finowie nie dysponowali wystarczaj ącą ilością sił Najczęściej były to wydzielone z poszczególnych jednostek oddziały. Czasami tworzono specjalne jednostki antypartyzanckie i do takich należał Oddział Sau.

Wiosną oraz latem 1944 r. natężenie działalności sowieckiej partyzantki zdecydowanie wzrosło. Nie przełożyło się to na szczególne sukcesy militarne. Analiza wypadów na fińską stronę oddziałów „Bolszewik Polarny" i „Sowiecki Murmańsk", które przeprowadziły trzy rajdy, i „Czerwony Onieżec" i „Żeleźniak", które wykonały cztery rajdy, wskazuje, że nie padł ani jeden fiński żołnierz, ani nie wykonano żadnego zadania bojowego.

7 lipca 1944 r. o godz. 3 48-osobowa grupa złożona z partyzantów dwóch oddziałów zaatakowała miejscowość Seitajärvi. Kilkuosobowa grupa fińskich żołnierzy podjęła walkę, ale ich opór był krótkotrwały. Sowieci podpalili wiejskie zabudowania. Części mieszkańców udało się uciec do pobliskiej miejscowości Värriön, gdzie zawiadomiono wojsko o najściu wrogiego oddziału. Tymczasem partyzanci zabrali ze sobą do lasu 11 kobiet i dzieci. Tam część z nich najprawdopodobniej zgwałcono, po czym wszystkich zgromadzonych zamordowano uderzeniami bagnetów, kolb karabinów oraz strzałów z broni palnej. Trzy dodatkowe osoby – w tym dwóch żołnierzy: Valtteriego Ollila i Mattiego Niirasena – uprowadzono, a następnie zamordowano (trzecią rozstrzelaną była siostra jednego z nich Eliisi Ollila). Przez lata uznawano ich za zaginionych, dopiero w lipcu 2006 r. udało się odnaleźć ich doczesne szczątki. W sumie w Seitajärvi zginęło 14 osób.

Tuż po masakrze do opuszczonej już przez Sowietów wsi przybył zaalarmowany pododdział będący częścią 500-osobowego antypartyzanckiego Oddziału Specjalnego Sau. Żołnierzami dowodził odznaczony Krzyżem Mannerheima znakomity skoczek, a także biegacz narciarski, weteran wojny zimowej por. Olavi Alakulppi. Po przeszukaniu terenu w lesie odkryto zwłoki pomordowanych. Najmłodsza z ofiar, kilkumiesięczna dziewczynka, miała roztrzaskaną karabinową kolbą czaszkę. Masakrę przeżyła, pomimo pchnięcia bagnetem, ośmioletnia Mirja Arajärvi, która opowiedziała, co się wydarzyło. Żołnierze oddziału Sau, mając w pamięci dokonaną zbrodnię, z determinacją rozpoczęli poszukiwanie partyzantów. Kiedy doszło do walki, 33 z nich zabito.

Ze względu na makabryczny charakter masakry na miejsce zbrodni ściągnięto specjalną ekipę dochodzeniowo-śledczą. W jej składzie znajdował się poza Finami również Szwed Richard Lingren. Przybyli także szwedzcy dziennikarze z „Norrbottens-Kuriren" i „Norrländska Socialdemokraten", dzięki czemu informacje o zbrodni zostały przedstawione w mediach. Kapitan Olavi Alakulppi, który w US Army i walczył w wojnie w Korei, próbował zainteresować kwestią zbrodni ONZ, ale bez rezultatów.

Jeszcze większej zbrodni dopuścili się 14 lipca 1944 r. we wsi Lokka partyzanci z oddziału „Stalinowiec" dowodzeni przez Wasilija Gontarenko, na rozkaz gen. Siergieja Wierszynina. Wieś zaatakowano o godz. 19.45. Jeden z mieszkańców w obronie użył broni. Reszta uciekała lub chowała się w budynkach. Większość ludzi zabito z broni palnej, a część, szczególnie małe dzieci, spłonęła w podpalonej przez Sowietów szkole. W rzezi zginęły 23 osoby, w tym kobiety i dzieci.

Zarówno w odniesieniu do Lokki, jak i Seitajärvi, partyzanci przedstawiali te masakry w raportach jako ataki na ufortyfikowane garnizony. Takie sprawozdania były wyjściem naprzeciw oczekiwaniom dowództwa sowieckiej partyzantki, które domagało się informacji o jak największej liczbie ofensywnych działań skierowanych przeciw wrogim jednostkom. Inercję w atakowaniu prawdziwych garnizonów rekompensowano sobie „szturmowaniem" fińskich wiosek. W akcjach sowieckiej partyzantki w latach 1941–1944 r. śmierć w ponad 30 wsiach poniosło 182 fińskich cywilów, 20 zaginęło, a 50 zostało rannych. Zbrodnicze aspekty działalności sowieckiej partyzantki w Karelii przez długie lata były tematem tabu, którego poruszać nie chcieli fińscy historycy, nie mówiąc już o heroizujących działalność partyzantów historykach sowieckich czy potem rosyjskich.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

1863–2023 / Przed 160. rocznicą nocy styczniowej

Tadeusz Ajdukiewicz „Scena z powstnia styczniowego”
FOT. AGRA-ART

Chwała Rawy...

Marek Gałęzowski

4 lutego 1863 r. dobrze zaplanowany atak zakończył się rozbiciem garnizonu rosyjskiego w Rawie Mazowieckiej i zdobyciem niemałej ilości broni. To jeden z największych polskich sukcesów na początku powstania

W decydującym momencie bitwy pod Opatowem polscy powstańcy uderzyli „z furyą na wrogów, bagnetem i kolbą torując sobie drogę i spychając Moskwę z ulic ku rynkowi”. Lecz potężny ogień finlandzkiego pułku zatrzymał trzy kolejne ataki. Wskutek tego „pomimo nadludzkich wysiłków musieliśmy się cofać z licznymi ofiarami” – wspominał por. Izydor Karlsbad. Kiedy zaś wybiła północ, dał się równocześnie słyszeć odgłos rosyjskich bębnów, sygnalizujących kontruderzenia zaborcy. W pierwszej godzinie 22 lutego 1864 r. rozbite odziały, stanowiące dotychczas trzon największego bijącego się jeszcze zgrupowania powstańczego gen. Józefa Haukego „Bosaka”, zaczęły uchodzić w świętokrzyskie lasy.

Ale rosyjska obława zataczała coraz ciaśniejszy krąg. „Ze wszystkich stron świstały na nas kule, ze wszystkich stron błyskały najeżone bagnety [...]. Niewyspani, znużeni do najwyższego stopnia, bezsilni, zziębnięci, wygłodniali, nie byliśmy zdolni do oporu, do obrony. Nie była to już bitwa, ale obława”. Klęska pod Opatowem dowodziła, że rozpoczęte 13 miesięcy wcześniej powstanie zbliża się do swojego kresu.

Klęski i wiktorie

„Po uczęstowaniu żołnierzy wódką, około piątej rano dnia 17 lutego [1863 r.], wyruszono pod Miechów. Kawaleria pod komendą p[ana] Nałęcza [Edwarda Brudzewskiego], oficera z wojska pruskiego, i żuawi pod komendą [Franciszka] Rochebruna, żołnierza z wojska francuskiego, rozpoczęli bitwę o szóstej godzinie z rana. Żuawi walecznie rzucili się w miasto. Do nich Moskwa gęste wysyłała strzały, które szerzyły wielkie spustoszenie w ich szeregach. Rochebrun krzyczał ciągle: »Naprzód, naprzód, Polacy!«. I młodzież szła naprzód, znacząc swą drogę trupami. Szwadron jazdy Nałęcza puścił się także w miasto i poniósł również wielkie straty. Moskwa zakryta strzelała z okien, z dachów, zza parkanów, spoza muru kościelnego do powstańców walczących bez zasłony na ulicach. [...] Krwawy bój trwał kilka godzin. Dano wreszcie rozkaz do odwrotu. Szeregi przerzedzone, pomieszane, smutny przedstawiały obraz rozbicia” – wspominał świadek bitwy, kapelan powstańczy ks. Serafin Szulc (ten i następne cytaty uczestników powstania za: „Zapomniane wspomnienia”, oprac. E. Kozłowski, Warszawa 1981).

Tak oto ciężką klęską zakończyła się wyprawa oddziału Apolinarego Kurowskiego na Miechów, przedsięwzięta niecały miesiąc po wybuchu powstania. Jak pisał inny z jej uczestników, „potyczka ta, którą rzezią nazwać można, lekkomyślnie była prowadzoną, bez obliczenia sił nieprzyjaciela i jego dogodnej pozycji”, czego dowodziło rzucenie kawalerii powstańczej w wąskie uliczki miejskie, gdzie stały się łatwym celem doskonale przygotowanych na atak Moskali. Co było przyczyną takich decyzji Kurowskiego? Odpowiedź daje ks. Szulc, który pisał, że dowódca powstańczy, obywatel ziemski z powiatu jędrzejowskiego, „całą duszą i sercem Polak, dla niezawisłości i dobra Ojczyzny gotów poświęcić całe swoje mienie, życie i wszystko, co mu jest najdroższe – chęci okazał najlepsze, lecz nie posiadał wiadomości wojskowych i doświadczenia w boju”. Kurowski, uznany za winnego klęski, został odsunięty od dowodzenia oddziałami powstańczymi. Pojawił się na polu walki ponownie dopiero niemal rok później, jako jeden z dwóch dowódców wspomnianego, zakończonego klęską ataku na Opatów.

Jednak 4 lutego 1863 r. połączone oddziały Antoniego Jeziorańskiego (wkrótce mianowanego generałem) i gen. Józefa Śmiechowskiego – dawnego

eprasa.pl fe1ca3b33c

Zdobycie Rawy przez powstańców FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

podchorążaka i weterana powstania listopadowego – uderzyły na garnizon rosyjski w Rawie (dziś Rawa Mazowiecka). Dobrze zaplanowany atak zakończył się zdobyciem miasta, a w nim niemałej ilości broni i amunicji. Jak zgodnie podkreślają historycy, był to jeden z największych sukcesów odniesionych w pierwszych tygodniach powstania. Tym bardziej znaczących, że siły powstańcze znacznie ustępowały przeciwnikowi nie tylko liczebnością, lecz także uzbrojeniem – na ok. 450 powstańców ledwie co trzeci miał broń palną, zwykle myśliwską. Warto też wspomnieć, że spośród jeńców dwóch – Iwan Maksymowicz i Fedor Jakowlewicz – przyłączyło się do Polaków; pierwszy poległ wkrótce pod Małogoszczą, a drugi pod Pieskową Skałą (gdzie notabene zginął też jeden z najbardziej znanych oficerów carskiej armii, walczący po stronie powstańców – Andriej Potiebnia).

Chyba największym bohaterem zwycięstwa odniesionego pod Rawą był kpt. Aleksander Sokołowski, były oficer carski, o którego męstwie pozostawił świadectwo uczestnik bitwy Tomasz Winnicki: „Poprowadził on kolumny strzelców i kosynierów, a nim dopaść zdołano do koszar, był on już 2 razy rannym, w lewą rękę i w udo nogi. Idąc na czele, służył on za cel główny Moskalom, to też pod samymi już koszarami postrzał 3 dostał w prawy bok, a kula przeszła na wylot, pomimo to jednak pierwszy wyskoczył na okno, »za mną wiara« wołając, gdy w tym momencie pchnięty ukośnie bagnetem w bok spadł z okna, ale jeszcze się dźwignął i wdrapał na okno, skąd po raz drugi spadł ugodzony kulą, która zerwała mu dolną wargę, a zdaje się jednocześnie był pchnięty bagnetem w nos, z którego kawałki rozszarpane wisiały. […] Tak ciężko rannego unieśli kosynierzy spod strzałów moskiewskich. Po wzięciu Rawy zajęliśmy się pogrzebaniem poległych i opatrzeniem rannych. Dr Grzyb[czyk], obozowy lekarz, wydobył kule z ręki i nogi Sokołowskiego. Byłem obecny przy tej operacji. Był to widok przerażający, a zarazem i wzniosły, jaki przedstawiał mnie Sokołowski. Żądał on tylko, by mu najpierw opatrzono nos poszarpany w strzępki bagnetem i usta kulą oderwane. A gdy się stało zadość jego żądaniu, poprosił o cygaro i zwracając się do stojących w niemym zdumieniu żołnierzy, odezwał się: »Wariaty! Czego buczycie? A baby, baby! Będziemy jeszcze razem bić wroga! […] Mazgaje, co robicie! Idźcie sobie lepiej stąd« – szeptał Sokołowski…”.

Dzielny kapitan z powodu ran został pozostawiony, wraz z dwoma rannymi kosynierami, w pobliżu Rawy, u obywatela G., którego nazwiska pamiętnikarz niestety zapomniał. Zalecono mu, by jak najszybciej przewiózł rannych do pewniejszego schronienia. Ów G. „raczył tak się przejąć tą sprawą, że [...] wydał już swej służbie rozkazy przygotowania do tej drogi powozu. Jednakże skoro tylko opuścił oddział nasz podwórze jego, uznał najwłaściwszym donieść Moskalom w Skierniewicach, iż ranny Sokołowski pozostawiony mu na kwaterze, przy czym nie omieszkał zdać raportu szczegółowego o naszych siłach”. Sokołowskiego z dwoma kosynierami przewieziono do Cytadeli Warszawskiej. Tam dzielny kapitan, kiedy tylko został trochę podleczony, przeszedł śledczą indagację, po czym po kilku następnych tygodniach został rozstrzelany na stokach Cytadeli. Jego los podzielili zapewne i dwaj kosynierzy. Nic nie wiadomo, by obywatel G. został ukarany za zdradę.

Antoni Jeziorański i Józef Śmiechowski po odejściu z Rawy z powodzeniem nadal walczyli z Moskalami, po czym podporządkowali się gen. Marianowi Langiewiczowi. Po rozbiciu jego zgrupowania znów bili się samodzielnie, 1 i 6 maja 1863 r. staczając zwycięską bitwę obronną w lesie pod Kobylanką. Mimo to kilka dni później najpierw Jeziorański, a w ślad za nim Śmiechowski zostali zmuszeni do przekroczenia granicy austriackiej. Nie udało im się wrócić na pole walki, a Jeziorański został na kilkanaście miesięcy uwięziony w złowrogiej twierdzy Kufstein.

Blacharz „Lelewel”

Stereotypowa opinia o wojsku powstańczym 1863 r. przedstawia je jako byle jak umundurowane, z dwururką i kosą osadzoną na sztorc idące na moskiewskie armaty, jak w znanej piosence z tamtych czasów o pójściu naszych w bój bez broni. Zdarzało się i tak, ale nie było to wcale regułą. Oto jak bowiem, przykładowo, prezentowała się partia jednego z wybitnych dowódców powstańczych płk. Marcina Borelowskiego „Lelewela”. „Oddział cały liczył do 800 ludzi, przeszło 200 było kawalerii, reszta zaś piechota dobrze uzbrojona. Konnica na 3 oddziałki była podzielona; pierwszy stanowił żandarmów. Było ich 30, uzbrojeni byli w szable i rewolwery. Umundurowani byli wszyscy jednakowo: granatowe garibaldówki z żółtymi guziczkami, z tej materii spodnie i francuskie kepi

eprasa.pl fe1ca3b33c

(czapeczki). Drugi oddział stanowił ułanów, ale nie mieli proporców, tylko same szable, tabaczkowe mundury z czerwonymi wyłogami. Trzeci oddział stanowili kozacy także o szablach, sieraczkowy strój kompletny, konfederatki z różowymi wypustkami i takież same rabaty przy mundurach, obok których szły dwa rzędy drobnych guziczków stalowych. Piechota miała być zupełnie aż [w] głębi Kongresówki umundurowana, dlatego pierwsza kompania, albo gwardia, była jednostajnie ubrana" – wspominał Feliks Wiktor Riedl.

Z takimi siłami po raz trzeci już w tym powstaniu wyruszył przeciw Moskwie 34-letni płk Borelowski. Siedemnaście lat wcześniej młody chłopak z Półwsia Zwierzynieckiego (obecnie części Krakowa) został ukarany publiczną chłostą na rynku krakowskim przez innego zaborcę, austriackiego, za przenoszenie broni dla powstańców 1846 r. Później czeladnik blacharski wędrował za pracą po monarchii austriackiej i ziemiach niemieckich. Wrócił do kraju w 1857 r. i osiadł w Rzeszowie, gdzie jako wyróżniającego się w swoim fachu przyjęto go do cechu blacharzy. Zapewnił sobie w ten sposób tzw. bezpieczną przyszłość.

Marcin Borelowski miał jednak inną jeszcze, większą niż zawodowa, pasję. Była nią historia Polski – namiętnie pochłaniał książki jej poświęcone, a jego ulubionym pisarzem był Joachim Lelewel. To zaś sprawiło, że nie mógł pozostać obojętny na wiadomości o demonstracjach patriotycznych przeciw rosyjskiemu zniewoleniu, które napływały z Warszawy. W 1860 r. porzucił cech blacharski w Rzeszowie i przeniósł się do stolicy, gdzie pod pseudonimem Lelewel zaczął pracować jako studniarz (czyli kopacz studni) i szybko związał się z powstającym ruchem spiskowym, który z czasem przybrał nazwę Czerwonych.

W noc styczniową 1863 r., mianowany pułkownikiem, został organizatorem oddziałów powstańczych na Podlasiu. Z niewielkimi początkowo siłami kierował się w Lubelskie. Jak pisał Piotr Łossowski, „głównym celem tej wyprawy było głoszenie o powstaniu Rządu Narodowego i zdobycie broni. »Lelewel« wkroczył do Baranowa, Firleja, Kocka i Włodawy". Po zwycięskich potyczkach, stoczonych z carskim wojskiem na początku marca, zajął Hrubieszów, choć dysponował zaledwie nieco ponad 300 żołnierzami, z czego jednak aż 160 uzbrojonych było w kosy, a kilkudziesięciu – w kije. Stoczywszy jeszcze bój pod Krasnobrodem, przekazał dowództwo i udał się do Galicji, by formować kolejny oddział. Od kwietnia do maja na czele nowej partii skutecznie bił się na Lubelszczyźnie, m.in. odnosząc duże zwycięstwo pod Chruśliną. Wkrótce ponownie udał się go Galicji, by w końcu sierpnia po raz trzeci wkroczyć w Lubelskie.

Krótka to była kampania. 3 września 1863 r., choć kosztem dużych strat, zwyciężył pod Panasówką. Trzy dni później pod Batorzem przyszło do kolejnej bitwy. Może i z tej potrzeby udałoby się wyjść zwycięsko, gdyby nie śmierć dowódcy, której świadkiem był wspomniany już Riedl. Raniony, zachęcał innych do walki, „krzycząc ciągle: »Bracia, naprzód! Kosyniery, naprzód«". Szybko stracił jednak zapał, co sam przyznaje, na widok przechodzących obok niego rannych kolegów:

„Temu policzki wskroś przeszyła kula, temu wisi ręka na nieprzestrzelonym ciele, temu piersi rozdarł szczerep [odłamek] granatu, a każdy z nich krwią własną zalany [...]. Na moją pociechę nadjechał Lelewel i dał rozkaz, aby kosynierzy ruszyli naprzód. Spojrzał na mnie i z politowaniem pyta się: »Cóż ty, mały, ranny?«. Ledwie to wyrzekł, trafia go kula w samo kolano. Miał jeszcze na tyle przytomności, że uchwyciwszy się za grzywę swego myszki (ślicznego miał konika szarej maści), zsunął się na dół. Widać, że miał okropne boleści, bo jak trup zbladł i jakby zzieleniał w jednej chwili. Nadskoczyli adiutanci, podnoszą go, a on wyciąga z zanadrza papiery i pieniądze i oddaje jednemu z nich, i te ostatnie wymówił słowa: »Weźcie papiery«, bo druga kula, w tej chwili, kiedy go podnoszono, ugodziła go w żołądek. Co się z trupem stało, nie wiem, czy go zostawili czy też odnieśli na furgony. W okamgnieniu rozeszła się ta smutna wieść po szeregach i zaraz dały się słyszeć głosy, oznajmując jeden drugiemu: »Wódz padł, Lelewel zabity« [...]. Timor occupavit membra [strach opanował członki] i była główną przyczyną nagłego odwrotu; gdzie tam odwrotu, ale – ad verbum [dosłownie] haniebnej ucieczki [...]".

Józef Śmiechowski

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Pod Batorzem nie doszło więc do klęski, jak podają opracowania poświęcone powstaniu 1863 r., lecz raczej do sytuacji dość charakterystycznej dla przebiegu toczonych wówczas zmagań. Ci, którzy ocaleli po rozbiciu lub rozproszeniu swojej partii, o ile nie byli ranni lub zniechęceni do dalszej walki, dążyli do tego, by zebrać się ponownie pod tym samym lub innym dowódcą. Po to, by bić się dalej, aż do wiosny 1864 r., kiedy najdzielniejsi polegli lub zostali zmuszeni do opuszczenia placu boju. Był wśród nich dowódca ostatniego dużego zgrupowania, gen. Józef Hauke „Bosak", który przeszedł granicę w połowie kwietnia. Za nim podążyli ostatni pozostający jeszcze w polu jego podkomendni, jak wspomniany już uczestnik bitwy opatowskiej Izydor Karlsbad czy Jan Rudowski, który jeszcze w kwietniu 1864 r. zwycięsko potykał się z Rosjanami, lecz już w następnym miesiącu, zewsząd osaczany, musiał przedostać się za granicę austriacką.

Powstanie styczniowe niezależnie od dyskusji o jego znaczeniu dla sprawy polskiej było niewątpliwie wyrazem heroicznego sprzeciwu wobec niewoli, w której naród polski pozostawał od kilkudziesięciu lat. Przyznają to także historycy i publicyści dalecy od taniej, bezkrytycznej apologetyki, jak Tomasz Łubieński, który w „Bić się czy nie bić" zauważył, że „mechanizm życia musiał się prędzej czy później zwrócić przeciw okupantowi", sprzeciwić się „ambicji zaborcy, który postanowił ostatecznie spacyfikować ducha narodowego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Brytyjski niszczyciel HMS „Campbeltown" wbity we wrota suchego doku „Normandie" w Saint-Nazaire

FOT. BUNDESARCHIV/WIKIMEDIA COMMONS

Wywiad / Z Jeanem-Charles'em Stasim, autorem książki „Operation Chariot"

rozmawia Piotr Włoczyk

Prosto we wrota bestii

– W Wielkiej Brytanii ta operacja znana jest jako „Najwspanialszy rajd w historii". Myślę, że Brytyjczycy niewiele w tym przesadzają. W całej historii drugiej wojny światowej trudno znaleźć równie brawurową i spektakularną operację specjalną – mówi francuski historyk

PIOTR WŁOCZYK: Dlaczego istnienie „Normandie" spędzało Winstonowi Churchillowi sen z powiek?

JEAN-CHARLES STASI: Chodziło o jego rozmiary. „Normandie" w Saint-Nazaire był jedynym suchym dokiem w Europie – poza Niemcami – który był w stanie pomieścić „bestię Hitlera", która tak bardzo niepokoiła Churchilla.

Dwustupięćdziesięciometrowy „Tirpitz" uzbrojony był m.in. w osiem dział kalibru 380 mm.

Ten olbrzymi pancernik, bliźniak „Bismarcka", w opinii Brytyjczyków stanowił wielkie niebezpieczeństwo dla konwojów atlantyckich. Był to bardzo szybki, doskonale opancerzony i uzbrojony okręt, który musiał zostać zneutralizowany. Uznano, że najłatwiej będzie zniszczyć jedyny dok, który mógł być wykorzystywany do naprawiania i serwisowania tej jednostki.

Używanie suchych doków w Niemczech nie wchodziło w grę?

Musielibyśmy spojrzeć na mapę. Gdyby „Tirpitz" grasował na Atlantyku i został uszkodzony, zachodnie wybrzeże Francji z Saint-Nazaire to jedyna sensowna opcja na dokonanie napraw. Przedzieranie się do Niemiec przez wody w pobliżu Wielkiej Brytanii byłoby w takiej sytuacji bardzo niebezpieczne i zajmowałoby o wiele więcej czasu. A przecież mniejsze lub większe uszkodzenia byłyby tylko kwestią czasu, bo „Tirpitza" tropiłaby połowa Royal Navy. Skoro niemieckie doki nie wchodziły w grę, to zostawało tylko Saint-Nazaire. Nawiasem mówiąc, wie pan, do którego portu zmierzał „Bismarck", gdy jego kapitan liczył jeszcze, że uda się naprawić uszkodzenia spowodowane przez trafienia Royal Navy? No właśnie – dlatego „Normandie" musiał zostać zniszczony.

Najprostsza opcja, zbombardowanie tego doku, nie wchodziła w grę?

Nie, ponieważ uszkodzenie z powietrza potężnych stalowych wrót suchego doku wymagałoby niezwykle precyzyjnego bombardowania, a całe Saint-Nazaire było bardzo dobrze chronione przez Niemców. Stacjonowało tam 5 tys. żołnierzy. Poza „Normandie" Niemcy mieli tam dużą bazę okrętów podwodnych i rejon ten wręcz naszpikowany był obroną przeciwlotniczą. Bombardowanie kompletnie więc nie wchodziło w grę.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Atak torpedowy w wykonaniu okrętu podwodnego również skazany byłby na niepowodzenie?

Tak. Rejon portu strzeżony był zbyt dobrze, Niemcy rozstawili tam sieci zagrodowe i skrajnie mało prawdopodobne było, by wrogi okręt podwodny był w stanie przedrzeć się przez takie zabezpieczenia. Ponieważ jednak Churchill i lord Louis Mountbatten, świeżo upieczony szef operacji połączonych, zdecydowali o zniszczeniu „Normandie", brytyjskim planistom pozostało tylko jedno rozwiązanie – podstęp.

Przedstawmy więc głównego bohatera operacji „Chariot" – HMS „Campbeltown".

Do 1940 r. okręt ten nosił nazwę USS „Buchanan" i pływał pod banderą USA. Amerykanie przekazali wówczas ten stary niszczyciel Royal Navy. W połowie marca 1942 r. okręt przeszedł gruntowną metamorfozę. Brytyjczycy postanowili upodobnić go, na ile to było możliwe, do niemieckiego torpedowca klasy „Möwe". Najważniejszą modyfikacją w tym zakresie była likwidacja dwóch kominów i ścięcie pod kątem dwóch pozostałych. Dzięki temu istniała spora szansa, że nocą okręt ten będzie w stanie odgrywać przez kilka kluczowych minut niemiecką jednostkę. „Campbeltowna" trzeba było też mocno odchudzić, aby był w stanie przedrzeć się przez ujście Loary i podpłynąć do doku. Dodano także specjalne stalowe płyty na pokładzie, by mogli się za nimi chronić komandosi podczas spodziewanej wymiany ognia, a także zamontowano kilka dodatkowych karabinów maszynowych.

Inną „modyfikacją" niszczyciela było wypełnienie przedniej części jego kadłuba potężnym ładunkiem wybuchowym. W jakich konkretnie okolicznościach miało dojść do eksplozji?

Brytyjscy planiści stwierdzili, że najlepiej będzie, jeżeli okręt przy pełnej prędkości uderzy we wrota i zawiśnie na nich przednią częścią kadłuba. W spodziewanym miejscu styku kadłuba z wrotami ułożono ładunki wybuchowe z zapalnikami czasowymi.

Plan Brytyjczyków był jednak dużo bardziej ambitny. Dlatego w operacji, obok sił Royal Navy, miało wziąć udział ponad 250 komandosów British Army.

Komandosi mieli siać chaos i zniszczenie na terenie portu. Ich zadaniem było m.in. wysadzenie w powietrze bardzo cennych pomp, bez których suchy dok nie mógł działać. To była absolutna żołnierska elita brytyjskich sił zbrojnych. Byli to młodzi, doskonale wykształceni i wytrenowani mężczyźni, którzy byli żądni zemsty na Niemcach. Pamiętajmy bowiem o kontekście tej misji. W marcu 1942 r. Niemcy wydawali się niekwestionowaną potęgą, a na brytyjskich miastach wciąż widać było rany po powietrznym „blitzu". Społeczeństwo brytyjskie czekało na wielki sukces, który da nadzieję na przyszłość. Uczestnikami operacji „Chariot" kierował „duch Dunkierki", czyli przekonanie, że wbrew wszelkim przeciwnościom Wielka Brytania da radę. Ta grupa 600 mężczyzn chciała pokazać, że można zranić Niemców. Charles Newman, który dowodził komandosami, powiedział im, że z powodu skali trudności tej misji można bez wstydu zrezygnować i wobec takich osób nie zostaną wyciągnięte żadne konsekwencje. Nawet jeden żołnierz nie zrezygnował – wszyscy chcieli popłynąć do Saint-Nazaire!

Dok „Nazaire" współcześnie. Poniżej: sylwetka, plan i dane pancernika „Tirpitz"

FOT. WIKIPEDIA (2)

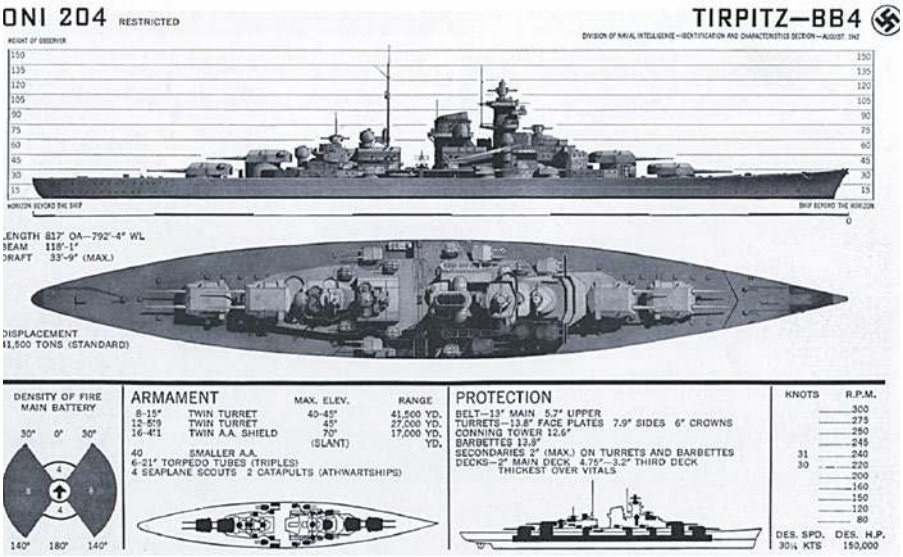

eprasa.pl fe1ca3b33c

Ranni komandosi brytyjscy i żołnierze niemieccy
FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

i wykonać niemożliwe – wydawałoby się – zdanie.

Około pół godziny po północy 28 marca 1942 r. brytyjski konwój pojawił się przy szerokim ujściu Loary. Jednak Brytyjczycy nie korzystali z głębokiego toru wodnego biegnącego tuż przy brzegu – a więc przy stanowiskach ogniowych i obserwacyjnych – i zamiast tego zaczęli płynąć środkiem, gdzie było jednak niebezpiecznie płytko...

Właśnie w tym celu odchudzono „Campbeltowna", by niszczyciel nie osiadł na mieliźnie. Flotylla mniejszych stateczków nie miała oczywiście z płytką wodą żadnych problemów. W każdym razie modyfikacja kominów zrobiła swoje. Potężne niemieckie działa, znajdujące się u samego ujścia Loary, milczały, Niemcy wzięli okręt za swój! Gdyby te działa ostrzelały wtedy na „dzień dobry" „Campbeltowna", misja byłaby zakończona – okręt z pewnością zostałby rozerwany na strzępy. Ku radości Brytyjczyków ich niszczyciel płynął dalej bardzo szybko, pokonując kolejne kilometry i zbliżając się do portu. Sytuacja ta nie mogła jednak trwać zbyt długo i w końcu jednak odezwały się baterie artylerii znajdujące się bliżej suchego doku. Niemieckie armaty kilkukrotnie wystrzeliły.

Brytyjczycy byli jednak na to przygotowani – mieli w ręku bardzo cenną książeczkę.

Kriegsmarine nie zdawało sobie sprawy, że Royal Navy przejęło kody sygnalizacji świetlnej. Załoga „Campbeltowna" wysłała na brzeg komunikat „friendly fire!". Działa umilkły na pewien czas, dając Brytyjczykom bezcenne minuty. Niemcy byli kompletnie zbici z tropu, nie mieli pojęcia, jak rozumieć tę sytuację! Co to za okręt i dlaczego zachowuje się tak dziwnie?! W końcu jednak jasne się stało, że dali się oszukać. I wtedy rozpętało się prawdziwe piekło...

Brytyjczycy byli już blisko wrót „Normandie", gdy wszystkie niemieckie działa skierowały się na „Campbeltowna" i towarzyszące mu stateczki z komandosami. W powietrzu fruwały pociski i odłamki metalu oraz drewna z szatkowanych stateczków. „Campbeltown" utrzymywał jednak kurs i z pełną prędkością pruł wprost na wrota suchego doku. Brytyjscy komandosi nie próżnowali i odpowiadali ogniem do stanowisk ulokowanych na nabrzeżu.

Niszczyciel uderzył dokładnie tak, jak było to zaplanowane?

Wrota „Normandie" zostały staranowane w sposób wręcz idealny! Dowodzący „Campbeltownem" Stephen Beattie powiedział wtedy słynne słowa: „Tak więc dotarliśmy na miejsce, choć cztery minuty spóźnieni".

Brytyjski karabinek De Lisle
FOT. WIKIPEDIA

Komandosi, którzy znajdowali się na niszczycielu, błyskawicznie zeszli na ląd i rozpoczęli swoje dzieło zniszczenia. Dołączyli do nich koledzy ze stateczków, które zdołały przetrwać nawałę ogniową. Na terenie portu rozpoczęła się regularna bitwa. Brytyjczycy wysadzali kolejne instalacje i ostrzeliwali się przed napierającymi Niemcami, którzy mieli miażdżącą przewagę liczebną – przypomnę, że stacjonowało tam ok. 5 tys. niemieckich żołnierzy. Straty wśród komandosów były ogromne, ale mimo to kolejne instalacje wylatywały w powietrze. Najważniejsze, że udało im się wysadzić pompy, mimo że mieli na to bardzo mało czasu. Niestety, komandosom nie udało się zrobić dużych zniszczeń na terenie bazy okrętów podwodnych – ich siły okazały się zbyt szczupłe wobec przewagi obrońców. W ciągu kilku kolejnych godzin Niemcy zdławili ostatnie punkty oporu. Rano było już po wszystkim.

Niemcy mimo wszystko uważali misję komandosów za fiasko?

Widok niszczyciela wbitego we wrota był wprawdzie spektakularny, ale jednak niemieccy specjaliści oceniali, że wrota dosyć szybko uda się naprawić. „Normandie" przetrwał i Niemcy mogli czuć satysfakcję!

Wokół „Campbeltowna" szybko zrobiło się tłoczno. Niemieccy oficerowie ściągali nawet swoje żony, by na własne oczy zobaczyły ten niezwykły widok...

Niemcy z ciekawością przechadzali się po pokładzie niszczyciela, zaglądając we wszystkie dziury. To była dla nich wielka atrakcja. W tym czasie niemiecki oficer przesłuchiwał dowódcę niszczyciela Stephena Beattiego. Powiedział do niego: „Zobacz, wasza operacja zakończyła się fiaskiem". To musiała być iście filmowa scena. Tuż po tych słowach portem wstrząsnęła potężna eksplozja. Beattie uśmiechnął się wówczas i powiedział: „A jednak to był sukces".

Zapalnik czasowy, choć z większym opóźnieniem niż zakładano, ale jednak zadziałał. Cztery i pół tony materiałów wybuchowych spowodowało totalne zniszczenie.

Dlaczego Niemcy nie zauważyli bomb na pokładzie niszczyciela?

Brytyjczycy postarali się, żeby doskonale zamaskować ładunki wybuchowe. Niemcy nie mieli pojęcia, że

eprasa.pl fe1ca3b33c

Sztylet brytyjskich komandosów

FOT. WIKIPEDIA

spacerują po tykającej bombie. Wrota rozpadły się i szczątki niszczyciela wpadły do suchego doku wraz z masami wody. Eksplozja zabiła ponad 400 niemieckich oficerów i żołnierzy! W jednej sekundzie euforia Niemców zamieniła się w czarną rozpacz. Hitler miał fatalny dzień. To było dla niego wielkie upokorzenie i oczywiście szalał z wściekłości.

Wielka Brytania wybuchła natomiast z radości. Brytyjczyków rozpierała duma z komandosów i marynarzy. Echo eksplozji „Campbeltowna" rozeszło się po całym świecie, dając nadzieję milionom ludzi na pokonanie Niemców. To było bezcenne dla alianckiej propagandy. Cena tego sukcesu była jednak bardzo wysoka. Spośród 600 zaangażowanych w misję Brytyjczyków 169 zginęło, a nieco ponad 200 dostało się do niewoli. Na Wyspy – na pokładzie kilku ocalałych małych jednostek – wróciło więc zaledwie ok. 200 osób.

Jak Niemcy traktowali pojmanych komandosów i marynarzy?

Z ogromnym respektem! Trzeba przyznać, że Niemcy zachowywali się wobec tych jeńców bardzo dobrze. Mimo wszystko doceniali ich odwagę i determinację. Poległym Brytyjczykom zorganizowali nawet uroczyste pogrzeby!

Co ciekawe, pięciu komandosom udało się po akcji przedrzeć z Saint-Nazaire przez Hiszpanię i Gibraltar z powrotem do Wielkiej Brytanii.

To byli wyjątkowi twardziele, którzy do tego mieli jeszcze sporo oleju w głowie. Ale to nie był koniec niespodzianek. Brytyjscy oficerowie, którzy brali udział w operacji „Chariot", zostali zamknięci w zamku Colditz niedaleko Lipska w Rzeszy. Część z nich uciekła potem z zamku i przez Francję, Hiszpanię i Gibraltar wróciła na Wyspy!

Kiedy udało się naprawić zniszczenia w „Normandie"?

Dopiero w 1947 r.! Niemcy do końca wojny nie mogli go używać! „Tirpitz" nie mógł korzystać z „Normandie", więc pirackie rajdy po Atlantyku nie wchodziły w grę. Ten potężny pancernik resztę wojny spędził ukryty w norweskich fiordach. Hitler bardzo się bał utraty kolejnego, po „Bismarcku", ogromnego okrętu. Ale w końcu w listopadzie 1944 r. brytyjskie bombowce, po kilku nieudanych próbach, zatopiły tę bestię.

Miał pan jeszcze to szczęście, że zbierając materiały do swojej książki, mógł pan poznać komandosów z Saint-Nazaire.

Ci ludzie do końca swoich dni nazywali się dumnie „Charioters". Przyjeżdżali na kolejne rocznice do Saint-Nazaire i raczyli nas swoimi niesamowitymi wspomnieniami z 28 marca 1942 r. Szczególnie ciepłym człowiekiem był zmarły trzy lata temu Bill „Tiger" Watson, który widoczny jest na słynnym zdjęciu z Saint-Nazaire, gdy Niemcy pojmali komandosów. Przecież Bill wygląda na nim wypisz wymaluj jak słynny hollywoodzki aktor Matt Damon!

W Wielkiej Brytanii ta operacja znana jest jako „Najwspanialszy rajd w historii". Myślę, że Brytyjczycy niewiele w tym przesadzają. W całej historii drugiej wojny światowej trudno znaleźć równie brawurową i spektakularną operację specjalną. Komandor Robert Ryder, który dowodził siłami Royal Navy w czasie rajdu na Saint-Nazaire, stwierdził, że tak naprawdę była to samobójcza misja. Bez wątpienia operacja „Chariot" była kompletnym szaleństwem i tylko Bóg jeden raczy wiedzieć, jakim cudem to się udało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jean-Charles Stasi jest francuskim historykiem i dziennikarzem, autorem książki pt. „Operation Chariot" opisującej brytyjski rajd na Saint-Nazaire.

REKLAMA

eprasa.pl fe1ca3b33c

Świadectwo / Z Januszem Grudzińskim, znanym rockmanem

rozmawia Maciej Rosalak

Królowa Polska

Nie wiedziałem, że kompozytor i instrumentalista Janusz Grudziński z takim zamiłowaniem uwiecznia w obiektywie nieznane szerzej ślady historii...

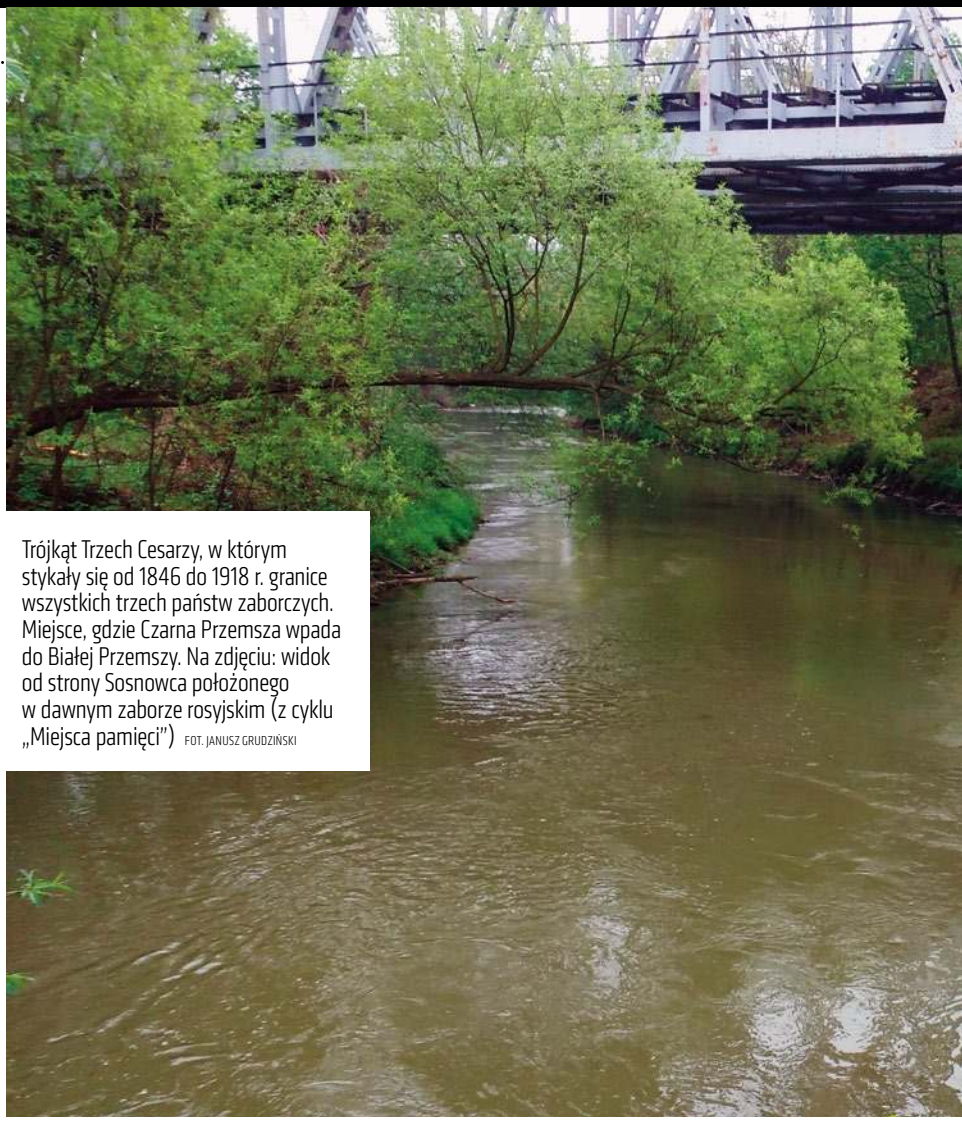

Trójkąt Trzech Cesarzy, w którym stykały się od 1846 do 1918 r. granice wszystkich trzech państw zaborczych. Miejsce, gdzie Czarna Przemsza wpada do Białej Przemszy. Na zdjęciu: widok od strony Sosnowca położonego w dawnym zaborze rosyjskim (z cyklu „Miejsca pamięci") FOT. JANUSZ GRUDZIŃSKI

MACIEJ ROSALAK: Na pendrivie od ciebie znalazłem dziesiątki, a może i setki zdjęć, pamiątek naszej historii, z twoją głęboko poruszającą muzyką w tle. Fotoreportaż zatytułowałeś „Królowa Polska", a poprzedza go motto z „Boskiej komedii" Dantego. Dlaczego ten właśnie cytat otwiera twój elektroniczny album?

JANUSZ GRUDZIŃSKI: Cały ów cytat brzmi:

Jeśli wam chociaż jeszcze jedna chwila
W zmysłach czuwania przed śmiercią zostaje,
Nie żmudźcie duszę wydobyć z ciemnoty
Idąc za Stwórcą w niemieszkane kraje.
Zważcie plemienia waszego przymioty
Nie przeznaczono wam żyć jak zwierzęta
Lecz poszukiwać i wiedzy i cnoty
(„Piekło/Pieśń XXVI", tłum. Edward Porębowicz)

Cytat ten wydał mi się doskonałym mottem dla moich poczynań, których efektem jest – jak ty to nazywasz – elektroniczny album czy inaczej – multimedialny pokaz zdjęć. Widnieje on na tablicy umieszczonej na dziedzińcu kościoła w Sieniawie. Notabene w tejże Sieniawie, w pałacu Czartoryskich, przechowywano w czasie okupacji „Damę z gronostajem" Leonarda da Vinci...

Skąd to zainteresowanie historią? Czy jeżdżąc po Polsce – zwłaszcza po jej wschodnich obszarach – z góry wiedziałeś, czego szukasz, czy też ślady przeszłości znajdowane w kościołach, na grobach i pomnikach ciebie samego aż tak bardzo zaskoczyły, że zapragnąłeś je uwiecznić?

Historią interesowałem się od dziecka. Pochłaniałem np. podręczniki do historii mojej dwa lata starszej siostry, dzięki którym wiedziałem dużo wcześniej, „co będzie dalej". Później z kolei dowiadywałem się, „jak było naprawdę", czytając przedwojenne książki historyczne z księgozbioru mojego dziadka.

Co do drugiej części pytania, to większość rzeczy, miejsc, które dokumentowałem, była dotychczas zupełnie mi nieznana. O innych wiedziałem, że są, ale najczęściej nigdy ich wcześniej

eprasa.pl fe1ca3b33c

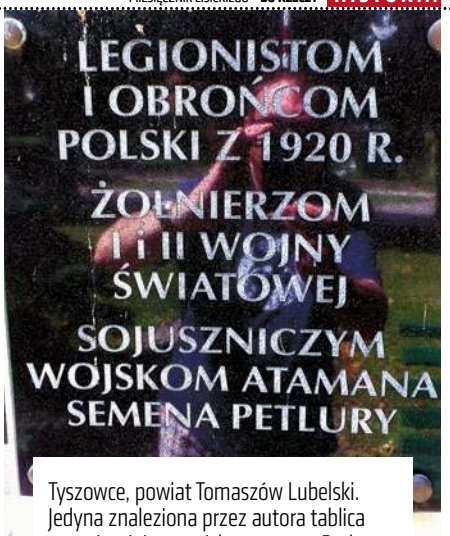

Tyszowce, powiat Tomaszów Lubelski. Jedyna znaleziona przez autora tablica upamiętniająca wojska atamana Petlury (z cyklu „Miejsca pamięci") FOT. JANUSZ GRUDZIŃSKI

nie widziałem. Tak było np. z Trójkątem Trzech Cesarzy, czyli miejscem styku trzech zaborów. Kiedy je pierwszy raz zobaczyłem (jest to ujście Czarnej Przemszy do Białej Przemszy), nie było tam nic, co upamiętniałoby jego historyczne znaczenie. Moje zaskoczenie było tym większe, że wiedziałem, iż przed rokiem 1914 była to wielka atrakcja turystyczna na skalę europejską. Może nasze władze (np. MKiDN) mogłyby stworzyć jakąś godną oprawę temu ważnemu dla historii Polski miejscu.

Czy na cmentarzu w Kuryłówce pod Leżajskiem szukałeś śladu zaciętej, stoczonej tu w maju 1945 r. przez oddziały Narodowej Organizacji Wojskowej bitwy z NKWD? Może zaintrygował cię nagrobek Józefa Zadzierskiego „Wołyniaka"?

Cóż… Odwiedziłem ten cmentarz tylko ze względu na jego piękne położenie na wzgórzu.

Wśród wielu innych inskrypcji pokazujesz m.in. tablicę na ścianie kościoła, upamiętniającą ślub cichociemnego zawarty 3 sierpnia 1944 r. (a więc podczas akcji „Burza"), inną – poświęconą AK-WiN Drohiczyn – i kolejne – zawierające np. wspomnienie represji w latach 50. wobec bp. Baraniaka czy małoletnich uczestników konspiracji niepodległościowej zsyłanych przez „władzę ludową" do kopalń na zatracenie… Większość inskrypcji poświęconych miejscowym oddziałom AK czy Żołnierzom Wyklętym, pamięci ich walki i martyrologii – które uwieczniłeś – mogła pojawić się dopiero w ciągu ostatnich 30 lat. Oznaczane bywają też np. katownie UB. Ale znajdowałeś również obeliski ku czci „poległych i pomordowanych w walce o władzę ludową" lub czerwonoarmistów.

Upamiętnienie konfliktów religijnych, które wybuchały po wprowadzeniu w 1596 r. unii brzeskiej między wspieranymi przez państwo polsko-litewskie unitami a prawosławnymi FOT. JANUSZ GRUDZIŃSKI

eprasa.pl fe1ca3b33c

Obeliski te, które nazywam ubeliskami, występują w różnych miejscach. Z roku na rok jest ich na szczęście coraz mniej. Zostają usunięte lub czasami napisy na nich są „przemłotkowywane", jak to się stało np. z tablicą na rynku w Kołbieli.

Głośnym – ale nadal niezbadanym! – przykładem martyrologii Żydów stał się 20 lat temu pogrom w Jedwabnem z 1941 r. W okolicy znalazłeś jednak świadectwo również polskich ofiar...

W Jedwabnem natknąłem się na mało rozreklamowaną tablicę poświęconą „Pamięci ok. 180 osób w tym 2 księży zamordowanych na terenie gminy Jedwabne w latach 1939–1956 przez NKWD, hitlerowców i UB".

Głównie na ziemiach podlaskiej i lubelskiej znajdowałeś przykłady konfliktów religijnych, które wybuchały po wprowadzeniu w 1596 r. unii brzeskiej między wspieranymi przez państwo polsko-litewskie unitami a prawosławnymi. Aż 400 lat później (1996) uczczono ofiary tych ostatnich, co by świadczyło, że długo trwało tu poczucie krzywdy wyrządzonej prawosławnym. Po upadku Rzeczypospolitej grekokatolicy bronili swego wyznania przed brutalną rusyfikacją ze strony caratu. Wybór bywał między prawosławiem a śmiercią. Świadczą o tym upamiętnienia wydarzeń z połowy lat 70. XIX w. w Pratulinie czy Włodawie, zachowany w Parczewie kamień, na którym katowano unitów, wspomnienie „męczenników podlaskich", beatyfikowanych przez Jana Pawła II. Obraz tzw. Ściany Wschodniej wyłania się z zestawienia tych zdjęć niby Ściana Płaczu...

Zjawisko to dotyczyło głównie południowego Podlasia. Rzeczywiście represje rosyjskie wobec unitów były często bardzo drastyczne, jak np. masakra wiernych broniących kościoła w Drelowie, w której zginęło 12 mężczyzn. Wynikało to z nienawiści do unitów jako odszczepieńców, zdrajców prawosławia.

Dziesiątki, setki ujęć składają się na twój zaskakujący fotoreportaż. Tworzą się ciągi wspomnień o naszych wielkich naczelnikach – Kościuszce i Piłsudskim – o obrońcach ojczyzny z lat 1920 i 1939 (bunkier kpt. Władysława Raginisa nad Wizną). Widać też żywą pamięć o błogosławionym ks. Jerzym Popiełuszce – nie tylko w podlaskiej Suchowoli, lecz także w Łańcucie czy Jarosławiu. Wyłania się z nich wielowątkowa, silnie chyba zakorzeniona na odwiedzonych przez ciebie terenach, przepojona polskością tradycja. Widzę na twoich fotosach i słyszę w twojej muzyce, że chyba dobrze się tu czujesz...

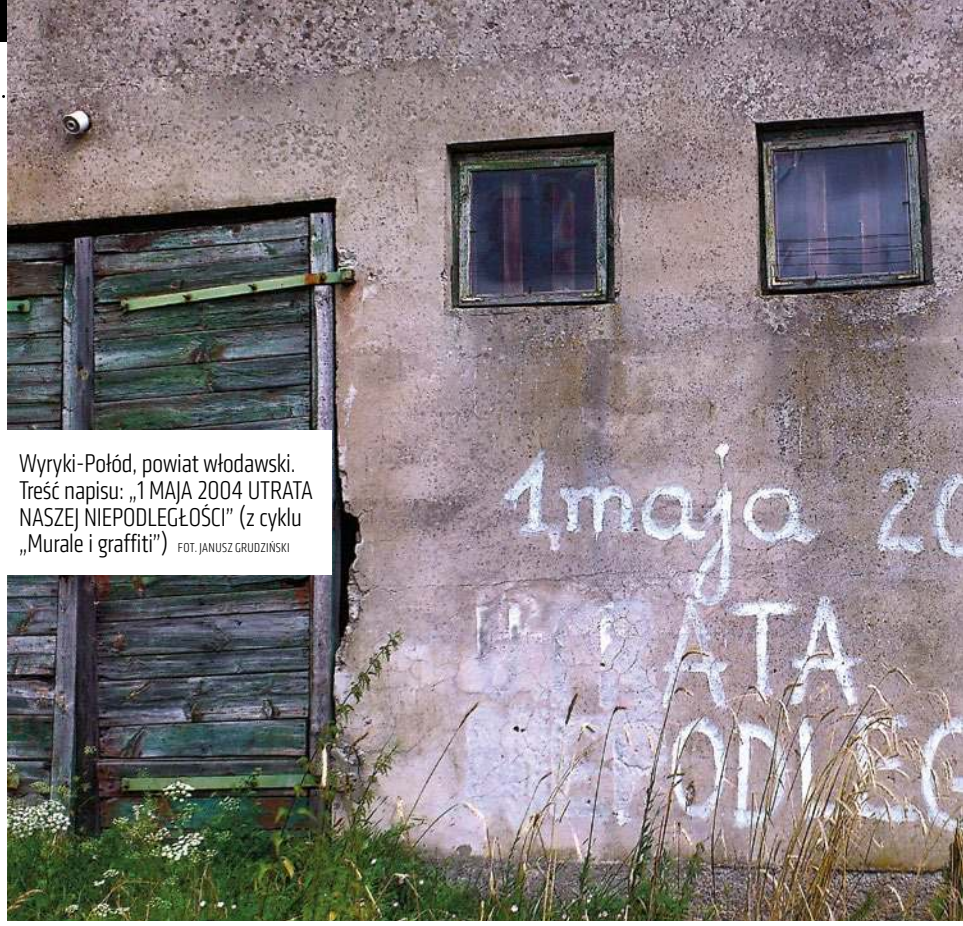

Wyryki-Połód, powiat włodawski. Treść napisu: „1 MAJA 2004 UTRATA NASZEJ NIEPODLEGŁOŚCI" (z cyklu „Murale i graffiti") FOT. JANUSZ GRUDZIŃSKI

Milejczyce, powiat siemiatycki. Cmentarz żołnierzy sowieckich ze znakiem zakazanym przez nasze prawo tak jak swastyka (z cyklu „Ubeliski") FOT. JANUSZ GRUDZIŃSKI

Tak. Na pewno. Podróżowanie po Polsce, samemu lub z przyjaciółmi, sprawiało mi wielką frajdę. Wspaniali ludzie, historia i teraźniejszość; interesowały mnie właściwie wszystkie aspekty życia. No i te wspaniałe krajobrazy... Ja od tych moich peregrynacji w pewnym momencie się uzależniłem. Po powrocie z jednej wyprawy już planowałem drugą. Teraz już naprawdę nie mam gdzie jeździć, bo wszędzie już byłem... Pokazuję więc te wszystkie cuda moim znajomym, a sam obserwuję zmiany, które zaszły w znanych mi miejscach. I co się okazuje? Że wcale jeszcze wszędzie nie byłem, bo za każdym razem odkrywam coś nowego. Towarzysze podróży odkrywają przede mną rzeczy, o których istnieniu dotych-

eprasa.pl fe1ca3b33c

Jedwabne, powiat łomżyński. Mało znana tablica... (z cyklu „Miejsca pamięci"

FOT. JANUSZ GRUDZIŃSKI

czas nie wiedziałem. Niezła zabawa... Polecam.

Mój multimedialny pokaz zdjęć „Królowa Polska" składa się z ok. 350 zdjęć podzielonych na 30 działów tematycznych. Całość ilustrowana jest moją muzyką. „Królowa Polska" to podróż po Polsce pokazująca nasz kraj w wielu aspektach – religijnym, historycznym, turystyczno-krajoznawczym, obyczajowym. Obok poruszania spraw poważnych jest tu także dużo miejsca na zdjęcia – myślę – zabawne, bez których obraz Polski byłby niepełny. „Królowa Polska" to efekt sześcioletnich podróży i dokumentowania wszystkiego, co wydawało mi się interesujące. Montaż całości to dzieło znanego reżysera Ryszarda Macieja Nyczki. Pokaz obejmuje obszar województw podlaskiego, mazowieckiego, lubelskiego, podkarpackiego, świętokrzyskiego i małopolskiego, czyli terenów, gdzie znaleźć można najwięcej śladów polskiej historii, równocześnie niezwykle atrakcyjnych krajobrazowo.

Gdzie można obejrzeć (i posłuchać!) cały pokaz?

Jest już na YouTube. Można go znaleźć, wpisując: „Janusz Grudziński Królowa Polska" lub „Multimedialny pokaz zdjęć Janusza Grudzińskiego".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Okolice Nowego Sącza. Królowa Polska włada tam, gdzie kończy się teren zabudowany?

FOT. JANUSZ GRUDZIŃSKI

Janusz Grudziński

– ur. 1961 r., absolwent socjologii i archeologii śródziemnomorskiej na UW. Od 1982 do 2020 r. członek zespołu Kult. Grał w nim na klawiszach, gitarze, wiolonczeli. Skomponował muzykę do wielu piosenek tego zespołu, m.in. takich hitów jak „Gdy nie ma dzieci", „Arahia" czy „Czarne słońca". Współtworzył duet Przyjaciele, grał z Orkiestrą na Zdrowie, założył legendarną formację Słowianie. W 2006 r. jako Xiążę Warszawski wydał solową płytę pt. „Olśnienie". Od 1991 r. tworzy również muzykę filmową i teatralną. Współpracował przy wielu dokumentach, m.in. z Marią Dłużewską i Jerzym Zalewskim. Komponował też muzykę do filmów fabularnych, takich jak „Gnoje" Jerzego Zalewskiego, „Belcanto" Ryszarda Macieja Nyczki, „Kratka" Pawła Łozińskiego, „Moje pieczone kurczaki" Iwony Siekierzyńskiej oraz seriali „Tata, a Marcin powiedział" i „Rodzina zastępcza". Od dawna jego pasją jest fotografia. Na swoim koncie ma kilkanaście wystaw indywidualnych i zbiorowych. W 2020 r. zrealizował multimedialny pokaz zdjęć pt. „Królowa Polska", ilustrowany własną muzyką, będący efektem jego sześcioletnich podróży po Polsce, podczas których dokumentował różne aspekty życia naszego kraju.

eprasa.pl fe1ca3b33c

1847–1852 / Lata wielkiego głodu

Irlandzka rodzina nad zarażonymi ziemniakami. Obraz Daniela MacDonalda z 1847 r.

FOT. UNIVERSITY COLLEGE DUBLIN

Ziemniaczana klątwa Irlandii

Piotr Semka

W 1846 r. zaraza zaatakowała 75 proc. upraw ziemniaczanych. W następnych latach wyspa staczała się w głodową przepaść...

W Polskiej świadomości zbio rowej nie zakorzeniła się wiedza o wielkim głodzie, który spustoszył Irlandię w latach 1847–1852. To wydarzenie do dziś wywołuje głęboką traumę Irlandczyków na całym świecie, porównywalną jedynie z pamięcią Ukraińców o swoim wielkim głodzie. Równie mało Polacy wiedzą o swoim rodaku, który zachował się w pamięci mieszkańców Zielonej Wyspy jako jeden z najbardziej zasłużonych organizatorów akcji ratunkowej wobec ofiar nieurodzaju. Wiele zamachów irlandzkich przeciwko Brytyjczykom z okresu 1850–1922 motywowanych było zemstą za obojętność wobec tragedii celtyckiego narodu.

Każdy odwiedzający kolekcję malarstwa w University College w Dublinie musi zwrócić uwagę na przejmujący obraz pędzla Daniela McDonalda. Oto irlandzka rodzina odkrywa, że ziemniaki ukryte w kopcu, czyli swoistym magazynie żywności, porośnięte są białą pleśnią. Głowa rodziny z przerażeniem ogarnia złowrogi znak zniszczenia ziemniaków. Żona z rozpaczą chowa głowę w fałdach sukni. Senior rodu wznosi dłonie w modlitewnym geście skierowanym ku niebiosom i tylko maleńka córeczka gospodarzy nie rozumie reakcji rodziców i ze zdziwieniem obserwuje bulwy pokryte białawym nalotem. Ten obraz znajduje się w wielu irlandzkich podręcznikach historii. Symbolizuje on początek zarazy ziemniaczanej, która bardzo szybko ściągnęła na Irlandię ponure widmo głodu.

Wielki irlandzki cmentarz

Tak jak polscy badacze z IPN wyszukują w różnych miejscach Polski miejsca skrytobójczych pochówków Żołnierzy Wyklętych, tak irlandzcy badacze do dziś poszukują mniejszych i większych

eprasa.pl fe1ca3b33c

miejsc bezimiennego pochówku swoich rodaków, którzy umarli z głodu w latach 1847–1852. Największy cmentarz, na którym zgromadzono ok. 10 tys. szczątków ludzkich, mieści się w Abbeystrewery w hrabstwie Cork. Jednak badacze irlandzcy do dziś odnajdują wciąż nowe groby z epoki głodu. Anglicy, bojąc się wówczas epidemii, grzebali ofiary głodu w masowych pochówkach bez troszczenia się o zaznaczanie nazwisk osób, które trafiły do dołów.

Irlandia w XIX w. była niezwykle brutalnie zarządzaną kolonią Korony Brytyjskiej. Choć formalnie od 1801 r. była równoprawną częścią Zjednoczonego Królestwa, to według ówczesnego ustawodawstwa rdzenni Irlandczycy byli poddanymi drugiej kategorii. Nie mieli prawa do posiadania własnej ziemi i mogli jedynie dzierżawić niewielkie gospodarstwa od angielskich kolonizatorów. Ten swoisty apartheid miał charakter religijny. Tylko protestanccy Anglicy, Szkoci i ci Irlandczycy, którzy przyjęli zasady reformacji, mogli być właścicielami ziemskimi. Szlachta irlandzka wyznania katolickiego po pomyślniej dla Brytyjczyków bitwie pod Boyne w 1690 r. została albo wymordowana, albo wygnana z kraju. To z tego powodu w takich krajach jak Francja czy Austria irlandzcy szlachcice robili kariery w wojsku lub administracji państwowej. Nawet domy rdzennych Irlandczyków katolickiego pochodzenia były uważane za własność ich angielskich panów.

Gdy irlandzcy chłopi nie byli w stanie wypełnić obowiązkowych dostaw, za karę, na wniosek właściciela ziemskiego, policja usuwała ich z domowych siedzib. Bardzo długo nikt z Brytyjczyków nie martwił się, co mają jeść i z czego mają żyć rodziny, które poddane zostały rugowaniu. Ale bardzo długo był to margines większości irlandzkiej ludności żyjącej na wyspie.

Brytyjczycy z typową dla ówczesnych protestantów wyższością uważali, że nędza Irlandczyków to wynik typowej dla katolików bierności i lenistwa. W karykaturach w brytyjskich pismach Irlandczyk portretowany był jako nieokrzesany ciemny chłop, na dodatek nacechowany skłonnością do skrytobójstwa i mordu. Zresztą bardzo wielu brytyjskich właścicieli z Irlandczykami stykało się jedynie przy oglądaniu takich karykatur. Mieszkali w Anglii i Szkocji, a zarządcy ich farm wyciskali z Irlandczyków maksymalnie dużo pieniędzy, nie wprowadzając swych angielskich właścicieli w metody uzyskiwania zysków.

Wyzysk kolonialny pozwalał jako tako egzystować Irlandczykom, ale każdy dodatkowy czynnik mógł cały ten mechanizm wywrócić do góry nogami. I takim czynnikiem stała się zaraza ziemniaczana.

Grzyb śmierci

Sprawcą tragedii był szczep pasożyta grzybowego, który po łacinie nosi nazwę Phytophthora infestans. Dziś badacze po wielu dziesiątkach lat badań wysuwają tezę, że przywlekły go statki płynące do Irlandii ze Stanów Zjednoczonych. Najprawdopodobniej jakieś zepsute ziemniaki pochodzące z amerykańskich pól ktoś wyrzucił na śmietnisko w basenie portowym. Stamtąd zaraza zaczęła rozprzestrzeniać się na kartofliska w całej Irlandii. Chłopom, dla których ziemniaki stanowiły podstawę żywienia w ciągu całego roku, przyniosło to wyrok śmierci. Tak jak na wspomnianym wyżej obrazie kolejni rolnicy, wydobywając skopcowane ziemniaki, z przerażeniem odkrywali białą pleśń na bulwach.

Poszukiwanie ziemniaków nadających się do zjedzenia FOT. ILLUSTRATED LONDON NEWS

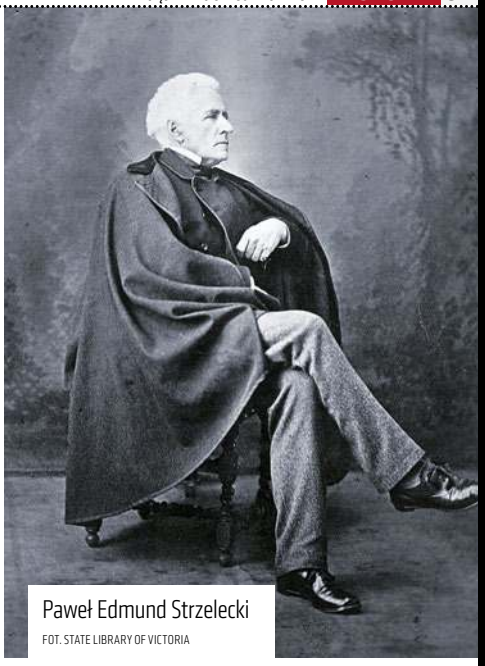

Paweł Edmund Strzelecki
FOT. STATE LIBRARY OF VICTORIA

W 1846 r. zaraza zaatakowała 75 proc. upraw ziemniaczanych. To spowodowało, że bardzo szybko nie było już prawie sadzeniaków. A Londyn bardzo długo nie zauważał problemu. Najgorszą rolę odegrał brytyjski premier John Russel (rządy w latach 1846–1852), który jako skrajny liberał wyznawał zasadę, że Irlandia musi sobie sama poradzić ze swoimi problemami. Byli i tacy politycy jak Edward Travelian, który bez cienia skrępowania głosił, że irlandzki głód to dla Wielkiej Brytanii korzystna okoliczność, gdyż pomoże zredukować zbyt dużą w jego opinii liczbę mieszkańców Zielonej Wyspy. Sympatie dla Irlandczyków osłabiła też próba powstania zorganizowana w 1848 r. przez organizację Młoda Irlandia, która uznała, że wzburzenie spowodowane głodem może skłonić Irlandczyków do walki z angielskim najeźdźcą. Brytyjskie wojsko szybko zmiażdżyło bunt, a wiele brytyjskich gazet na nowo rozpisywało się o wiarołomstwie i niewdzięczności Irlandczyków.

W końcu nadzieje części brytyjskich polityków na zmniejszenie zaludnienia Irlandii zaczęły się sprawdzać. Setki tysięcy rodzin (liczba jest ciągle dyskutowana przez historyków) zdecydowały się pod wpływem głodu na emigrację do USA. Brytyjczycy nie wzbraniali wyjazdu z wyspy, licząc, że taki exodus przyczyni się do zdominowania Irlandii przez wyznawców protestantyzmu. Tymczasem po irlandzkiej ziemi snuły się grupy wychudzonych ludzi w łachmanach, którzy ratowali się od głodu,

eprasa.pl fe1ca3b33c

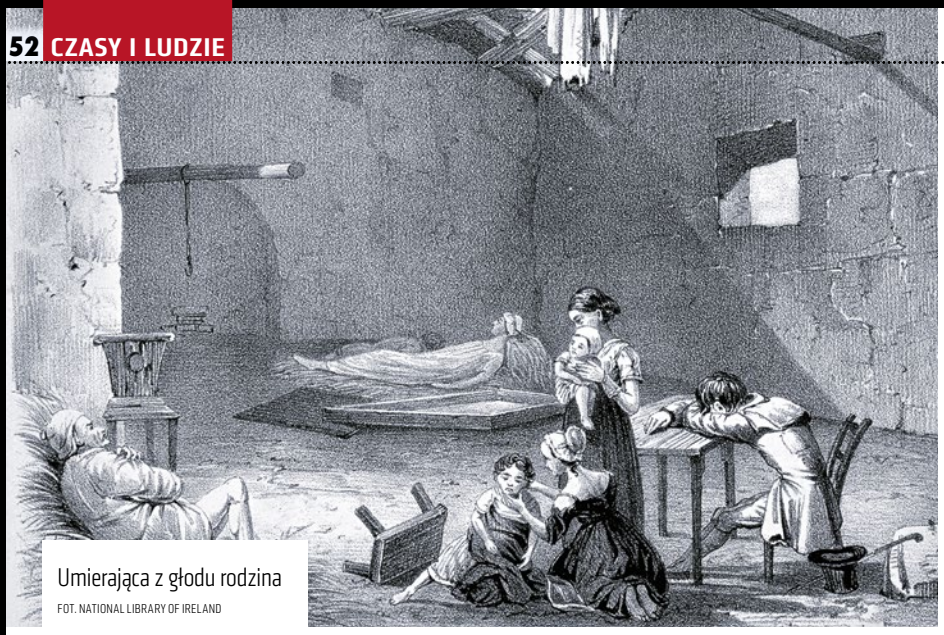

Umierająca z głodu rodzina
FOT. NATIONAL LIBRARY OF IRELAND

jedząc wszystko, co tylko można było spożyć. Policja i strażnicy wielkich brytyjskich posiadłości odganiali ich jak najdalej od pól uprawnych, a strażnicy miejscy w Dublinie czy innych miastach Irlandii nie wpuszczali ich do centrów najważniejszych miast.

Na ratunek

W końcu brytyjskie władze zorientowały się w skali tragedii i zaczęły organizować akcję ratunkową. Do dziś irlandzcy historycy z szacunkiem uwieczniają nazwiska ludzi sumienia z Wielkiej Brytanii i duchownych rozmaitych wyznań, którzy organizowali zbiórki na pomoc głodującej wyspie. O pomoc dla Irlandii zaapelował papież Pius IX. Najbardziej skuteczni byli Irlandczycy z USA, którzy mieli za oceanem licznych krewnych i którzy na bieżąco byli informowani o staczaniu się wyspy w głodową przepaść. W irlandzkiej pamięci zapisali się wyjątkowo dobrze kwakrzy, tworzący jeden z Kościołów protestanckich, który wyjątkowo mocno wyczulony był na obowiązki pomocy bliźnim niezależnie od ich wyznania.

Ważną postacią akcji pomocowych był hrabia Edmund Strzelecki. Ten urodzony w Wielkopolsce polski arystokrata był wówczas opromieniony swoimi wyprawami badawczymi na terenie Australii, gdzie odkrył m.in. najwyższy australijski szczyt Wzgórze Kościuszki. W 1845 r. podróżnik przyjął obywatelstwo brytyjskie i osiadł w Dublinie. Jako katolik Strzelecki był w naturalny sposób bardziej wyczulony na los Irlandczyków niż pełni protestanckich przesądów Brytyjczycy. Został pełnomocnikiem, a potem dyrektorem wykonawczym Brytyjskiego Stowarzyszenia Pomocy Ofiarom w Irlandii. Stowarzyszenie to, współpracujące z rządem brytyjskim, uzyskało wsparcie od wielu znanych rodów arystokratycznych na Wyspach.

Z czasem brytyjski rząd uznał, że Strzelecki – jako katolik, aczkolwiek dobrze usytuowany w kręgach brytyjskiej elity – może być znacznie lepszym organizatorem pomocy niż rdzenny Anglik. Dokonał on bardzo brutalnego wyboru. Skupił się na dożywianiu dzieci, stawiając wyżywienie dorosłych na drugim planie. Z talentem prawdziwego dyplomaty potrafił przerzucać mosty pomiędzy duchowieństwem katolickim i protestanckim w ramach wspólnej walki o życie dzieci. Po pewnym czasie zarządzał ok. 40 urzędnikami samorządowymi, którzy dystrybuowali pomoc we wszystkich prowincjach wyspy. Historycy szacują, że w połowie 1848 r. z pomocy żywnościowej organizowanej przez Strzeleckiego korzystało ok. 200 tys. dzieci.

Fragment pomnika ofiar wielkiego głodu w Dublinie FOT. ADOBE STOCK

Gorzka pamięć

Irlandia do dziś obchodzi kolejne okrągłe rocznice tej strasznej tragedii, która osłabiła na ok. pół wieku siły żywotne narodu irlandzkiego. Tragedia jest też wciąż obiektem badań historyków. Badacze wskazują, że w okresie od 1845 r. do 1852 r. Londyn wydał na pomoc ofiarom głodu jedynie 7 mln funtów. Samo utrzymanie sił wojskowych Wielkiej Brytanii na terenie wyspy kosztowało 10 mln funtów, a brytyjskie wydatki na wojnę krymską z lat 1853–1856 wynosiły 70 mln funtów.

Per saldo jednak masowa emigracja wielu Irlandczyków do Ameryki spowodowana wielkim głodem miała wpływ na przyszłe losy Irlandii. Diaspora spod znaku zielonej koniczyny okazała się w USA opoką działalności niepodległościowej. Emisariusze z Nowego Jorku czy Bostonu docierali na Zieloną Wyspę i organizowali opór społeczny. W amerykańskich seminariach uczyli się irlandzcy księża, którzy przedostawali się pod zmienionymi personaliami na wyspę, aby nieść pomoc duszpasterską dla rdzennych Irlandczyków. To z USA wywodził się pierwszy prezydent wolnej Irlandii – Ramond de Valera. Dopiero wtedy, po 1922 r., kiedy powstało wolne państwo irlandzkie (choć do 1937 r. utrzymujące pewne więzy ze Wspólnotą Brytyjską) – można było rozpocząć kultywowanie pamięci o ofiarach wielkiego głodu.

Ostatecznie wszystkie urazy, które nawarstwiały się między Wielką Brytanią a Irlandczykami, załagodziła historyczna wizyta królowej Elżbiety II w Irlandii, która odbyła się w 2011 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

Conciergerie, gmach byłego więzienia w Paryżu FOT. WIKIPEDIA/DIETMAR RABICH

XVII w. / Afera trucicielska za Króla Słońce

Miłość i arszenik

Jakub Ostromęcki

Markiza ojca otruła z zemsty, braci – aby przejąć spadek, a męża – ażeby wyjść za kochanka

Markiza Brinvilliers była odziana jedynie w białą halkę. Z jej wielkich okrągłych oczu wyzierały zwierzęcy strach i skrajna udręka. Wieziono ją odkrytym, siermiężnym wozem z zamkowego więzienia Conciergerie położnego na wyspie Cite przez most Notre Dame ku siedzibie paryskiego magistratu i znajdującemu się nieopodal placowi de Grève. Miejsce to miało ponurą sławę. To tu raptem 50 lat wcześniej poddano okrutnym kaźniom królobójcę Ravaillaca, przypalając go żywcem, obdzierając ze skóry i na koniec rozrywając końmi. Płonęli heretycy, wiedźmy i odszczepieńcy. Tracili głowy przeciwnicy polityczni monarchów.

Markizę wprowadzono na szafot. Była w końcu szlachcianką, miała prawo do „godnej śmierci". 17 lipca 1676 r. katowski miecz odciął głowę arystokratki. „W życiu nie zadałem lepszego ciosu" – miał rzec mistrz ponurej profesji do spowiednika markizy, o. Pirota. Bezgłowy korpus wraz z głową ciśnięto na stos i podpalono. „Nareszcie już po wszystkim. Trucicielka Brinvilliers rozwiana na cztery wiatry" – napisała w jednym z listów madame de Sévigné obserwująca egzekucję z jednej z kamienic na Cite.

Śmierć Brinvilliers zapoczątkowała tzw. aferę trucicielską. Pierwszy szef francuskiej policji Gabriel Nicolas de la Reynie zanotował wówczas na temat kondycji swojego społeczeństwa: „Życie ludzkie jest na sprzedaż i handluje się nim codziennie, jak byle jaką rzeczą; zabójstwo traktuje się jako jedyne wyjście, kiedy jakaś rodzina przechodzi w trudności; wszędzie stosuje się odrażające praktyki: w Paryżu na przedmieściach i na prowincjach".

Kara za „demoralizację młodzieży" jak u Sokratesa, strach przed gwałtem, upokorzeniem i niewolą jak w przypadku Kleopatry, usuwanie przeciwników politycznych i zwykła chęć przejęcia cudzego majątku – tak powszechne, że nie wiadomo, które historyczne postacie tu przywołać. Trucizna towarzyszyła ludzkiej cywilizacji od samego zarania. Kryminalny rak toczył zarówno plebs, jak i same elity władzy. Jednak to za Ludwika XIV po raz pierwszy w historii Europy państwo, niejako przez przypadek, postanowiło wydać wojnę owej pladze.

Była to epoka, w której śledczy, znający już Kartezjusza na czele ze słynną „Rozprawą o metodzie", wysłuchiwali jednocześnie zeznań, w których roiło się od zaklęć, czarów, przyzywania demonów, czarnych mszy i krwawych ofiar. Nawet wykształcona madame de Sévigné przestraszyła się perspektywy obcowania z oparami po spalonej markizie Brinvilliers: „Prochy rozsypano na wietrze; tym sposobem wdychać ją będziemy i udzielą się nam za sprawą duchów jadowite nastroje".

Zdemoralizowana arystokratka

Wszystko zaczęło się pod koniec lat 50. Niecałe 10 lat po ślubie Marie-Madeleine d'Aubray, żona markiza Brinvilliers, zaczęła zdradzać go z jego dobrym kompanem, niejakim Sainte Croix, który mieszkał zresztą w pałacu małżeństwa. Posiadanie „oficjalnego" kochanka lub kochanki było wówczas wśród europejskich elit modne, nie spodobało się jednak ojcu markizy, który postarał się o to, aby Sainte Croix wylądował w Bastylii. Maria nigdy tego ojcu nie wybaczyła. W jej głowie zalęgła się wówczas myśl o zawładnięciu majątkiem jego i swojego męża. W dziedziczeniu pierwszeństwo mieli jednak jej dwaj starsi bracia. Otruci mieli być więc wszyscy czterej mężczyźni. Po „uporządkowaniu spraw spadkowych" markiza zmierzała poślubić jurnego Sainte Croix.

Ten poznał w więzieniu kilku trucicieli i po odsiadce zaczął dostarczać kochance arszenik i kwas siarkowy, zwany wówczas witriolem. Markiza była jednak profesjonalistką i – udając empatyczną szlachciankę – najpierw podała trutkę kilku służącym, biedakom i pensjonariuszom przytułków dla bezdomnych.

eprasa.pl fe1ca3b33c

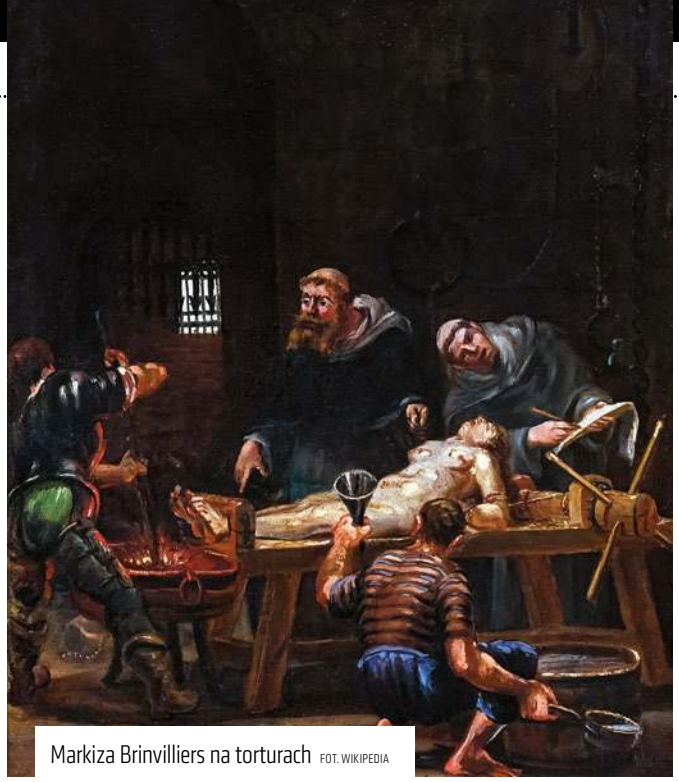
Markiza Brinvilliers na torturach FOT. WIKIPEDIA

Zbrodniczy eksperyment się powiódł, a śmierć owych nieszczęśników nikogo oczywiście nie obeszła. Ojciec markizy skonał w 1666 r., a w następnych kilku latach ze światem pożegnali się jej dwaj starsi bracia.

W tym samym czasie Saint Croix zaczął podawać trutkę mężowi swojej kochanki. Nie miał jednak najmniejszej ochoty na przyszłą żeniaczkę z markizą. Być może, bojąc się, że sam padnie jej ofiarą, tknięty wyrzutami sumienia zaczął podawać markizowi odtrutkę. Ten miał zrujnowane zdrowie, ale żył.

W 1672 r. Saint Croix nagle umarł lub też, jak chcą inni badacze, zginał w wyniku wybuchu w czasie jakiegoś chemicznego eksperymentu. Markiza wpadła w panikę. W jego mieszkaniu znajdowała się bowiem skrzynka z jej listami, w których ze szczegółami opisana była cała intryga. Markiza zaczęła domagać się od policji jej wydania tak nachalnie, że funkcjonariusze, którzy początkowo ograniczyli się tylko do zabezpieczania zadłużonego mieszkania, otworzyli niepozorny pakunek i przeczytali listy.

Markiza uciekła do Niderlandów, ale śledczy dopali ją w Liège, okupowanym akurat przez wojska francuskie. De Brinvilliers wiedziała, że czeka ją marny koniec. Próbowała zabić konwojenta, a gdy to się nie udało, chciała połknąć szkło, igły i w akcie ostatecznej desperacji próbowała wbić sobie do pochwy kij od szczotki. Wszystko na nic. Markiza morderczyni skończyła na placu de Grève.

Plaga trucicielstwa

Sprawa Brinvilliers zwróciła uwagę nieocenionego de la Reyniego. Szef policji oplótł już wcześniej paryski półświatek swoją siecią informatorów i donosicieli. Teraz zaczęli oni dostarczać tony informacji. W teren ruszyły nawet żony funkcjonariuszy, dokonując u trucicieli zakupów kontrolowanych i doprowadzając do ich rychłego schwytania. Interesujące były zwłaszcza zeznania niejakiej Madeleine Gueniveau, zwanej też de la Grange. Była ona oskarżona o zbrodnię niemal identyczną jak Brinvilliers. Jej ofiarą padł podstarzały adwokat, na którego utrzymaniu była i którego majątek zamierzała przejąć. Jej kochanek, były ksiądz, który podawał się przed notariuszem za zamordowanego adwokata, przedstawił sfałszowany testament. Sprawa jednak wyszła na jaw dzięki czujnemu notariuszowi.

De la Grange groziły tortury. Chcąc uniknąć najgorszego, powiedziała więc śledczym: „Mam ważną informację dla pana de Louvois!". De Louvois był ministrem wojny, jedną z ważniejszych osób w państwie. Wraz z la Reyniem wysłuchali morderczyni, od której dowiedzieli się, że ktoś z otoczenia króla planuje zamach na jego życie. Wiadomo, że de la Grange grała na czas i była przerażona wizją kaźni. Dziewka i tak wylądowała na stosie, jednak obaj urzędnicy potraktowali sprawę poważnie. W 1679 r. poinformowany o wszystkim król odnowił budzący strach trybunał – Chambre Ardente, czyli Ognistą Komnatę, która w poprzednim stuleciu zajmowała się tropieniem heretyków, a teraz miała zadbać o bezpieczeństwo państwa.

Postępowanie karne wyglądało wówczas tak, że najpierw la Reynie i jego ludzie brali na spytki zatrzymanych, konfrontując ich często ze sobą, po czym Komnata sprawdzała zeznania i decydowała, czy zastosować tortury. Te polegały na pojeniu podsądnego ogromnymi ilościami wody i jednoczesnym rozciąganiu. Po takiej sesji oskarżeni byli gotowi przyznać się do wszystkiego. La Reynie nie był jednak Jeżowem ani Berią. Interesowały go prawdziwe przestępstwa i prawdziwe zagrożenie dla życia króla. Węszył więc dalej. Szybko trafił na trop słynnego producenta trucizn Louisa de Vanensa. Nie można było nic mu udowodnić, zamknięto go więc profilaktycznie w lochu. Kochanka jego służącego zeznała wtedy, że znał on byłego księdza Naila (który właśnie był kochankiem straconej oszustki i trucicielki de la Grange) i odwiedzał go w więzieniu. Ów służący pragnął być przyjęty do gwardii pałacu w Wersalu.

Zeznania de la Grange mówiące o tym, że w otoczeniu króla znajdują się truciciele, potwierdziły słynne paryskie „babki" i wróżki – niejaka Bosse i de Monvoisin zwana w półświatku jako La Voisin. Były to jędze jak na swoje pochodzenie dość zamożne, choć – co ciekawe – zmuszone do bandyckiego procederu przez leniwych mężów tyranów. W czasie śledztwa zaczęły donosić na siebie nawzajem i przy okazji podawać nazwiska arystokratów, którzy korzystali z ich usług – bądź w kwestii aborcji, bądź trucicielstwa.

Za kratki poszedł m.in. zasłużony marszałek de Luxembourg (uniknął jednak szafotu), a dwie siostrzenice słynnego kard. Mazarina uciekły z kraju, słusznie bojąc się, że będą sądzone za otrucie mężów. Inni wysoko postawieni arystokraci, których małżonki lub małżonkowie umarli w podejrzanych okolicznościach, uniknęli stosu, ale zostali do końca życia skazani na odosobnienie w odległych zamkach królestwa, na podstawie tzw. lettres de cachet pozwalających uwięzić każdego bez wyroku sądowego. Wciąż nie wiadomo było jednak, kim jest przyszły królobójca.

Plugawe obrzędy

Wówczas zaczęła mówić córka la Voisin. Stało się to już po tym, jak jej matka spłonęła na stosie. Młoda la Voisin nie była oskarżoną w tej sprawie, lecz świadkiem, choć ostatecznie i jej wydano „lettre de cachet". Nie przepadała ona,

eprasa.pl fe1ca3b33c

delikatnie mówiąc, za swoją matką, bojąc się nawet, że straszna wiedźma zechce użyć ciała swej małej wnuczki do produkcji trucizn lub eliksirów. Jej zeznania potwierdził paryski mag Adam Lesage, który został kimś w rodzaju świadka koronnego, z inicjatywy ministra de Louvoisa, a wbrew opinii La Reyniego, oraz jeszcze jedna z podparyskich trucicielek.

Protokoły przesłuchanych mówiły dużo o „damie", która udawała się do la Voisin po eliksiry miłości i trucizny i która gotowa była poświęcić życie noworodków i uczestniczyć w czarnych mszach, aby tylko zrealizować swój cel. Owa dama to nikt inny jak Françoise-Athénaïs de Rochechouart de Mortemart, zwana madame de Montespan, oficjalna kochanka króla Ludwika XIV. „Kiedy tylko coś zdenerwowało panią de Montespan czy kiedy obawiała się, że wypadnie z łaski króla, przybiegała do mojej matki po pomoc. Matka wzywała wtedy jednego ze swoich kapłanów, by odprawić mszę, a później wysyłała pani de Montespan proszki, które ta dawała Jego Wysokości" – zeznawała córka wiedźmy.

Podczas owych mszy odprawianych w opuszczonych kaplicach miały dziać się rzeczy plugawe. Kapłanem obrzędów był kolejny były duchowny, opat de Guiborg. De Montespan miała w czasie rytuału kłaść się naga na ołtarzu, a przy jej sromie celebrant stawiał kielich. „Podczas jednej z takich mszy moja matka przyniosła niemowlę… widać, że urodzone przedwcześnie… włożyła je do miski, nad którą de Guiborg podciął mu gardło i zlał krew do kielicha… później poświęcił

Ludwik XIV FOT. WIKIPEDIA

Domniemany portret markizy de Montespan, metresy Ludwika XIV FOT. WIKIPEDIA

krew i hostię… wymawiając imiona pani de Montespan i Jego Wysokości. Ciało niemowlęcia spalono w ogrodowym piecu, a trzewia następnego dnia moja matka wzięła… dla destylacji wraz z krwią poświęconą hostią… wszystko to następnie wlała do szklanej buteleczki, po którą później przyjechała pani de Montespan".

Madame do Montespan miała też inwokować: „Chwała Astarte i Asmodeuszowi, książętom przyjaźni! Wzywam was. Przyjmijcie tę ofiarę z dziecka w zamian za to, o co proszę: chcę mieć i utrzymać miłość króla… niech królowa stanie się bezpłodna!".

Ponury koniec metresy

Nie wiemy dziś, czy Montespan w istocie brała udział w tych odrażających rytuałach i czy córka la Voison przypadkiem nie konfabulowała, chcąc odsunąć od siebie jakiekolwiek podejrzenia związane z trucicielstwem, zrzucając całą winę na spaloną już matkę. Wiadomo na pewno, że de Montespan miała powody, aby bać się odtrącenia przez monarchę. Sława metres Ludwika XIV była bowiem wielka, lecz ulotna. Podróżowały tymi samymi karetami co królowa, w pałacu królewskim przydzielano im nawet większą liczbę komnat, były z reguły bardziej powabne i młodsze od monarchini, którą z królem związało nie uczucie czy nawet seksualne pożądanie, a polityka.

Metresy, mówiąc jednak brutalnie, były przez Ludwika XIV poddane bezlitosnej seksualnej eksploatacji. Madame de Montespan urodziła królowi w przeciągu dziewięciu lat siedmioro dzieci! W momencie, gdy Brinvilliers snuła swoją morderczą intrygę, nad łonem de Montespan zwisał już pokaźny i pomarszczony brzuch, a z przyczyn czysto fizjologicznych nie mogła dać Królowi Słońce rozkoszy. A tuż za rogiem czyhały już powabniejsza markiza de Maintenon i dużo młodsza księżna de Fontanges. Starzejąca się kochanka mogła zatem przygotować zarówno „eliksir miłości" dla króla, jak i trutkę przeznaczoną dla konkurencji. Król w tym czasie uskarżał się na bóle głowy i żołądka – mogła być to jedyna poszlaka wskazująca, że istotnie wypił ohydną miksturę.

Ludwik XIV był znudzony swoją metresą, nie zamierzał jednak jej karać. Upublicznienie śledztwa uderzyłoby w jego prestiż, cała koronowana Europa śmiałaby się przecież z króla, który pozwolił podawać sobie jakieś świństwo, dzięki któremu gruba i stara kochanka wciąż wydawała mu się podniecająca. Ludwik XIV kazał więc la Reyniemu utajnić, a następnie zniszczyć wszystkie dowody świadczące przeciwko de Montespan. Sprawie łeb chciał ukręcić również sam minister finansów Jean-Baptiste Colbert, którego córka była zaręczona z siostrzeńcem madame de Montespan. Trybunał zakończył prace w 1682 r. La Reynie był jednak zbyt profesjonalnym i pryncypialnym śledczym i urzędnikiem. Skopiował najważniejsze części zeznań i ukrył akta, które po wielu dziesiątkach latach ujrzały światło dzienne. Madame de Montespan dziewięć lat po aferze zamknęła się w klasztorze, gdzie dożyła sędziwego jak na owe czasy wieku 67 lat.

W całej aferze aresztowano 218 podejrzanych – zarówno plebsu, jak i szlachty. Z tego 36 osób skazano na śmierć, cztery na galery, 36 na wygnanie. Sprawiedliwość wymierzana przez Ognistą Komnatę nie była niestety ślepa. Na stosie kończył przeważnie plebs, szlachta uciekała lub szła do odległych więzień na krańcach królestwa. Trzeba przyznać jednak Komnacie, że postępowała dość nowocześnie, trzymając się zasady mówiącej, iż nie można skazać na śmierć na podstawie li tylko zeznań innych oskarżonych – stąd tak częste uciekanie się przez króla do „lettre de cachet". Na dworach, w pałacach i kamienicach truto się oczywiście w dalszym ciągu, ale absolutna monarchia miała już narzędzie do zwalczania owego bandytyzmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

1947–1989 / Kazimierz Deyna prywatnie

Słabości króla futbolu

Pożegnanie przed wylotem na mistrzostwa świata w Niemczech w 1974 r.

FOT. JANUSZ SZEWIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl fe1ca3b33c

Sławomir Koper

Podczas mundialu '74 działacze sprowadzili narzeczone i żony kadrowiczów, bo gdy pobyt w RFN się przedłużał, piłkarze zaczęli korzystać z domów publicznych

W 1966 r. w klubie przy Łazienkowskiej pojawił się 19-letni, małomówny chłopak ze Starogardu Gdańskiego. Miał już za sobą występy w juniorskich reprezentacjach kraju i uchodził za wielki talent. Nie wszyscy jednak byli do niego przekonani, a bardziej doświadczonych legionistów irytował sposób gry przybysza.

„Miałem łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi – wspominał skrzydłowy, Janusz Żmijewski – dlatego jako jeden z nielicznych w drużynie potrafiłem dotrzeć do Kazika, chociaż, jak pamiętam, w początkowej fazie jego gry w Legii nie najlepiej układała się nam współpraca na boisku. Ja lubiłem szybką piłkę, a on, kręcąc te swoje kółeczka, powodował, że biegałem na próżno. Nieraz to mnie wkurzało i mówiłem trenerowi Vejvodzie, że nie potrafię z nim grać. Wtedy trener mi tłumaczył: »Januszek, zobaczysz, on będzie najlepszy z was«. I tak faktycznie było".

Czeski trener Legii był znakomitym fachowcem i dobrze wiedział, że Kazimierz Deyna ma wszelkie szanse na to, aby zostać najlepszym pomocnikiem w polskiej lidze. Nie tylko zresztą w lidze, ponieważ piłkarz z Pomorza zapowiadał się na zawodnika światowego formatu. Na boisku widział wszystko, dysponował znakomitymi techniką i strzałem. Dobrych zawodników w Polsce było wielu, ale takiego piłkarza jak Deyna nad Wisłą jeszcze nie widziano.

„Nie spotkałem w Polsce drugiego piłkarza – potwierdzał Zbigniew Boniek – który tak dobrze czytał grę i widział, co dzieje się lub za chwilę będzie się działo na boisku. Poza tym Deyna zawsze był graczem, na którego przeciwnicy zwracali całą uwagę, więc jego partnerzy mieli sporo swobody, dużo miejsca do gry. On bez przerwy uwikłany w potyczki z pilnującymi go »plastrami« i posyłający celne podania, ty zaś luźny, swobodny i w dodatku piłki spadają ci tuż przed nosem… Czy można sobie wyobrazić większy komfort gry?".

Koledzy z Legii szybko zaczęli wysoko cenić Deynę, chociaż Kazimierz właściwie nigdy się z nimi nie integrował. Był człowiekiem zamkniętym w sobie, chadzał własnymi ścieżkami, miał też liczne słabości. Największą z nich było upodobanie do płci pięknej, bo Deynę można było wręcz uznać za seksoholika. I pomimo swojej małomówności raczej nie narzekał na brak powodzenia u kobiet.

Seksoholizm

Romansował zawsze i wszędzie, praktycznie każde miejsce było dla niego odpowiednie do uprawiania seksu. Nie krępował się kolegami z drużyny, zdarzyło się nawet, że uwiódł konduktorkę pociągu i skonsumował tę nową znajomość w przedziale kolejowym

Kazimierz Deyna z żoną Mariolą po podpisaniu kontraktu z Manchester City

FOT. JIM HUTCHISON/ANL/REX SHUTTERSTOCK/EAST NEWS

eprasa.pl fe1ca3b33c

Kazimierz Deyna udziela wywiadu Bogdanowi Tuszyńskiemu po powrocie z mistrzostw świata w 1974 r. FOT. NAC

w obecności innych zawodników Legii… „Wiem, że istnieją różne teorie na temat seksu sportowców – tłumaczył Grzegorz Lato. – Osobiście uważam, że w niczym nie przeszkadza uprawianie seksu rano, nawet przed meczem. Dlatego między innymi zawsze byłem przeciwnikiem długotrwałych zgrupowań…".

Jednakże to właśnie Deyna zdecydowanie wysuwał się na czoło w gronie wielbicieli męsko-damskich kontaktów, zawsze bowiem znalazł odpowiednią partnerkę, czas i miejsce. Seks był dla niego najważniejszą potrzebą życiową, chociaż czasami potrafił się też wykazać odrobiną zdrowego rozsądku. Refleksja przychodziła jednak zbyt późno, tak jak w Paryżu, gdy koniecznie chciał odwiedzić słynny plac Pigalle. Zamiar zrealizował, a towarzyszył mu rezerwowy bramkarz Legii, Stanisław Fołtyn.

„Znając upodobania Kazika do kobiet – wspominał Fołtyn – wiedziałem, że w ten sposób zechce wykorzystać wizytę nad Sekwaną, dlatego bez zdziwienia przyjąłem jego propozycję, byśmy poszli na osławiony Pigalak w poszukiwaniu cielesnych rozkoszy. Zatrzymaliśmy się przy kamienicy, w której oknach połyskiwała czerwień przesłoniętych lampek. Ja zostałem na ławeczce, a Kazik wszedł do środka. Historia milczy o tym, jakich doświadczył doznań. Kiedy jednak po krótkim pobycie w domu rozkoszy wyszedł, podszedł do ławeczki, na której siedziałem, i po dłuższym namyśle rzucił rozczarowany: »Krótko i drogo«. Uważał, że lepiej by zrobił, gdyby za pieniądze, które wydał w burdelu, kupił kilka koszul non-iron i sprzedał je w Polsce".

Dwa lata po przyjeździe do Warszawy Deyna poznał Mariolę Polasik, z którą w 1970 r. się ożenił. Małżeństwo ze starszą o trzy lata poznanianką nie wpłynęło jednak specjalnie na stabilizację emocjonalną zawodnika. Tym bardziej że życie piłkarza oznaczało częste przebywanie poza domem, z czego wcześniej nie zdawała sobie sprawy jego wybranka.

„Inny jest świat żony sportowca od żony urzędnika – uważała Mariola Deyna. – Dlaczego? Przekonałam się o tym, kiedy poślubiłam piłkarza. Jego codzienne treningi nawet dwa razy dziennie kazały mi się wyrzec wszelkich przyjemności. Surowa dyscyplina i forma, musiał o tym pamiętać. Patrzyłam z początku oczyma grozy i współczucia. Potem zdążyłam się przyzwyczaić i starałam się być wyrozumiała. Piłka nożna w moim życiu nie zajmowała takiego miejsca jak obecnie. Moimi ulubionymi dziedzinami sportu były: boks, tenis i jeździectwo. A piłka tyle o ile. Może to paradoks, ale dla mnie 22 zawodników na boisku wówczas przedstawiało walkę kogutów. Zmieniłam zdanie dopiero wówczas, gdy się poznaliśmy. Zaczęłam na piłkę patrzeć innymi oczyma, gdyż tam, po boisku, biegał mój chłopiec".

Po ślubie Deyna nie zamierzał zrezygnować z dotychczasowego trybu życia. Ciągle pojawiały się przy nim inne panie, a czasami zakochiwał się „aż na trzy dni". Nawiązywanie intymnych kontaktów ułatwiały mu wyjazdy na mecze i zgrupowania, gorzej przedstawiała się sytuacja w Warszawie. Ale wtedy zawsze mógł liczyć na pomoc kolegów z drużyny.

„Kiedyś, poznawszy dziewczynę, zwolnił się z drugiego treningu – opowiadał Żmijewski. – Miałem już wtedy mieszkanie i udostępniłem je Kaziowi – moja żona akurat pojechała do swojej matki, ale moja matka wpadła z niezapowiedzianą wizytą. Miała klucze. Gdy weszła, na stole w kuchni zobaczyła majtki i biustonosz, a usłyszawszy ją, Kazik tylko wychylił głowę z małego pokoju i zaraz zamknął się w nim z panienką. Matka zdążyła zobaczyć jego czarne włosy i do końca życia nie wierzyła mi, że to nie byłem ja".

> **Po ślubie Deyna nie zamierzał zrezygnować z dotychczasowego trybu życia. Ciągle pojawiały się przy nim inne panie, a czasami zakochiwał się „aż na trzy dni"**

Mundial i kobiety

Kazimierz Deyna był genialnym piłkarzem – zawodnikiem, który rodzi się raz na kilka pokoleń. Szybko poznano się na nim przy Łazienkowskiej i w kadrze Polski, został najlepszym strzelcem igrzysk olimpijskich w Monachium, a dwa lata później, po mundialu w RFN, mianowano

eprasa.pl fe1ca3b33c

go trzecim zawodnikiem globu. W stolicy szybko stał się legendą, dochodziło do tego, że gdy z żoną wracał po meczach pieszo do domu, to w pewnej odległości milcząco eskortował go tłum kibiców. Fani dbali, aby ich idol bezpiecznie dotarł do celu…

Skłonności do płci pięknej nie były zresztą problemem wyłącznie Deyny. Podczas mundialu w 1974 r. działacze sprowadzili do Niemiec narzeczone i żony kadrowiczów, czego wcześniej nie planowano. Polska drużyna osiągała jednak nieprawdopodobne sukcesy, pobyt w RFN się przedłużał i piłkarze zaczęli korzystać z usług miejscowych domów publicznych. Uznano zatem, że w trosce o ich formę i zdrowie lepiej będzie, jeśli do Niemiec przyjadą ich partnerki…

Deyna mógł być największą gwiazdą tej drużyny, poza boiskiem nie lubił jednak zwracać na siebie uwagi. Gdy po mundialu koncern BMW zaoferował kadrowiczom zakup samochodów z 60-procentowym upustem (w zamian za zdjęcia reklamowe), większość zawodników uznała, że auta muszą się dodatkowo wyróżniać efektownym numerem rejestracyjnym.

Adam Musiał i Antoni Szymanowski z Wisły Kraków pokłócili się o to, który z nich będzie miał prawo zamontować na swoim samochodzie tablice z numerem KN 0001, natomiast piłkarze Stali Mielec wybrali rejestrację pochodzącą od numerów na klubowych koszulkach. Grzegorz Lato miał cztery siódemki, Henryk Kasperczak cztery ósemki, a Andrzej Szarmach dwie dziesiątki. Tylko Deyna nie zwracał uwagi na podobne drobiazgi i wybrał jakiś nierzucający się w oczy numer rejestracyjny. Modelowi BMW 1802 pozostał zresztą wierny przez wiele lat, chociaż niemiecki koncern wprowadzał nowe modele swoich pojazdów. I gdy grał już w Wielkiej Brytanii, to specjalnie dla niego sprowadzono kolejny egzemplarz auta, oczywiście z kierownicą po prawej stronie.

Wierność Deyny ograniczała się jednak wyłącznie do samochodów. Gdy po mundialu piłkarze Legii pojechali na tournée po Australii, koledzy z drużyny nie potrafili uwierzyć w możliwości seksualne pana Kazimierza. Na Antypodach, z dala od oczu żony, porzucił on bowiem wszelkie zahamowania.

„Przyszedłem po kolacji do pokoju – opowiadał napastnik Legii Tadeusz

SŁAWOMIR KOPER
„PRL. ŻYCIE TOWARZYSKIE ELIT. BALE, BANKIETY, PRYWATKI"
HARDE

Nowak – i ujrzałem Kazika z wypiekami na twarzy, a na łóżku jakąś kobietę prężącą się jak kotka, która na mój widok próbowała nieudolnie zasłonić piersi. […] Opuściłem pokój, zostawiając ich razem. Za chwilę on wyszedł za mną na korytarz i podniecony zakomunikował: »Enzo, będziemy mieli w pokoju pięć kobiet. Jeden z zaprzyjaźnionych polonusów zobowiązał się, że zorganizuje nam ekstrazabawę z dupami. Poczekaj chwilę, tylko najpierw załatwię sprawę z tą, którą widziałeś na łóżku«. Ledwie to powiedział, zniknął za drzwiami. […] Czekając na miłe towarzystwo pań, byłem mocno podekscytowany. Rzeczywiście było ich pięć, tylko żeby nie wzbudzać podejrzeń obsługi hotelowej, przychodziły do naszego pokoju pojedynczo. Jedne zostały dłużej, inne krócej. Niektóre, chcąc, byśmy nacieszyli się widokiem ich wdzięków i ekstrabielizny, bardzo powoli zrzucały z siebie ciuszki. Inne z kolei zaraz po przekroczeniu progu pokoju zaczęły zdejmować z siebie wszystko. Nie wiem, ile to wszystko mogło trwać, ale naprawdę było fantastycznie".

W kraju bywało podobnie, chociaż Deyna preferował tu spotkania bardziej kameralne. Dążył do celu najprostszymi środkami, „taniec godowy nie był w jego stylu", ale niemal zawsze osiągał sukces.

Alkoholizm

Nie wiadomo, jak potoczyłaby się dalsza kariera Kazimierza Deyny, gdyby pozwolono mu wyjechać na Zachód po mundialu w RFN. Miał wówczas 27 lat, był u szczytu swoich możliwości, uważano go za jedną z największych gwiazd światowej piłki. Niestety, dopiero cztery lata później, już po pechowych dla Polski mistrzostwach w Argentynie (w meczu z gospodarzami turnieju Deyna nie strzelił karnego), trafił do Manchesteru City. Było już jednak za późno, a wybór klubu trudno uznać za właściwy. Liga angielska nie miała wówczas wiele wspólnego z techniką, grano systemem „kopnij i biegnij". Dlatego też Deyna kariery na Wyspach nie zrobił, a rozczarowany coraz częściej sięgał po alkohol. Na domiar złego, chociaż Deynowie doczekali się syna, później Mariola kilka razy poroniła.

Piłkarz pił coraz więcej, choć przyznać trzeba, że wtedy w lidze angielskiej pili praktycznie wszyscy. „Wtedy była taka zasada, że kto nie umie pić, nie umie grać – opowiadał kolega Deyny z Manchesteru City Peter Barnes. – Graliśmy ostro na boisku, ale poza nim też. Po każdym meczu szło się całą drużyną na piwo. Pierwsze jeszcze na stadionie, kolejne już w lokalu. […] »Kazi« oczywiście chodził z nami, popijaliśmy piwko, a on wódkę. Na butelki. W barze pili z nami kibice. […] Dziennikarze pili z nami. Ostro".

Deyna wypadł z pierwszego składu i sfrustrowany coraz częściej nadużywał alkoholu. Po pijanemu spowodował wypadek (wioząc w samochodzie syna!), zaczął też regularnie bywać w kasynach. Przegrywał duże sumy, Mariola nie akceptowała jego trybu życia, dochodziło do domowych awantur.

Po kolejnej kraksie dostał nakaz opuszczenia Wielkiej Brytanii i wraz z rodziną osiadł w Stanach Zjednoczonych. Grał w barwach San Diego Sockers, z Kalifornią miał pozostać związany do końca życia. Niestety, chociaż w USA zarabiał niezłe pieniądze, to – oszukany przez swojego menedżera – stracił oszczędności całego życia (ok. 350 tys. dol.). Po tym ciosie już nigdy się nie podniósł, tym bardziej że zbliżał się do czterdziestki i musiał zakończyć karierę piłkarską.

Gdy Mariola „wystawiła jego walizki za drzwi", związał się z inną kobietą i planował u jej boku nowe życie. Zajął się trenowaniem najmłodszych zawodników, chciał zdobyć uprawnienia, które umożliwiłyby mu profesjonalne wykonywanie zawodu. Nie było mu to jednak dane, bo w nocy z 31 sierpnia na 1 września 1989 r., prowadząc samochód po pijanemu, zasnął za kierownicą. Pojazd uderzył w stojącą ciężarówkę, a piłkarz zginął na miejscu. W jego kieszeniach znaleziono 50 centów, natomiast w bagażniku pojazdu 22 piłki futbolowe…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

J. Bołba, „Deyna. Geniusz futbolu, książę nocy", Warszawa 2014.
Z. Boniek, „Na polu karnym", Warszawa 1986.
M. Polkowski, „Lato", Częstochowa 1994.
J. Szczerba, „Rozrywkowi legioniści", „Ale Historia" 12/2014.
S. Szczepłek, „Deyna", Warszawa 2012.

eprasa.pl fe1ca3b33c

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

1905–1970 / „Spiżowa brama" i inne książki Tadeusza Brezy

Idealny konformista PRL

Krzysztof Masłoń

Znajdował przyjemność w patrzeniu na Watykan oczami suspendowanego księdza, mającego wrażenie, że spotkała go krzywda, ale nie decydującego się na zrzucenie sutanny

Czesław Miłosz rok przed śmiercią, zapytany przez Annę Bikont i Joannę Szczęsną, dlaczego to on akurat powiedział „nie", wybierając emigrację, w chwili, gdy – jak twierdził – „naśladowanie wzorów sowieckich stało się w Polsce obowiązujące dla pisarzy", odpowiedział:

– Pytanie, dlaczego inni nie mieli tych hamulców? Mówię po rosyjsku, świat wschodni był mi doskonale znany i – w odróżnieniu choćby od Andrzejewskiego – wiedziałem dużo o systemie sowieckim. Uważałem, że największe nieszczęście na tym świecie, jakie może się człowiekowi przydarzyć, to być obywatelem sowieckim. Ostatecznie nie bez przyczyny, ryzykując skórą, uciekłem w 1940 r. z sowieckiego Wilna.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Pewnie ambicje mają ogromny wpływ na człowieka, a ja byłem zbyt dumny, żeby ulegać pokusie prymusostwa. Nie chcę się wybielać. Też byłem na najlepszej drodze. Może uciekłem, bo bałem się siebie. To też kwestia smaku. Ja nigdy bym nie pisał tego, co Andrzejewski pisał o człowieku radzieckim. Ale były też drogi bardziej eleganckie, wytworne wręcz, takim konformistą idealnym był Tadeusz Breza, który służył partii swoim wykształceniem katolickim".

Ten, zdaniem Miłosza, „idealny konformista", urodzony w 1905 r. na Wołyniu w ziemiańskiej rodzinie o arystokratycznym pochodzeniu, do zakonu oo. benedyktynów wstąpił w wieku 21 lat, odbywając nowicjat w klasztorze St. Andre-Lophen pod Brugią w Belgii. Nie został jednak przyjęty do zakonu. „Zwracano mi ze słodyczą, potem już ze zniecierpliwieniem i zgrozą uwagę, że kiedy już tu jestem, w klasztorze, winienem od czasu do czasu pomyśleć o Stwórcy, a nie tylko – powiedzmy – o Arystotelesie, Tacycie, Descarcie czy Monteskiuszu. Ale mnie wabiły te ich głosy, ze sto chyba podobnych głosów, których mogłem słuchać, które mi dawały rozkosz umysłową i uczyły mnie. Począwszy od pierwszej zaraz strony, otwierały swe usta, podczas kiedy niebo, ilekroć zwracałem na nie myśl, wydawało mi się raczej małomówne".

Zwątpienie w potrzebę wiary Brezy, tak jak Iwaszkiewicza, wyraził po latach Witold Wirpsza w rozmowie z Jackiem Trznadlem („Hańba domowa"): „Nie myślę, żeby on, siedząc w nowicjacie, był człowiekiem naprawdę wierzącym w sensie głębszym. To był katolicyzm uprawiany na zimno, spekulatywny".

W każdym razie naczytał się wtedy dzieł naukowych, pogłębiając następnie wiedzę na studiach filozoficznych na Uniwersytecie Warszawskim. Materiały do pracy magisterskiej zbierał już w Londynie, gdzie spędził dwa lata jako pracownik attachatu prasowego. Odbył jeszcze kilka podróży po Europie, by w 1932 r. powrócić do kraju. Zamieszkał w Warszawie, podejmując pracę redaktorską w „Kurierze Porannym", w którym niebawem mieć będzie miejsce jego debiut prozatorski (nowela „Rycerze króla Nartusa"). Naprawdę jednak do literatury wkroczy w 1936 r. pierwszą polską powieścią o problematyce homoseksualnej pt. „Adam Grywałd". Prekursorską więc, psychologizującą w sposób nawet jak na ówczesne standardy niemożliwie, a nudną nadzwyczajnie. Niemniej maluczko, a uczyniono by z niego nad Wisłą drugiego Prousta.

Odgórne pisanie

Okupację przeżył, utrzymując się ponoć z handlu antykami. Brał udział w konspiracyjnym życiu kulturalnym i literackim, pisząc zakrojoną na siedem tomów powieść, której po wojnie ukazały się tylko dwie części, z których pierwsza – „Mury Jerycha" – otrzymała nagrodę „Odrodzenia", od razu sytuując autora w gronie najważniejszych pisarzy „nowej Polski" głównie dlatego, że ten paszkwil na II Rzeczpospolitą idealnie wpisywał się w styl epoki, a jeszcze bardziej w oczekiwania władz.

Książka, w której – jak zauważył Piotr Kuncewicz – autor pobił „rekordy używania wykrzyknika", doczekała się m.in. wnikliwego omówienia Kazimierza Wyki. Jego zdaniem „Mury Jerycha" były „nie tyle powieścią polityczną, ile powieścią o polityce. Kto by w tej książce szukał miejsc, w jakich życie polityki styka się z codziennym życiem prostego człowieka, a ileż takich scen mamy np. w powieściach Kadena-Bandrowskiego, ten ich nie znajdzie. Powieść Brezy napisana jest, żeby tak powiedzieć, odgórnie. […] Widowisko umieszczone w środowisku równie odgórnym – Warszawa. Najbardziej wybredny patrycjat tego miasta, no i jego »ministeriat« na progu wojny".

> „Mury Jerycha" otrzymały nagrodę „Odrodzenia" dlatego, że ten **paszkwil na II Rzeczpospolitą idealnie wpisywał się w styl epoki, a jeszcze bardziej w oczekiwania władz**

Miał Breza wykazać, że sanacyjne Jerycho musiało upaść i jak najsłuszniej upadło, no i wykazał. Tym samym pisarz – że znów zacytuję Kuncewicza – „wymieniwszy dobre pochodzenie na wysokie stanowisko w ówczesnym panteonie, od rozprawy z przeszłością przeszedł do pochwały teraźniejszości – warto zaś pamiętać, że arystokraci i księża byli bardzo mile widziani w szeregach ówczesnej lewicy (o czym najcelniej Mrożek w »Sjeście« napisał). Breza był po trosze jednym i drugim".

Nie znaczy to, że zadowolił wszystkich. Tadeusz Borowski w swojej rozprawie z literaturą polską, co miało oznaczać – jak deklarował – walkę z imperializmem, czyli „pamfletem i paszkwilem, reportażem i wywiadem, felietonem i esejem", zaatakował m.in. właśnie Brezę za „Mury Jerycha": „Z ogromnym znawstwem pokazano wszystkie etapiki przekomarzania się miłosnego między rojącym wielkie plany arystokratą a rozwydrzoną półdziewicą. Konszachty sanacji z polskim faszyzmem widziane w restauracjach i panieńskich pokojach, podane w sosie gwary kadenowskiej, to kompromitowanie klasy społecznej za pomocą rzygania w klozetach i cierpień erotycznych – wyglądało jak kabaret, który jak studenta przyciągał i odpychał autora".

Stylistyczne niuanse

Druga część zamierzonego siedmioksięgu Brezy zatytułowana „Niebo i ziemia" przyjęta została zdecydowanie gorzej, za to „ochy" i „achy" usłyszano po „Uczcie Baltazara" (1952), z punktu wyróżnionej Nagrodą Państwową (na razie II stopnia, tę najwyższą otrzyma w 1968 r.), a dwa lata później przeniesionej na ekran przez Jerzego Zarzyckiego (z Niną Andrycz w jednej z głównych ról). Najkrócej ekranizację tę podsumował Janusz Minkiewicz: „Nie uczta Baltazara, uczta się filmy kręcić…".

Charakterystyczną anegdotę z lat stalinizmu z Brezą w roli głównej przypomniał Ryszard Matuszewski: „Oto rok 1950, wielki spęd literatów do sali Rady Państwa i ideologiczny referat Jakuba Bermana. W szerokich kręgach partyjniaków mówiło się: »towarzysz Berman«. Dla bliższych świecznika i zaufanych był »towarzyszem Jakubem«. Dla bezpartyjnych – »ministrem Bermanem«. A dla Tadeusza Brezy? Zabierając głos w dyskusji, Breza podkreślił zarówno swą bezpartyjność, jak i stopień spoufalenia z władzą. Zaczął od słów:

eprasa.pl fe1ca3b33c

Paul Cazin, francuski pisarz i tłumacz literatury polskiej, Tadeusz Breza i jego żona Zofia, Nieborów 1960 r. FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

– Jak trafnie rzecz ujął w swoim wystąpieniu minister Jakub…

To był ten jego niuans stylistyczny, na który nikt inny by chyba nie wpadł".

Kolejną powieść wydrukował Breza w dwóch częściach w miesięczniku „Twórczość". Joanna Szydłowska w 2005 r. w rozprawie „Morfologia przestrzeni Ziem Odzyskanych w nieukończonej powieści czasów stalinowskich (»Złota łódka« Tadeusza Brezy)" określiła ją jako „dzieło nieudane", powieść „przeideologizowaną, wątpliwą w rysunku psychologicznym postaci", do tego „skłamaną na płaszczyźnie prawdy socjologicznej, demograficznej i kulturowej Ziem Zachodnich". W formie książkowej, po poprawieniu, pod innym tytułem – „W potrzasku", ukazała się w 1955 r. Zmiany nie na wiele się zdały.

Wciąż był pupilem władzy, „nazywano go – pisała niedawno na łamach »Do Rzeczy« Joanna Siedlecka – »czerwonym hrabią«, a jego żonę Zofię – zajadłą komunistkę – »hrabiną-stalinówką«. Aleksander Wat poświęcił jej prześmiewczy wierszyk »Na pewną markizę-stalinówkę«, w kreacjach z najbardziej ekskluzywnych zachodnich domów mody, ale używającej mydła Krasnaja Moskwa. Jeszcze bardziej elegancki, światowy i wykształcony był jej mąż".

Podobno żona Aleksandra Wata, Ola, po tym, jak po śmierci Stalina wspomniany światowiec wydrukował tren „Ten, który nauczył nas hartu", zadzwoniła do niego, potwierdzając, że istotnie powróciła z Kazachstanu bardzo zahartowana.

To, co najważniejsze w twórczości Tadeusza Brezy, miało jednak dopiero nadejść, a to w związku z jego ponownym wstąpieniem do służby dyplomatycznej. I tak jak przed wojną do Londynu, tak w 1955 r. wyjechał do Rzymu (później jeszcze, w latach 1960–1965, przebywał we Francji, gdzie pełnił funkcję radcy do spraw kultury w paryskiej ambasadzie PRL). Z literackiego punktu widzenia najważniejszy był jednak Rzym.

Co bolało papieża

„Spiżową bramę", swój sławny watykański notatnik, zaczął spisywać 6 czerwca 1956 r., a zakończył 10 listopada 1958 r. Był to końcowy okres pontyfikatu Piusa XII, sfinalizowany konklawe i wyborem na papieża Jana XXIII – czas istotny dla Kościoła, a także bardzo ważny w najnowszej historii Polski. Sprawy krajowe odbijały się oczywiście w pisarstwie Brezy, w charakterystyczny jednak sposób. Nie ma w nim choćby wzmianki o Poznańskim Czerwcu, a do tego, co w skrócie nazywamy Październikiem '56, odniósł się dopiero od publikacji przez – komunistyczną, a jakże – „Unitę" informacji o „opuszczeniu" Komańczy przez kard. Wyszyńskiego i jego „przeniesieniu" do Warszawy.

Powie ktoś, że „Spiżowa brama" poświęcona jest przede wszystkim Watykanowi, a jednak np. pod datą 15 listopada 1957 r. znajdziemy w niej zapis całkowicie utrzymany w stylistyce Jerzego Putramenta: „Ukazała się w »Osservatore Romano« na pierwszej stronie wzmianka, że pisarze polscy opuszczają PZPR. Wzmianka jest ciepła. Nazwiska: Miecislan Jastrun, Wawryniec i Paulo Herz, Stanislao Diget oraz – na pierwszym miejscu – Jedży Andrejewski. Ten Andrzejewski na pierwszej stronie, ciepło podany w dworskiej urzędówce watykańskiej, obudził we mnie wspomnienie pewnej rozmowy sprzed lat chyba dwudziestu, to znaczy z roku, w którym ukazał się jego katolicki »Ład serca«. W rozmowie tej Cz. powiedział mi, że o niczym Andrzejewski tak nie marzy, jak żeby się o nim ukazała serdeczna wzmianka w rzymskim »Osservatore Romano«. Nie pochwalili go wówczas w »Osservatore«, nie zauważyli. Trzeba było na to aż tylu rzeczy i tyle, tyle czasu! Jest w tym jakiś paradoksalny proustowski temps retrouve".

Tak że nic nie jest w tej książce – która, przetłumaczona na kilkanaście języków, przyniosła autorowi międzynarodową sławę – takie, jakie się wydaje na pierwszy rzut oka. W tym obszernym eseju, bo do tego gatunku przynależy „Spiżowa brama", mamy obszerne ustępy poświęcone sztuce, architekturze, literaturze, filmowi nawet, a przecież wszystko podporządkowane jest tu analizie polityki watykańskiej i ideologicznym zmaganiom Stolicy Piotrowej z komunizmem.

Z tego punktu widzenia książka Brezy cieszyła się ogromną popularnością, gdyż choćby w cytowanych opiniach jej negatywnych bohaterów czytelnik mógł znaleźć odbicie swoich myśli i poglądów. Z satysfakcją więc odbierał np. zdanie ks. Gawliny, duszpasterza polskiej emigracji, który oświadczył, że w sprawach religijnych „Gomułka wart Bieruta, tak jak Bierut Dzierżyńskiego".

No, ale to był w Polsce czas, jeden Bóg wie, na czym opartych, nadziei. Przed wyborami w styczniu 1957 r., które były wyłącznie plebiscytem („Głosuj na kandydatów Frontu Jedności Narodu!", bo innych nie było), Watykan – jeśli wierzylibyśmy słowom Brezy – „nie

eprasa.pl fe1ca3b33c

uczynił nic, by oblać zimną wodą naszych katolików. Nie uczynił nic, zasznurował usta, ponieważ wiedział, że głos jego nie znajdzie w Polsce posłuchu i jedyne zaś, co sprawi, to powiększy rozdźwięk pomiędzy katolikami w Polsce i Watykanem. Świadomość, że olbrzymia siła katolicka w Polsce pędzi w kierunku, na który on się nie zgadza i który mu jest wstrętny, jest dla papieża gorzka. Oficjalnie na wytłumaczenie atmosfery przedwyborczej i wyniku wyborów Watykan podaje, że katolicy i ich biskupi opowiadają się w Polsce za Gomułką, ponieważ on przedstawia mniejsze zło. Ale przecież mniejszym złem nikt się nie entuzjazmuje, nikt mniejszego zła nie kocha i nikt mu nie życzy stu lat. Właśnie więc ten rozmach zgadzania się na Gomułkę papieża boli".

Co innego prosty lud Boży: „Wszędzie zakonnicy i zakonnice rozpytują się o Gomułkę. Troskają się jego zdrowiem, jego życiem rodzinnym, interesują się wszystkimi szczegółikami jego biografii. Ze łzami w oczach wysłuchują o jego cierpieniach i o jego walkach. Są tak uczuciowo zaangażowani po jego stronie, że pienią się z oburzenia, słysząc, że za sanacji siedział z wyroku za komunizm". No jasne, „Wiesław" superstar!

Jak każą, to trzeba

Jerzy Stempowski poświęcił tej książce całe studium „Spiżowa brama i parafialne wrota" („Kultura" 1961, nr 3), w którym zauważył, że „Breza zdaje się znajdować przyjemność w patrzeniu na Watykan oczami suspendowanego księdza, mającego wrażenie, że spotkała go krzywda, ale nie decydującego się na zrzucenie sutanny". Zanim ten tekst napisał, podzielił się pierwszymi wrażeniami z lektury książki Brezy z redaktorem „Kultury":

„»Spiżowa brama« mogłaby nosić tytuł »Listy z Ryczywoła biskupiego«, bo horyzont jej nie przekracza nigdzie poziomu zakrystiana i Ryczywoła. Breza pretenduje do tytułu polskiego Peyrefitta, pół dyplomaty i pół konsjerża. Zresztą większa część jego rewelacji – jak historia nawrócenia Malapartego czy fotografii dyrektora Galeazzi-Lisi – znana mi jest z »Corriere«, który opisał je równie dokładnie, ale z większym taktem i talentem. Stylizacja Brezy ma w sobie coś z lepkości insynuacji, coś z quarto chiacchiere, plotek opowiadanych w niższych kondygnacjach społecznych Zatybrza. Jest nieprzyjemna i żenująca w dotknięciu. Zaczyna się od pisuarów w Fiuggi i kończy się nie lepiej. Pobyt Brezy w Rzymie przypomina komandirowkę dwóch senatorów »dla issiedlowanija pisuarnogo dieła w Pariżie« z »Za rubieżom« Szczedrina. Jeden z senatorów miał w herbie »ruku dierżaszczuju zołotuju urnu w czerwonom pole i nadpis: Nie prolej«, drugi zaś »ruku dierżaszczuju sieriebrannuju urnu w siniem pole i nadpis: Sodierżi w opriatnosti«. Nie wiem, który z tych herbów pasowałby lepiej do Brezy. Być może żaden, bo urynał Brezy jest brudny i kapie".

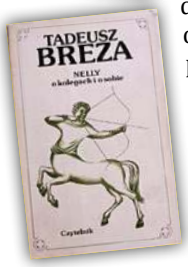

Mocno krytycznymi uwagami o „Spiżowej bramie" lał miód Jerzy Stempowski na serce swego imiennika – Giedroycia – któremu książka wybitnie się nie podobała, a w jej autorze widział „fenomen polskiego prowincjonalizmu i snobizmu (to pseudohrabiostwo tu też odgrywa dużą rolę, jak zresztą u wielokrotnie od niego zdolniejszego Ksawerego Pruszyńskiego)". Swoją drogą Tadeusz Breza pochodził po mieczu ze starego wielkopolskiego rodu szlacheckiego, a po kądzieli z Żółkiewskich.

Nie minęły dwa miesiące, a Stempowski relacjonował redaktorowi „Kultury", że otrzymał list od Marii Dąbrowskiej, z której zdaniem się liczył, chwalący Brezę i zwracający uwagę, że „tylko mieszkający w kraju mogą ocenić przyczyny powodzenia tej książki". Rzeczywiście, autorka „Nocy i dni" była pod wrażeniem zarówno „Spiżowej bramy", jak i „Urzędu" (obie książki wydane zostały w 1960 r.) i w swoich „Dziennikach" pisała: „Czytam Tadeusza Brezy »Spiżową bramę«. Niezwykła książka, prawdopodobnie będzie tłumaczona na wiele języków. Co za zdolność zbierania informacji, znajdowania stosunków, wywiadywania się wszystkiego. To jest genialnie napisana monografia wywiadowcza tych ostatnich lat pontyfikatu Piusa XII Pacellego […]. Przysłowiowy urok osobisty Tadeusza Brezy, przeszłość dominikańska, pasja do przedmiotu, dopełniona świetnymi lekturami paru (niewymienionych) książek oraz dotarciem do najtajniejszych archiwów (urok osobisty) stworzyły z tej książki pozycję w literaturze polskiej z niczym nieporównaną"; „Czytam »Urząd« Brezy. Też świetna powieść. Co za szatańskie wykonanie. Przecież ten urząd sądu kardynalskiego działa ściśle jak nasza partia, nasze UB. Świetny pensjonacik skwaszonych emigrantów. Czasem popadam w półsen i wtedy tworzę dalsze zdania powieści. Otwieram oczy i na próżno szukam ich na kartach książki".

Niewykluczone, że uzupełniony tymi zdaniami „Urząd" zyskałby, ale i tak w swoim kształcie zdobył uznanie i, z różnych powodów, cieszył się czytelniczym wzięciem.

Kolegom po piórze Breza jawił się często jako postać niejednoznaczna. Stefan Kisielewski stwierdził, że był to „bardzo inteligentny człowiek, ale trochę obrzydliwy, bo taki jakiś miękki cynik. Bardzo mądry, na każdą sprawę patrzył dwuznacznie – stosował kompromitacjonizm, jak mówił Irzykowski. Jeżeli się czyta jego »Spiżową bramę«, to on tak niby nie lubi tych księży… ale lubi, sam kiedyś był w zakonie, zresztą arystokrata. Jest taka jego książka »Niebo i ziemia«, w dwóch tomach. Pierwszy tom jest znakomity, a drugi jest idiotyczny, bo okazało się, że przyszedł socrealizm i od niego zażądali, żeby przerobił ten drugi tom. I on go przerobił. Uważał, że cóż, tak życie się toczy, jak każą, to trzeba. W rozmowie był znakomity. Rozmówca przyjemny, subtelny, wszystko rozumiejący. A w życiu publicznym postać dwuznaczna".

Tadeusz Breza zmarł w 1970 r., w wieku 65 lat. Próżno szukać jego teczki w Instytucie Pamięci Narodowej. Została komisyjnie zniszczona.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

Prezydenci Andrzej Duda i Wołodymyr Zełenski w parlamencie ukraińskim

FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Książka miesiąca / Geopolityka

Przeciw nowej Jałcie

Siergiej Riabkow, rosyjski wiceminister spraw zagranicznych, postawił sprawę na ostrzu noża. Żądania Rosji nie mogą być postrzegane jako „menu, z którego można wybierać ulubione potrawy". Zachód miał przyjąć całość tych „propozycji" albo…

Co Rosjanie położyli na stole? Najważniejszy był jeden postulat, który zmieniałby wszystko: Amerykanie mieli się wycofać z naszej części Europy, pozostawiając państwa Międzymorza na łaskę Rosji. Wciąż bylibyśmy członkami NATO, ale nasze członkostwo zostałoby zredukowane do kategorii B albo nawet C. Rosja chciała w ten sposób odtworzyć swoją strefę wpływów. Ultimatum Kremla zostało ogłoszone dokładnie rok temu i stanowiło preludium do wydarzeń, które sprawiły, że po 24 lutego historia już nawet nie przyspieszyła, a wręcz wystrzeliła na naszych oczach.

Niestety, temat ultimatum, które tak żywotnie dotykało interesów Polski, właściwie w ogóle nie pojawia się w argumentacji tzw. realistów, którzy przekonują, że Polska za bardzo angażuje się po stronie Ukrainy, a wojna, którą rozpętała tam Rosja, dotyczy jedynie stosunków między Moskwą a Kijowem. Książka Marka Budzisza, świetnego analityka ds. wschodnich, zaczyna się właśnie od przypomnienia rosyjskich „propozycji" wobec USA i NATO, ponieważ bez tego kontekstu trudno uchwycić prawdziwą wagę konfliktu na Ukrainie.

„Samotność strategiczna Polski" nie jest książką historyczną w sensie ścisłym, ale dotyka jednak tematu dla nas historycznego w znaczeniu dziejowym. Oto na naszych oczach trzęsie się w posadach porządek geopolityczny, który powstał po upadku żelaznej kurtyny. Marek Budzisz w ciekawy i uporządkowany sposób tłumaczy ten proces i przedstawia najbardziej realne scenariusze, które stają teraz przed Polską. Przy czym tytuł książki nie oznacza bynajmniej, że Polska jest skazana na samotność pod względem bezpieczeństwa.

„Państwa o naszym potencjale muszą kształtować samodzielnie otaczającą nas przestrzeń, w tym przede wszystkim w zakresie bezpieczeństwa. Musimy stabilizować sytuację zgodnie z polskim, strategicznym planem wielkiej gry. Czy to oznacza porzucenie sojuszników? Wręcz przeciwnie – pisze Marek Budzisz. – Samotność strategiczną należy rozumieć raczej jako konieczność przeprowadzenia własnego, polskiego rachunku strategicznego. Rachunek ten trzeba prowadzić w samotności, wychodząc z założenia, że nie wszystkie nasze interesy pokrywają się z interesami naszych sprzymierzeńców".

Autor od początku obecnej fazy konfliktu na Ukrainie przekonuje, że Polacy powinni zacieśnić współpracę z Ukraińcami w zakresie bezpieczeństwa. Między innymi w ten sposób Polska powinna dbać o zabezpieczenie swojej podmiotowości wobec potencjalnych przyszłych przetasowań w polityce czołowych sojuszników z NATO. Rachunek strategiczny pokazuje bowiem, że Ukraińcy stają się najbardziej naturalnym sojusznikiem Polski. Budzisz namawia przy tym polskie elity polityczne do odwagi w myśleniu o strategii. Silna armia ukraińska w połączeniu z rosnącym potencjałem Wojska Polskiego może być najlepszym straszakiem na Moskwę. A wszystko wskazuje na to, że Rosjanie mimo wszystko nie porzucili jeszcze marzeń o zmianie układu sił w Europie, czyli przepchnięcia kolanem czegoś w rodzaju Jałty 2.0. ©℗

Piotr Włoczyk

MAREK BUDZISZ
„SAMOTNOŚĆ STRATEGICZNA POLSKI"
ZONA ZERO

eprasa.pl fe1ca3b33c

Lem i ocean SF

Nie wiem, za co bardziej podziwiać autorkę: czy za wykonanie ogromnej pracy w znajdowaniu źródeł do biografii jednego z największych pisarzy science fiction w polskiej i światowej literaturze czy za rzetelne przedstawianie faktów i ocen, a także talent, z jakim ją napisała. Stanisław Lem (1921–2006) urodził się we Lwowie w dostatniej rodzinie zasymilowanego lekarza żydowskiego – Samuela Lehma, a jego bliskim krewnym był Marian Hemar. Jeden i drugi do końca życia tęsknili za miastem pod Wysokim Zamkiem, podobnie jak tylu innych wygnanych stamtąd po wojnie polskich inteligentów. U Lema doszły do tego przeżycia uciekiniera z getta, ukrywającego się podczas okupacji niemieckiej po aryjskiej stronie.

Owe przeżycia odżywały w PRL – zwłaszcza podczas czystek lat 60. Podobnie po zdławieniu Solidarności w latach 80. A jednak pisarz – po kilku latach spędzonych na Zachodzie – wrócił do Polski Jaruzelskiego. Podobnie jak wielu innych literatów PRL-owskich w pierwszej połowie lat 50. dość bezkrytycznie fascynował się komunizmem i Związkiem Sowieckim, co widać w jego pierwszych powieściach SF („Astronauci" i „Obłok Magellana"). Ale po Październiku '56 rozwinął żagle w tej dziedzinie, pisząc realistyczne „Solaris" i „Powrót z gwiazd", a także groteskowe „Opowieści o pilocie Pirxie" czy o podróżniku kosmicznym Ijonie Tichym. Weszły one – jak inne – do światowego kanonu fantastyki naukowej.

W wywiadzie z 1996 r. powiedział: „Nie przypuszczam, że gdybym pisał w warunkach całkowitej swobody, tobym się na ten ocean science fiction nie zapuścił. Ja naprawdę interesowałem się problemami, które wykraczają poza sprawy polityczne". Może i dobrze, bo jego próby komentowania wydarzeń lat 90. nie zawsze były po myśli otoczenia. A na krytyczne uwagi najbliższych mu nawet ludzi o jego twórczości zwykł reagować zaskakująco gwałtownie. Autorka wymienia tu m.in. Jana Józefa Szczepańskiego, Leszka Kołakowskiego, Stanisława Beresia czy Andrzeja Kijowskiego. Krytykowano np. dzieło „Summa technologiae"...

Agnieszka Gajewska przedstawiła sylwetkę wybitnego twórcy w pełnym wymiarze jego dramatycznych niekiedy doświadczeń, szczęśliwego życia z ukochaną żoną, wielkiego intelektu i wiedzy... To wszystko na tle polskiej historii XX i początku XXI w. Świetna lektura. ©℗

Maciej Rosalak

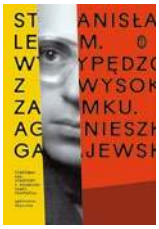

AGNIESZKA GAJEWSKA
„STANISŁAW LEM. WYPĘDZONY Z WYSOKIEGO ZAMKU. BIOGRAFIA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Na tropie „Orła"

Najsłynniejszy polski okręt podwodny zasługuje na swoją książkę już za samą brawurową ucieczkę z Tallina do Wielkiej Brytanii (i to bez map). A przecież historia „Orła" jest o wiele bogatsza! To już piąte wydanie słynnej pracy Jerzego Pertka, ale nie jest to zwykłe wznowienie. Czytelnicy dostają bowiem do ręki książkę wzbogaconą o wyniki badań specjalistów, którzy w ostatnich latach wielokrotnie przeczesywali w poszukiwaniu „Orła" brytyjskie archiwa, a także dno Morza Północnego. Być może niedługo dowiemy się, co się stało z naszym legendarnym okrętem podwodnym podczas jego ostatniego patrolu w czerwcu 1940 roku. ©℗ ***(p.w.)***

JERZY PERTEK
„DZIEJE ORP »ORZEŁ«"
ZNAK HORYZONT

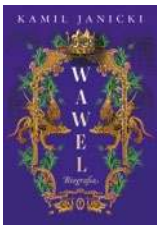

KAMIL JANICKI
„WAWEL. BIOGRAFIA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

OD GRAKCHUSA I CAŁOŻERCY

Od Wincentego Kadłubka dowiadujemy się, że Wawel założył Grakchus (Krak) po zabiciu bestii łykającej w całości ludzi i zwierzęta. Odtąd rosło zainteresowanie jamą całożercy i wawelskiego wzgórza. W rozbudowywaniu i upiększaniu zamku zasłużyli się zwłaszcza: Leszek Czarny, Łokietek & syn Kazimierz, Zygmunt & żona Bona. Zbrzydło tu zaś za Franciszka Józefa... Warto przeczytać! ©℗ ***(m.r.)***

SŁAWOMIR LEŚNIEWSKI
„KRZYŻACY. CZARNO-BIAŁA LEGENDA"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

KRZYŻACKA LEGENDA

Jakim cudem garstka zakonników zbudowała w krótkim czasie niezwykle sprawne państwo, które zaczęło rozdawać karty w naszym regionie Europy? I co sprawiło, że ta – wydawałoby się – doskonale naoliwiona machina wojskowo-administracyjna przestała działać? Sławomir Leśniewski, niestrudzony popularyzator historii Polski, tym razem bierze na warsztat arcywroga Polaków i Litwinów... ©℗ ***(p.w.)***

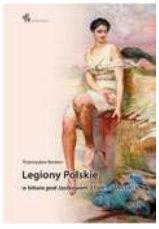

PRZEMYSŁAW BENKEN
„LEGIONY POLSKIE W BITWIE POD JASTKOWEM 31 VII–3 VIII 1915"
INFORT EDITIONS

CZWARTACY POD JASTKOWEM

Walki pod Jastkowem były chrztem bojowym dowodzonego przez Bolesława Roję 4. Pułku Piechoty Legionów, który poniósł ciężkie straty. Bohaterstwo żołnierzy – był wśród nich Władysław Broniewski – nie doprowadziło do przełamania rosyjskich pozycji. Autor przedstawia przebieg boju, w którym zginęło prawie 130 legionistów, oraz odpowiada na pytanie, dlaczego atak zakończył się niepowodzeniem i kto za to odpowiada ©℗ ***(t.s.)***

eprasa.pl fe1ca3b33c

Maharadża Jam Saheb Digvijaysinhji, opiekun ocalałych polskich dzieci FOT.DOMENA PUBLICZNA

Gehenna polskich dzieci

Wśród setek tysięcy Polaków deportowanych z Kresów Wschodnich w latach 1940–1941 były także dzieci. Wojciech Lada, korzystając ze wspomnień małych tułaczy, przedstawia ich dramatyczny los. Książka jest wstrząsająca nie tylko ze względu na opisywane przeżycia dzieci, lecz także na głębokie urazy psychiczne, których doznały. Autor przedstawia historie dzieci zarówno na „nieludzkiej" sowieckiej ziemi, jak i po jej opuszczeniu – w Iranie i w Indiach. „Uczucie głodu było dominujące i spychało na dalszy plan wszystkie inne odczucia i potrzeby. Przeszło w rodzaj obsesji i zabijało wszystkie inne doznania" – wspominała Grażyna Jonkajtys-Luba. Innej dziewczynce co noc śnił się chleb.

Uwolnienie deportowanych z zesłania nie było końcem koszmaru na sowieckiej ziemi. Starali się dostać w okolice, gdzie formowała się armia gen. Andersa. „Do Ałma-Aty i dalej, do Taszkientu, Samarkandy, Buchary to była prawdziwa droga śmierci i gehenny wojennej" – zapamiętała swoją podróż Filomena Bykowska. A Jasia Januszewska stwierdzała, że tyfus i dezynteria zbierały krwawe żniwo. „Bolek umarł 2.1.1942. Miał 6 lat. Zdzisiek umarł pod koniec stycznia 1942. Tata zmarł 7 lutego 1942. Stasia umarła pod koniec lutego 1942. Zostaliśmy sami we troje" – napisała w pamiętniku dziewczyna o nazwisku Wierzbińska. Do legendy przeszedł kilkuletni chłopiec, który niósł swoją półtoraroczną siostrzyczkę 20 km do punktu ewakuacyjnego.

Wiele dzieci było sierotami, ich rodzice zmarli lub zginęli w łagrach. Powstały liczne sierocińce, w tę akcję pomocy dzieciom włączyła się słynna piosenkarka Hanka Ordonówna. Straszne przeżycia sprawiły, że dzieci były trudne i zdziczałe, miały trudności z odróżnianiem dobra od zła. Były też naznaczone różnymi urazami. Pewien chłopiec, który po kilku latach spotkał ponownie ojca, nie poczuł żadnych emocji, brak uczuć rodzinnych już mu pozostał. Dziewczynka z sierocińca nie mogła przebaczyć matce, że ją opuściła, mimo że matka trafiła do więzienia.

Autor pisze o gen. Władysława Andersie, który postanowił na własną rękę ewakuować obok żołnierzy, także cywilów, w tym dzieci. Irański Isfahan został nazwany „miastem polskich dzieci". W Indiach dzieci otoczył opieką maharadża Jam Saheb Digvijaysinhji. ©℗

Tomasz Stańczyk

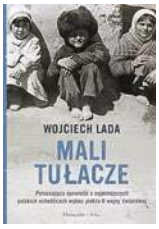

WOJCIECH LADA
„MALI TUŁACZE. PORUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ O NAJMNIEJSZYCH POLSKICH UCHODŹCACH WOBEC PIEKŁA II WOJNY ŚWIATOWEJ"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Narodziny Komendanta

Wiesław Budzyński, autor znakomitych książek biograficznych o Schulzu i Baczyńskim, przyjrzał się życiu Józefa Piłsudskiego do czasów Legionów włącznie. Nie jest to biografia, lecz zajmujący esej w przystępnej formie, o tym, co ukształtowało Piłsudskiego jako przywódcę zbrojnego ruchu niepodległościowego. I o tym, jak kształtował on umysły Polaków przed pierwszą wojną światową.

Autor poświęca dużo miejsca powstaniu styczniowemu. „To odwaga Traugutta stworzyła Piłsudskiego. Krzepiła i dodawała siły, a zwycięstwo Piłsudskiego będzie zwycięstwem Traugutta". Budzyński zwraca uwagę na cykl powstańczych grafik Artura Grottgera. Stwierdza, że Grottger, obok Traugutta, przygotowywał przyszłe zwycięstwo Piłsudskiego, robił dla niego miejsce w świadomości narodowej.

A Piłsudski miał niełatwe zadanie, ponieważ „podjął walkę na dwa fronty, z zaborcą i z przeważającą częścią narodu". Walczył z pokojowym nastawieniem społeczeństwa polskiego, pogodzeniem się z niewolą, brakiem wiary we własne siły, brakiem śmiałości, co powodowało, że Polacy zamiast działać na rzecz niepodległości, koncentrowali się na drobnych celach.

Wiele myśli Piłsudskiego związanych było z konkretnymi okolicznościami i mają już tylko walor historyczny. Wiesław Budzyński przypomina jego słowa o tym, że Polacy są między sobą wrogami nieubłaganymi. Niestety, nie straciły one aktualności. ©℗ ***(t.s.)***

WIESŁAW BUDZYŃSKI
„JAK PAN ZOSTAŁ PIŁSUDSKIM"
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

eprasa.pl fe1ca3b33c

Czerwony terror Tity: dziesiątki tysięcy ofiar

Josip Broz Tito i kierowany przez niego ruch partyzancki kojarzą się w powszechnej świadomości z walką prowadzoną przeciw niemieckim okupantom na terenie Jugosławii. Znacznie rzadziej historycy piszą o rewolucyjnym terrorze stosowanym wobec politycznych przeciwników przez jugosłowiańskich komunistów. Makabryczne masowe masakry dokonane przez oddziały armii jugosłowiańskiej w maju 1945 r. były kontynuacją zbrodni mających swój początek w pierwszym roku okupacji. Jesienią 1941 r. przeciwnikami partyzantów spod znaku czerwonej gwiazdy okazali się nie tylko okupanci z państw Osi czy serbscy kolaboranci gen. Milana Nedicia, czetnicy Kosty Pećanaca, chorwaccy ustasze, bośniaccy milicjanci, słoweńscy białogwardziści i domobrańcy, albańscy balliści oraz separatyści czarnogórscy. Za wrogów uznano także ranvogorskich czetników, czyli Jugosłowiańskie Wojska Ojczyźniane (Jugoslovenska vojska u otadžbini, JVuO) pułkownika, a od stycznia 1942 r. generała Dragoljuba Mihajlovicia, ministra ds. wojskowych w emigracyjnym rządzie premiera Slobodana Jovanovicia. Lista „wrogów ludu" obejmowała wszystkich, którzy nie życzyli sobie zwycięstwa sił komunistycznych w Jugosławii.

Jeszcze w okresie istnienia tzw. Republiki Užickiej jesienią 1941 r. na terenach zajętych przez czerwone oddziały NOPOJ zabito 827 osób, a 25 uznano za zaginione. Znaczącą większość ofiar komunistów stanowili cywile – 764 osoby, a tylko 69 ofiar należało do policji i żandarmerii. Większość z zamordowanych zginęła w pojedynczych egzekucjach, choć zdarzały się również zbiorowe mordy, jak 1 października 1941 r. w miejscowości Vrnjačka Banja, gdzie zginęło od 15 do 19 Serbów, Niemców (volksdeutschów) i Rosjan z białej rosyjskiej emigracji. W dniach 28–29 października 1941 r. w samych Užicach zamordowano 70 osób. Wraz z nadejściem roku 1942 fala komunistycznych zbrodni przetoczyła się przez Bośnię i Hercegowinę, znajdujące się na terytorium Niepodległego Państwa Chorwackiego. W lutym partyzanci z 1. Batalionu Szturmowego NOPOJ pozbawili tam życia 250 osób.

Wezwania do zabójstw pojawiały się w partyzanckich rozkazach: „Musicie uciec się również do represji wobec czetników. Musicie palić domy zatwardziałych zbrodniarzy i rozbójników, a obowiązkowo wszystkie domy czetnickich wodzów i przywódców. Wszystkie ich majątki należy konfiskować. Dopóki nie zlikwidujecie czetników, unikajcie walki z Włochami i przyjmujcie ją jedynie wtedy, gdy nie będziecie mogli jej uniknąć lub kiedy będziecie pewni, że zdobędziecie łupy w postaci broni i materiałów". Skutkiem takich dyspozycji w okolicach czarnogórskiego Kolašina życie straciło 100 osób. Zgodnie z wytycznymi w kwietniu 1942 r. spalono sympatyzujące z ustaszami wsie Luka, Zurovići, Bundići i Šipovica oraz Gajlovići, Risnik, Gornja, Donja Duboka i Glđevci. W Słowenii w latach 1941–1944 czerwoni zabili ok. 4 tys. cywilów. Po zajęciu terenów Serbii w październiku 1944 r. oddziały Tity dokonały tam likwidacji prawie 60 tys. osób. Na obszarach Wojwodiny zginęło prawie 5 tys. Węgrów. W maju 1945 r. w Bleiburgu i okolicach oraz marszach śmierci zamordowano 70 tys. jeńców i cywilów, z których 45–55 tys. było Chorwatami i Bośniakami. ©℗

Arkadiusz Karbowiak

MARIUSZ ZAJĄCZKOWSKI
„TERROR REWOLUCYJNY I REPRESJE KOMUNISTYCZNE W JUGOSŁAWII W LATACH 1941–1946"
„RES HISTORICA" NR 53/2022

PLAN WETERANA

Przetrwać!

Te porady na czas zwycięskiej ofensywy wroga i okupowania naszego kraju, miasta czy osiedla pisał weteran jednostki wojskowej GROM. Pisał podczas trwającej wojny na Ukrainie i wcale nie krył, którego to wroga musimy się obawiać, z jego okazywanymi nader często w historii rosyjskimi zachowaniami, bez liczenia się z prawami ludzkimi i boskimi, perfidią i okrucieństwem, skłonnością do mordu, rabunku i gwałtu. Weteran przekonuje, że ewakuacja jest zawsze lepsza od pozostania na miejscu, na łasce i niełasce takiego okupanta, w naszych domach niedających wystarczającego zabezpieczenia przed bombardowaniami. Radzi więc przygotować plan oraz ekwipunek i ruszyć w drogę pod ustalony adres (np. ciotki z belgijskiego Mons), gdy tylko zaczną uciekać bogacze i dyplomaci.

Ocenia środki lokomocji (samolot, pociąg, auto, jednoślady), ale zakłada, że w końcu i tak – gdy samoloty przestaną startować, zabraknie paliwa, mosty zostaną zniszczone przez wrogów lub przez naszych – każdy będzie szedł na piechotę. Wtedy nieoceniony będzie strój komandosów, ale – broń Boże! – barwiony w panterkę, bo to grozi zastrzeleniem przez pierwszy posterunek, nawet nasz, no i bez odznak wojskowych. Absolutnie trzeba iść bez walizek, za to z właściwie wyposażonym oraz zabezpieczonym przed zamoczeniem „plecakiem ucieczkowym". A gdy żona z dziećmi oraz z psem i kotem trafią już do Mons, nasz weteran wróci do kraju walczyć. Co ciekawe, nie żąda tego od tych, którzy walczyć nie chcą. Pożytku z nich w walce nie będzie, a bardziej mogą się przydać za granicą… ©℗

Maciej Rosalak

NAVAL
„EKSTREMALNY PORADNIK PRZETRWANIA"
BELLONA

eprasa.pl fe1ca3b33c

/ Felieton

Rafał A. Ziemkiewicz

Niezałapany

Śmierci Jerzego Urbana starałem się nie komentować na bieżąco – ograniczyłem się jedynie do zacytowania sentencji Andrzeja Maksymiliana Fredry: „Złych ludzi najpiękniejszym dziełem jest, gdy umierają". W polskim zwyczaju leżało bowiem zawsze powstrzymanie się od wypowiadania o niedawno zmarłym innych opinii niż pochlebne, do momentu, aż zostanie pogrzebany. Co – do czasu, gdy czytają państwo te słowa – dawno już zostało załatwione.

Poza odnotowaniem szkód, które wyrządził zmarły Polsce, warto jednak odnotować, że mógł wyrządzić szkody znacznie większe. Jerzy Urban – wraz z całym swym środowiskiem – minął się o włos z rolą „autorytetu moralnego" III RP. Nie, jak to się ostatecznie ułożyło, idola z wolna wymierającego „elektoratu partyjno-mundurowego", dla którego podupadły dziś (ponoć ok. 20 tys. nakładu – w szczycie było to ponad 20 razy więcej) tygodnik „Nie" był swego rodzaju środkiem eutanazyjnym, łagodzącym mu „panświnizmem" zejście z dziejowej sceny. Mógł być autorytetem środowiska budowniczych III RP, a prawdopodobnie także jednym z jej architektów.

Napisałem kiedyś żartobliwe opowiadanko z gatunku historii (no dobrze: historyjek) alternatywnych o Aleksandrze Kwaśniewskim, w duchu „Nikodema Dyzmy", tylko na odwrót. Jako młody, prący do kariery działacz PZPR Kwaśniewski upił się na raucie i zanieczyścił suknię żony partyjnego przywódcy, który pijaków nie tolerował, a żony bał się jeszcze bardziej niż sowieckiego genseka. Tym samym kariera Kwaśniewskiego w partii została skutecznie zatrzymana i nie pozostało mu nic innego niż iść do opozycji. Gdzie, z racji swych koneksji, sprytu i wygadania, robi karierę i w roku 1990, jako kandydat krakowsko-warszawskich salonów, wygrywa wybory prezydenckie z Wałęsą. Jak zmieniłoby to bieg historii?

> Gdyby Urban w porę zrozumiał, że stan wojenny nie jest ostatecznym triumfem komuny, a początkiem jej końca, to myślę, że **znalazłby się po tej stronie historycznej kromki chleba, po której okazała się ona posmarowana**

Urban wydaje się karierowiczem doskonałym, a jednak popełnił jeden życiowy błąd: uznał, że komunizm przetrwa jeszcze ho, ho i trzeba na całego wejść w ekipę „stanu wojennego", bo większej szansy już nie będzie. Gdyby w porę zrozumiał, że „można podeprzeć się bagnetem, ale siedzieć na nim nie sposób" i że stan wojenny nie jest ostatecznym triumfem komuny, a początkiem jej końca, gdyby lata 80. przebujał jak poprzednie, jako publicysta niby-to-zdystansowany od obu stron, czerpiąc od Partii umiarkowane profity z niby to dąsania się na nią, ale z zachowaniem „pryncypiów", to myślę, że pod koniec lat 80. znalazłby się po tej stronie historycznej kromki chleba, po której okazała się ona posmarowana.

Czy potrafią sobie państwo wyobrazić, że dyskursem publicznym nowej władzy zarządzałby nie zakochany w swej wielkości i stąd mocno odklejony od realiów Michnik, ale cwany Urban? Oczywiście to byłby inny Urban niż ten nam znany, nie ten wulgarny panświnista, ale umiarkowany, zdroworozsądkowy, trochę niewierzący katolik, „szanujący rolę Kościoła w polskiej kulturze i historii", trochę europejski liberał…

Myślę, że nie powtórzyłby błędów Michnika, który próbując sterroryzować autorytetem elit, zawstydzić i wykluczyć z debaty publicznej większość społeczeństwa, zjednoczył je przeciwko salonom i w ten sposób wypracował historyczne zwycięstwo PiS. A gdyby pomagdalenkowe elity umiały się lepiej skomunikować z „dołami"… Wyobrażają to sobie państwo?

Na szczęście to już nam nie grozi, może być tylko pożywką dla pisarskiej wyobraźni, zawsze liczącej się z tym, że mogło być gorzej. ©℗

eprasa.pl fe1ca3b33c

/ Felieton

Piotr Semka

Polski siepacz Stalina

Mija 90. rocznica jednego z najstraszniejszych wydarzeń XX w. – celowo wywołanego głodu na Ukrainie. Nasi wschodni sąsiedzi zajęci walką na śmierć i życie z armią Putina w tym roku nie upamiętniali jakoś specjalnie tego strasznego wydarzenia. Zapewne groza obecnej wojny, masakry na cywilach czy ataki na osiedla cywilne są na tyle upiornym doświadczeniem, że trudno wymagać, żeby jeszcze wspomniano o horrorze sprzed dziewięciu dekad.

Dla polskiego czytelnika ważny jest pewien „polski" akcent w ówczesnej operacji upokorzenia niepokornej Ukrainy. Jednym z architektów tej zbrodni był nasz rodak Stanisław Kosior, urodzony w 1889 r. w Węgrowie na Podlasiu. Jego losy są dosyć typowe dla wielu polskich rodzin z przełomu wieków. Stanisław Kosior był synem gospodarza Wincentego Kosiora – głowy rodziny złożonej z sześciorga dzieci. Gospodarka nie była w stanie wyżywić tak wielu osób i w związku z tym ojciec postanowił pojechać za pracą do zagłębia węglowego Donbas. Po pewnym czasie ściągnął całą rodzinę do niewielkiej miejscowości Sulina, która obecnie znajduje się na terenie przylegającym do ukraińskiego Donbasu. Stanisław Kosior miał pociąg do nauki – już trzyletnią szkołę skończył z wyróżnieniem.

Jako 14-latek musiał zacząć pracę w hucie, ale szybko związał się z podziemną Socjaldemokratyczną Partią Robotniczej Rosji. Z czasem wyrósł na doświadczonego konspiratora, który wymyślił dosyć pomysłowy sposób na wizytowanie poszczególnych miast Ukrainy i utrzymywanie łączności między poszczególnymi komórkami podziemnej partii. Powołał klub piłkarski, którego został kapitanem i który krążył po Ukrainie pod pozorem meczów ligowych. W końcu zainteresowała się nim żandarmeria i został zesłany na Sybir. Po rewolucji lutowej, jak wielu rewolucjonistów, triumfalnie wraca do Piotrogrodu i wchodzi w skład Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego szykującego przewrót bolszewicki. Polskiej świadomości narodowej już wtedy specjalnie nie wykazywał i został zwolennikiem teorii permanentnej rewolucji, która miała stworzyć Europejskie Państwo Rad. Tworzenie osobnego polskiego państwa, nawet robotniczego, uważał za fanaberię.

Z tak wyrazistymi poglądami mógł robić w partii bolszewickiej błyskotliwą karierę. W konflikcie Stalin kontra Trocki postawił na właściwego konia, popierając ambitnego Gruzina. Co więcej, zasłużył się Stalinowi, fizycznie zmuszając Trockiego do deportacji najpierw do Ałma Aty, a potem za granice ZSRS. Stalin uznał po tym teście lojalności, że jest to idealny wykonawca najbardziej brudnej roboty. W 1928 r. Kosior staje na czele Ukraińskiej Partii Komunistycznej (bolszewików) i wtedy zaczyna być naprawdę groźny. Ambitny Polak zachłystuje się relacjami z Kazachstanu, w których wysławiano gospodarstwa kolektywne jako znacznie skuteczniejsze od gospodarstw indywidualnych. Od tej chwili likwidacja kasty bogatszych gospodarzy, czyli tzw. kułaków, staje się jego obsesją.

/ **Ekipy NKWD i Armii Czerwonej zabierały wtedy przemocą zapasy zboża, skazując całe rodziny na śmierć głodową**

Był już wtedy członkiem prezydium WKPb. Jak wskazują w obszernej biografii Kosiora badacze Marta Panas-Goworska i Andrzej Goworski, Kosior i Stalin byli jedynymi politykami w czołówce sowieckiej, którzy w kółko żądali podwyższania kontyngentów, które miała państwu sowieckiemu dostarczać sowiecka wieś. Wywoływało to oczywiście konflikty i chowanie przez chłopów zboża na zasiew. Nasyłane na wsie i przysiółki ekipy NKWD i Amii Czerwonej siłą konfiskowały wtedy zapasy zboża, skazując całe rodziny na śmierć głodową. Wsiom, które nie wykonały normy, zabierano całą żywność, a przy okazji zmuszano Ukraińców do oddawania złota, kosztowności czy zagranicznych walut, aby kupić choćby najprostsze artykuły spożywcze w tzw. torksinach, gdzie żywność sprzedawano za walutę i złoto. Dodatkowym ciosem w rodziny uznane za kułackie był zakaz przyjmowania ich do kołchozów.

Kosior był więc współodpowiedzialny za cały głodowy okres lat 1932–1934, kiedy to wedle różnych ocen zginęło od 4 do 8 mln ludzi. Początkowo wydawało się, że Kosior za swoją brutalną akcję zostanie przyjęty do najwyższego kręgu współpracowników Stalina. Jednak w 1938 r. na fali czystek został bezceremonialnie rozstrzelany. Czy ma jakiś sens odnoszenie się do polskiej narodowości Kosiora? Był takim samym funkcjonariuszem stalinowskiej machiny śmierci jak inni Rosjanie, Żydzi, Polacy, Bułgarzy czy Łotysze. Tak samo w procesie pacyfikowania głodem Ukrainy brali udział także rdzenni Ukraińcy. O wiele większe wrażenie robi postać Kosiora słaniająca do ponurej refleksji nad stopniem znikczemnienia w imię najświatlejszych idei. ©℗

eprasa.pl fe1ca3b33c

1941–1943 / Okupacja niemiecka

Męczeństwo nazaretanek w Nowogródku. Obraz Adama Styki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Męczennicy Kresów

Tomasz Stańczyk

Duchowni, którzy zginęli z powodu nienawiści Niemców do wiary chrześcijańskiej i polskości

Wśród 108 polskich męczenników zamordowanych podczas drugiej wojny światowej przez Niemców – i uznanych za błogosławionych w 1999 r. przez Jana Pawła II – większość zginęła w obozach koncentracyjnych, głównie w Dachau, Mauthausen-Gusen i Auschwitz. Wśród błogosławionych są także księża, zakonnicy i zakonnice oraz jedna osoba świecka, zabici przez Niemców, a także ich kolaborantów, na Kresach Wschodnich, także za granicą ryską. W drugim, trwającym procesie grupy męczenników są rozpatrywane sprawy dwóch księży z Kresów.

Zabójstwo nazaretanek w Nowogródku

Siostry nazaretanki przybyły do Nowogródka w 1929 r., pod ich opieką znalazł się zaniedbany i nieużytkowany kościół farny, w którym był ochrzczony Adam Mickiewicz. Podjęły trud odnowienia świątyni. Założyły też szkołę powszechną i przy pomocy lokalnej społeczności zbudowały dla niej budynek. W 1940 r., podczas sowieckiej okupacji, siostry zostały pozbawione zakonnej własności i zaczęły pracować m.in. jako robotnice. Mieszkały w Nowogródku, ale już nie w klasztorze. Po ciężkich rządach sowieckich przyszła okupacja niemiecka. Siostry wróciły do klasztoru, więc pod tym względem wydawało się, że nastały dla nich i ich posługi czasy normalności. Jednak po pewnym czasie zostały wygnane, gdyż Niemcy chcieli zrobić miejsce dla członków kolaboracyjnej policji białoruskiej. Jedna z zakonnic, s. Maria Kanizja (Eugenia Mackiewicz), prowadziła tajne nauczanie języka polskiego i historii.

W czerwcu 1942 r. Niemcy aresztowali Polaków z elity Nowogródczyzny, w tym księży. W następnym miesiącu zostali rozstrzelani. Byli wśród nich ks. Michał Dalecki, dziekan nowogrodzki, i ks. Józef Kuczyński. Rok później Niemcy postanowili dokonać zemsty na Polakach za zdobycie 19 czerwca

eprasa.pl fe1ca3b33c

1943 r. Iwieńca przez partyzantów AK i rozgromienie tamtejszego garnizonu. W Iwieńcu rozstrzelano 150 Polaków. Miesiąc później, w nocy z 17 na 18 lipca, Niemcy dokonali licznych aresztowań w Nowogródku.

Ksiądz Aleksander Zienkiewicz w książce „Ofiara przyjęta" wspominał rozmowę z s. Stellą Marią: „I oto jej pierwsze słowo: gdzieś po południu owego dramatycznego dnia przy spotkaniu ze mną M. Stella mówi z właściwą sobie prostotą: »Mój Boże, jeżeli potrzebna jest ofiara z życia, niech raczej nas rozstrzelają aniżeli tych, którzy mają rodziny – modlimy się nawet o to«".

Kilka aresztowanych osób uwolniono, inne wysłano do obozów koncentracyjnych. 31 lipca s. Stella poinformowała księdza, że Niemcy każą się stawić wszystkim siostrom w komisariacie. Oboje sądzili, że zakonnice zostaną wywiezione do Niemiec. Dzień później, w niedzielę 1 sierpnia 1943 r., 11 sióstr zostało wywiezionych z Nowogródka. Ciężarówka zatrzymała się kilka kilometrów za miastem.

„Tam, o paręset kroków na lewo od szosy wiodącej do Nowojelni – pisał ks. Zienkiewicz – w brzozowo-sosnowym lesie wykopano dół i brutalnymi strzałami zepchnięto 12 ofiar do krwawiącej mogiły... Dwunastą ofiarą był przed paru tygodniami zatrzymany w mieście chłopiec, mieszkaniec wsi sąsiadującej z miejscem egzekucji. Być może, że był on głównym robotnikiem przy kopaniu dołu, a zastrzelono go dla pozbycia się postronnego świadka zbrodni".

Dlaczego siostry zostały zamordowane? Ksiądz Zienkiewicz przypuszczał, że dla Niemców i białoruskich kolaborantów solą w oku była nowogródzka fara, ognisko polskiego życia religijnego i narodowego, prowadzone przez nazaretanki. Jednak w jego opinii Białorusini byli zaskoczeni i skonsternowani dokonanym przez Niemców mordem.

Spośród nowogródzkich nazaretanek ocalała tylko s. Małgorzata (Ludwika Banaś), której przełożona kazała pozostać, by pilnowała kościoła. Po wojnie s. Małgorzata pozostała w Nowogródku, by opiekować się grobem zamordowanych zakonnic, farą, przygotowywać dzieci do komunii świętej. Zmarła w 1966 r. Trwa jej proces beatyfikacyjny.

Jedenaście męczenniczek nazaretanek z Nowogródka zostało beatyfikowanych przez Jana Pawła II w 2000 r., dwa lata później Stolica Apostolska zgodziła się na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego s. Małgorzaty. W tym roku uznano heroiczność jej cnót.

Siostra Maria Ewa (Bogumiła Noiszewska)
FOT. SPRAWIEDLIWI.ORG.PL

Ksiądz Adam Sztark udzielał pomocy Żydom ze Słonimia. Pomagały mu siostry niepokalanki, Maria Ewa i Maria Marta

Ksiądz Adam Sztark FOT. ARCHIBIAL.PL

Zbrodnia w Berezweczu

W kościele i klasztorze w Berezweczu mieścił się niemiecki obóz, a w okolicach miasteczka rozstrzeliwano jego więźniów, także tych przetrzymywanych w więzieniu w sąsiednim Głębokiem.

Tam właśnie trafili w grudniu 1941 r. księża Władysław Maćkowiak, proboszcz w Ikaźni, i Stanisław Pyrtek, wikary tamtejszej parafii. W styczniu następnego roku dołączono do nich Mieczysława Bohatkiewicza, proboszcza w Pelikanach, a także w Dryssie. Wszyscy księża byli ostrzegani przed grożącym im niebezpieczeństwem, mogli więc wyjechać ze swoich parafii i ukryć się, jednak nie chcieli pozostawiać wiernych. Nie podjęli też próby ucieczki ze szpitala, do którego udało się ich przenieść ks. Zienkiewiczowi, dziekanowi głębockiemu, w porozumieniu z dyrektorem placówki, dr. Zasztowtem – pod pretekstem chorób. Dyrektor poręczył za nich u Niemców, że nie uciekną. Księża mieli możliwość ucieczki, ale nie chcieli narażać dyrektora szpitala, jego rodziny i personelu na niemieckie represje.

Świadek ostatnich dni trzech kapłanów, ks. Piotr Bartoszewicz, który ich odwiedzał, w rozmowie z ks. Tadeuszem Krahelem wspominał, że przyniósł do szpitala informację pochodzącą od dowódcy żandarmerii o tym, że będą zwolnieni 4 marca. „Wszyscy trzej zgodnie mi zaprzeczają – nie, my już nie będziemy wolni. Owszem, będziemy wolni, ale w innej Ojczyźnie – niebieskiej. Byłem zdumiony ich spokojem. Kiedy spowiadałem – podziwiałem ich pokój ducha i radość nawet wewnętrzną z tej świadomości, że oni idą na śmierć. Wkrótce położą życie za wiarę".

2 marca 1942 r. księża zostali zabrani do więzienia, do celi śmierci. Przed rozstrzelaniem 4 marca napisali w brewiarzu ostatnie słowa pożegnania. Opublikował je ks. Tadeusz Krahel, wicepostulator procesu beatyfikacyjnego. Ksiądz Bohatkiewicz pisał do rodziny:

eprasa.pl fe1ca3b33c

„Nie płaczcie po mnie, a cieszcie się, że Wasz potomek i brat zdał egzamin. Proszę Was tylko o modlitwy, a także innych Konfratrów znajomych i mych przyjaciół. Jeśli można, odprawcie wspólnymi siłami gregoriankę. Powiadomić proszę mego i swego Biskupa o mojej śmierci. Wszystkim moim wrogom przebaczam z całego serca, chciałbym im wszystkim wysłużyć niebo".

Ksiądz Maćkowiak napisał do arcybiskupa wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego: „Cieszę się, że Bóg mnie wybrał, a nade wszystko, że dodaje łaski i sił, bo wszyscy trzej jesteśmy spokojni...".

Ksiądz Pyrtek zwrócił się do rodziny: „Te kilka godzin dzieli mnie od śmierci niczym niezasłużonej. Obowiązkiem kapłana jest złożyć i tę ofiarę za Chrystusa. Ginę za nauczanie religii. Nie płaczcie ani się smućcie po mnie, idę do Mamusi i tam wszyscy się spotkamy. Żegnajcie mi zatem. Dziękuję Wam za wszystko. Przepraszam za wszelkie zło. Serdecznie ściskam, całuję i pozdrawiam. Bądź zdrów, drogi Tatusiu, kochane siostry i drodzy malcy, wszyscy krewni i znajomi. Ślę Wam kapłańskie błogosławieństwo. Po trzech miesiącach więzienia cieszę się, że godny jestem cierpieć i umierać" (T. Krahel, „Materiały dotyczące kapłanów rozstrzelanych przez Niemców 4 III 1942 w Berezweczu").

Trzej księża zostali beatyfikowani przez Jana Pawła II w 1999 r., w gronie 108 polskich męczenników zamordowanych z nienawiści do wiary chrześcijańskiej.

Sanktuarium męczenników w Rosicy

FOT. WIKIPEDIA/ZEDLIK

Pomagali Żydom

Prześladowania żydowskiej ludności Słonimia rozpoczęły się natychmiast po wejściu Niemców do miasta, latem 1941 r. Żydzi umierali z niedożywienia, byli rozstrzeliwani. Latem 1942 r. Niemcy dokonali ostatecznej eksterminacji Żydów w Słonimiu, likwidując getto. Ksiądz Adam Sztark, jezuita, kapelan szpitala oraz klasztoru ss. Niepokalanego Poczęcia NMP, pomagał Żydom od początku niemieckiej okupacji, także i tym ocalałym z getta, ukrywając ich u siebie i wystawiając świadectwa chrztu. Współpracowały z nim zakonnice niepokalanki, s. Maria Ewa (Bogumiła Noiszewska), lekarka oraz s. Maria Marta (Kazimiera Wołowska). Wielu Żydów znalazło schronienie w szpitalu, a także w klasztorze. Ksiądz Sztark oddał swój złoty krzyżyk na rzecz pomocy Żydom, czym dał przykład swoim parafianom. Siostra Marta wypisywała recepty dla Żydów.

Biernacka poszła na śmierć w zamian za ocalenie życia synowej i jej nienarodzonego dziecka. W 1999 r. Jan Paweł II zaliczył ją do błogosławionych

„W czerwcu 1941 r. Helena Glikson była w siódmym miesiącu ciąży. W połowie sierpnia urodziła synka – Jerzego. Poród w poliklinice odbierał dr Henryk Kagan. Rodzice nie obrzezali chłopca.

Gliksonowie wstąpili do partyzantki. Zginęli prawdopodobnie w 1942 r., w niemieckiej obławie. Ich synek, przez poliklinikę, trafił do ochronki w klasztorze, gdzie spędził rok. Następnie ksiądz Sztark umieścił go w rodzinie Mikuczuynów prowadzącej szkółkę leśną na obrzeżach Słonima. [...] Również dr Henryk Kagan, który odbierał poród Heleny Glikson, oddał pod opiekę sióstr swojego syna, a sam wstąpił do partyzantki. W klasztorze znajdowała się również inna rodzina o nazwisku Kagan – dwoje dentystów z dziewięcioletnią córeczką, dla której ks. Sztark przygotował fałszywe metryki chrztu" (sprawiedliwi.org.pl/pl/historie-pomocy/historia-ks-adama-sztarka).

W grudniu 1942 r. Niemcy aresztowali ks. Adama Sztarka oraz siostry zakonne Ewę i Martę. Skazali ich na śmierć za pomoc Żydom. Miejscem stracenia była Góra Pietrelewicka pod Słonimiem. „Przed egzekucją ofiarom kazano rozebrać się. Ksiądz Sztark spełnił rozkaz, natomiast siostry się ociągały, krępując się. Wówczas ksiądz [...] powiedział: »Pana Jezusa też obnażono« [...] siostry posłusznie rozebrały się. Powyższe wiadomości ludzie tutejsi mieli od naocznych świadków, którymi byli miejscowi policjanci, asystujący przy egzekucji". Ksiądz przed egzekucją wykrzyknął: „Niech żyje Chrystus Król! Niech żyje Polska!".

Syn Gliksonów – Jerzy (Jerry) Glikson – po wojnie zamieszkał w Stanach Zjednoczonych, został profesorem biochemii i radiologii. Nie zapominał o tym, komu zawdzięcza życie. W 2001 r. ks. Adam Sztark został uhonorowany medalem Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Trwa jego proces beatyfikacyjny. Dwie siostry niepokalanki, Ewa i Marta, zostały błogosławionymi w 1999 r.

Czarny Lipiec

Wraz z ks. Sztarkiem czeka na wyniesienie na ołtarze ks. Edmund Roszak, jezuita, administrator parafii w Jałówce. Znając język niemiecki, wielokrotnie interweniował u władz okupacyjnych, broniąc Polaków. Został rozstrzelany pod Świsłoczą wraz z klerykiem wileńskiego seminarium Feliksem Kochanowskim – który ukrywał się na jego plebanii, po ucieczce z transportu przymusowych robotników do Niemiec – oraz z kilkoma innymi księżmi, podczas niemieckiej akcji tępienia polskich elit w Białostockiem (województwo białostockie obejmowało także tereny należące dziś do Białorusi), w 1943 r. Był to tzw. Czarny Lipiec.

eprasa.pl fe1ca3b33c

Zginęli wówczas m.in. ks. Józef Kozłowski, proboszcz parafii w Świsłoczy, franciszkanin Michał Eugeniusz Klimczak, proboszcz jednej z parafii w Grodnie, oraz ks. Kazimierz Szypiłło, wikariusz innej grodzieńskiej parafii, i ks. Justyn Skokowski, kapelan WP z Grodna. Trzej ostatni duchowni zostali zamordowani w Forcie IIA w Naumowiczach koło Grodna. Jest to także miejsce męczeńskiej śmierci Marianny Biernackiej z Lipska nad Biebrzą. Niemcy skazali na śmierć jej syna i synową, będącą w zaawansowanej ciąży. Biernacka ofiarowała się pójść na śmierć w zamian za ocalenie życia synowej i jej nienarodzonego dziecka. Została rozstrzelana w lipcu 1943 r. W 1999 r. Jan Paweł II zaliczył ją w poczet błogosławionych.

Za granicą ryską

Po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej arcybiskup wileński Romuald Jałbrzykowski wysłał za dawną wschodnią granicę Polski dwóch duchownych z Drui: ks. Antoniego Leszczewicza, a później ks. Jerzego Kaszyrę, marianów. Mieli objąć opieką duszpasterską wiernych w Rosicy, którzy przez 20 lat sowieckich rządów byli jej pozbawieni. W lutym 1943 r., podczas pacyfikacyjnej akcji niemieckiej z udziałem łotewskich kolaborantów, dokonano masakry w Rosicy. Część mieszkańców spalono żywcem w stodole. Niemcy kazali księżom wynosić się ze wsi. Zgodzili się wrócić do Drui, jeśli mieszkańcy wsi zostaną uwolnieni, w przeciwnym wypadku postanowili pozostać z nimi. Zostali zamordowani.

Do posługi za granicą ryską został wysłany także ks. Henryk Hlebowicz, znany i bardzo popularny w Wilnie duchowy opiekun młodzieży studenckiej, a podczas sowieckiej okupacji członek konspiracyjnej organizacji Akcja Ludowa, znany z odważnych kazań podczas sowieckiej okupacji. Ksiądz Hlebowicz opiekował się wiernymi w parafiach Chotajewicze, Korzeń i Okołowo na Mińszczyźnie. Został rozstrzelany przez kolaboracyjną policję białoruską w Borysowie w grudniu 1941 r.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Informacje biograficzne o męczennikach z Kresów Wschodnich znajdują się na stronie swzygmunt.knc.pl – w zakładce „Martyrologium".

Na skraju imperium

Tomasz Stańczyk

5 grudnia odbył się w Gdańsku pogrzeb sprowadzonych z Wielkiej Brytanii doczesnych szczątków Mieczysława Jałowieckiego, zmarłego w Londynie w 1963 r. Starało się o to Muzeum II Wojny Światowej, uzyskawszy zgodę prawnuka, Andrzeja Jałowieckiego, zamieszkałego w Gdańsku- Oliwie. Ale nie tylko względy rodzinne sprawiły, że Mieczysław Jałowiecki został pochowany w Gdańsku, na cmentarzu Srebrzysko. W latach 1919–1920 był przedstawicielem polskiego rządu w Wolnym Mieście Gdańsku i zasłużył się kupieniem kilku nieruchomości, z których najważniejsze były te na Westerplatte. Powstała tam następnie Wojskowa Składnica Tranzytowa.

Pierwszą połowę życia Jałowiecki spędził w Rosji, na zabranych ziemiach kresowych. Lata te opisał we wspomnieniach „Na skraju imperium". Urodził się w 1876 r. w majątku w Syłgudyszkach (dziś na Litwie). „Nasza rodzina należała do domu Rurykowiczów – pisał Jałowiecki – a to w Rosji znaczyło bardzo dużo. Czuliśmy się jednak Polakami, a to w Rosji bardzo przeszkadzało".

Był dumny z pochodzenia od Ruryka. Dodawał jednak: „Miałem jakąś instynktowną niechęć i lęk przed rosyjską kulturą, jakąś podświadomą odrazę do płynącego stamtąd strasznego nihilizmu". Politykowi Aleksandrowi Guczkowowi wygarnął: „U was nie ma zasad, waszą duszą rządzi chciwość lub chwilowe nastroje. Usprawiedliwiacie się tą duszą, która, przepraszam cię, pełna jest obłudy i chytrości. Napadaliście na Turcję, bo była słaba, a nie jak głosicie, by wyzwalać braci Słowian. Kiedy była okazja wyszarpać sobie kawał słowiańskiej Rzeczypospolitej, to bez żadnych wyrzutów sumienia zaprosiliście do stołu Germanów".

Mieczysław Jałowiecki opisywał piękno Kresów, odwiedzał pałace i dwory, notując ich historię i malując akwarele. Podkreślał, że na terenach dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego panowało wśród szlachty fanatyczne przywiązanie do ziemi i nie było takiej ofiary, której by nie poniosła dla jej utrzymania. W tym świetle inaczej patrzymy na udział ziemiaństwa w odsłonięciu pomnika Katarzyny II w Wilnie. Za ten gest lojalności, ówcześnie bardzo potępiany, władze rosyjskie uchyliły zakaz nabywania ziemi przez Polaków. A polscy ziemianie – jak zaznaczał Jałowiecki – byli w znakomitej większości miejscowego pochodzenia. Poleca się to uwadze tych, którzy plotą o „polskich kolonizatorach".

Autor „Na skraju imperium" przeciwstawiał się opinii, że na Kresach „czuć powiew Wschodu". Stwierdzał, że wystarczy przekroczyć dawną granicę Rzeczypospolitej, by „zauważyć przepaść historyczną i kulturalną", która dzieli Kresy od Rosji. Widać ją było nie tylko w wyglądzie wsi, zachowaniu się ludności, mowie, lecz także w „pewnym poczuciu godności własnej, która tam, za historyczną granicą, nigdy nie mogła się wybić z szarzyzny niewolniczych mas ludu rosyjskiego. Kresy zachowały wyraźnie swą odrębność, swoje oblicze, swoją indywidualność, tak różną od zalegających tuż za progiem pustkowi rosyjskich". ©℗

eprasa.pl fe1ca3b33c

Piraci ustawiają działa. Obraz Nielsa Simonsena

FOT. PALAIS DOROTHEUM/WIKIPEDIA

XVI w. / Północnoafrykańscy piraci muzułmańscy

Groza Berberów

Maciej Rosalak

Kontrakt pirata z sułtanem sprawił, że silna flota Hayreddina Rudobrodego ruszała każdej wiosny do bezpardonowej walki z chrześcijanami

Morska ofensywa islamu na wybrzeża i wyspy akwenów śródziemnomorskich rozpoczęła się w VII w., kilkanaście lat po zdobyciu przez Arabów Palestyny i Syrii (634–640). W 655 r. pierwsze zwycięstwo nad flotą bizantyjską odniósł namiestnik Egiptu – Abdullach ibn Saad. Najpierw w arabskie ręce wpadł Cypr, a następnie Rodos. Wyspę tę w 1090 r. zdobyli Turcy seldżuccy. Odbite przez Bizancjum podczas pierwszych wypraw krzyżowych, zostało zajęte w 1309 r. przez joannitów, którzy trwali tam do 1522 r. Cypr natomiast przechodził od X w. z rąk bizantyjskich w ręce krzyżowców i feudałów zachodnioeuropejskich (koniec XII w.–połowa XIII w.), a wreszcie republik kupieckich Pizy, Genui i Wenecji. Wenecjanie utrzymali wyspę do 1571 r., gdy dostała się na ponad 300 lat pod panowanie osmańskie.

Podczas dżihadu Arabowie i północnoafrykańscy piraci muzułmańscy zajmowali od VIII do XI w. należące do Bizancjum wyspy: Sardynię, Baleary, Kretę, Korsykę, Sycylię i Maltę oraz zdobywali – na południowych wybrzeżach Italii – Tarent, Bari i Neapol, a w Prowansji wznieśli twierdzę Fraxinet. Na wschodzie akwenu śródziemnomorskiego cztery lata (674–678) Arabowie utrzymywali przyczółki na południe od stolicy Bizancjum, a bazę floty stanowiło pobliskie Kyzikos, skąd w 717 r. zaatakowali miasto.

Zdobywcze i łupieżcze napady, ułatwione wycofaniem z Morza Śródziemnego floty bizantyjskiej, wyprowadzali z portów – usamodzielnionych już od Bagdadu – Maroka, Algieru i Tunisu. W okresie wypraw krzyżowych oraz zbrojnych konfliktów wewnątrz świata islamu, niejednokrotnie bardziej zażartych od walk z chrześcijanami, muzułmańska agresja śródziemnomorska doznała regresu. Po zdobyciu Konstantynopola (1453) uruchomiło ją na wielką skalę imperium osmańskie. Osmanowie korzystali z usług północnoafrykańskich

eprasa.pl fe1ca3b33c

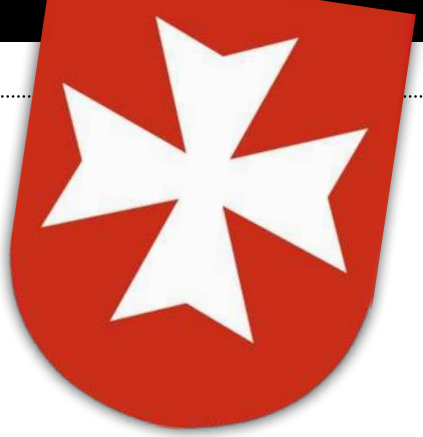

piratów (korsarzy), którzy poza łupem zdobytym w chrześcijańskich miastach nabrzeżnych i statkach zyskiwali sławę wojowników Proroka.

Bitwa o Tunis w 1535 r. FOT. WIKIPEDIA

Rudobrodzi braciszkowie

Po 1492 r., gdy wojska królów Ferdynanda Aragońskiego i Izabelli Kastylijskiej zdobyły ostatni muzułmański przyczółek na Półwyspie Iberyjskim – Grenadę, tamtejsi wyznawcy islamu dostali do wyboru przyjęcie chrześcijaństwa lub wygnanie. Znaczna część Maurów udała się wtedy do Maghrebu, wzmacniając bazy pirackich gniazd. Z kolei piraci ze wschodniej części Morza Śródziemnego przenosili się tu, by uniknąć podatków nakładanych przez Osmanów. Po zdobyciu w 1504 r. przez Oruća Barbarossa (Baba Oruća) dwóch papieskich galer płynących z Genui do Civitavecchia pochodzący ze wschodu, ale działający z Tunisu pirat zyskał wielki rozgłos oraz zastępy rabusiów gotowych służyć w jego flotylli.

Flota Ferdynanda II Aragońskiego zablokowała jednak północnoafrykańskie wybrzeże, a desanty zdobyły Oran, Bidżaję oraz wysepkę Penón de Argel, ryglującą port w Algierze. Jej władca Selim-bin-Teumi przyjął w 1510 r. hiszpański protektorat i zaczął płacić trybut, podobnie jak inni władcy Maghrebu. Jednak Oruć nie pozostał bezczynny i gdy w 1515 r. sułtan Algieru zwrócił się doń o pomoc w odzyskaniu Penón de Argel, wspólnymi siłami pokonali Hiszpanów. Ale Oruć zamordował następnie Selima i przejął faktyczną władzę w Algierii, która na trzy lata stała się bazą do wypraw przeciw chrześcijanom.

Wkrótce jego okrutnych rządów nie mogli znieść sami Algierczycy i poprosili króla Hiszpanii Karola V o pomoc w obaleniu despoty. W 1517 r. to się nie udało, ale w 1518 r. licząca 11,5 tys. żołnierzy hiszpańskich oraz 30 tys. wojowników z Maghrebu armia osaczyła Oruć Reisa w Tlemsen (północno-zachodnia Algieria). Po sześciu miesiącach oblężenia uchodzący pirat zginął podczas przeprawy przez rzekę Salado.

Schedę po nim oraz przydomek Rudobrody przejął jego młodszy brat – Hayreddin. W 1520 r. – po roku obrony przed Hiszpanami i po śmierci tureckiego sułtana Selima I Groźnego – nowy Rudobrody utracił wsparcie Osmanów. W 1524 r. musiał oddać Algier lokalnym wodzom kabylskim. Założył więc bazę w Djidjelli, w północno-wschodniej Algierii, a gdy w 1529 r. sułtan i cesarz rozpoczęli wojnę, ofiarował swoje służby i wszystkie zdobyte terytoria Sulejmanowi Wspaniałemu. Za to Rudobrody otrzymał 2 tys. janczarów, artylerię i hojne subsydia. Przekupstwami opanował Algier, a 29 maja 1529 r. skłonił ogniem dział do kapitulacji gubernatora wyspy Penón de Argel. Gubernatora zatłuczono kijami, a umocnienia zburzono, wznosząc z ruin – rękoma chrześcijańskich jeńców – nowy falochron.

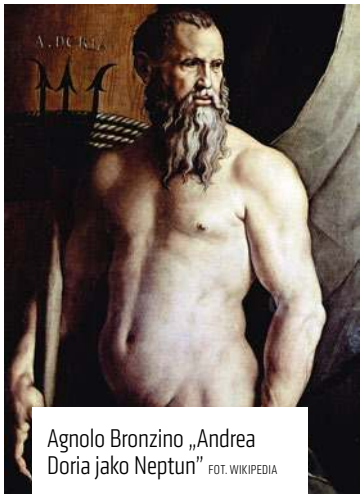

Agnolo Bronzino „Andrea Doria jako Neptun" FOT. WIKIPEDIA

Hayreddin i Doria

Aż do 1659 r. oddana Sulejmanowi Afryka Północna zarządzana była (do granic Maroka) przez tureckich namiestników. Hayreddin był pierwszym takim paszą, a zarazem admirałem otomańskiej floty. Kontrakt korsarza z sułtanem okazał się wspaniałym interesem dla obydwu. Mając bezpieczne zaplecze i tureckie wsparcie – a także żeglarski talent oraz piracki brak hamulców – Rudobrody ruszał każdej wiosny, gdy ustawały sztormy, na czele silnej floty do bezpardonowej walki z okrętami hiszpańskimi, papieskimi, państw włoskich i zakonu joannitów oraz do atakowania i rabowania ich wysp i wybrzeży. Jako pasza otrzymywał dziesiątą część łupu.

W 1534 r. Rudobrody zaatakował i zdobył Tunis, jedyne już duże miasto na północnoafrykańskim wybrzeżu pod władzą króla Hiszpanii i cesarza Karola V.

Tu jednak trafił na godnego siebie przeciwnika, którym był Genueńczyk na służbie Karola V – Andrea Doria (1466–1560). Ów znaczący mąż stanu i dowódca floty własnej oraz republiki genueńskiej miał już ponad 60 lat, gdy od popierania królów Neapolu, papieży i Franciszka I, króla Francji, przeszedł w 1528 r. do obozu habsburskiego – czyli Hiszpanii i cesarstwa. Z Turkami walczył wcześniej i później.

Gdy wybuchła wielka wojna cesarza z sułtanem tureckim, wiosną 1532 r.

eprasa.pl fe1ca3b33c

66-letni wówczas Andrea Doria wyruszył na czele połączonej, włosko-hiszpańskiej floty do Grecji i zdobył dwa miasta na Peloponezie – Koroni i Patras. W następnym roku rozproszył flotę turecką na Morzu Jońskim, usiłującą odbić utracone twierdze. W 1535 r. Karol V powierzył mu dowództwo nad flotą złożoną z 400 jednostek (w tym 82 wojennymi galerami), która wyruszyła, by odbić dla Hiszpanii Tunis. Większą część tej armady dostarczyły Genua i sam Doria. Wojskami lądowymi dowodził markiz Vasto. Tunis zdobyto i złupiono, osadzono w nim uległego wobec cesarza władcę, a zdobyczy strzegł hiszpański garnizon. Był to największy sukces odniesiony przez sędziwego już admirała z Genui.

Koszty przedsięwzięcia pokryły dostawy kruszców z Ameryki i kredyty genueńskich bankierów, którzy korzystali z bogactwa, które dawały Hiszpanii sprowadzane zza Atlantyku złoto i srebro. Gdy w XVIII w. źródełko wyschło i Hiszpania podupadła, kryzys dotkliwie dotknął też mocno związaną z hiszpańskim systemem finansowym Genuę.

Sytuację Hiszpanii, cesarstwa i sprzymierzonych z nim włoskich państewek skomplikowało w 1533 r. zawiązanie sojuszu między islamskim imperium tureckim a „najstarszą córą Kościoła" rzymskokatolickiego – Francją. Uwikłana w przewlekłe wojny z Habsburgami sama rozpoczęła starania o zawarcie tego sojuszu. I oto w 1536 r. francusko-turecka flota, operująca w oparciu o Marsylię, zaatakowała Genuę, a następnie najechała inne posiadłości Habsburgów. Admirał de Saint-Blancard, prowadząc 12 galer francuskich i sześć algierskich, zaatakował Ibizę na Balearach. Berberyjscy korsarze pojmali tam 6 tys. niewolników.

Zimę 1536/1537 licząca 30 galer flotylla Rudobrodego spędziła w Marsylii. W 1537 r. alianci wspólnie oblegali Korfu, a następnie Turcy spustoszyli region Otranto, gdzie pochwycono ponad 10 tys. niewolników. Eskadra 12 francuskich galer zimowała w Stambule. Współpraca francusko-turecka na morzu zakończyła się w roku 1538, po podpisaniu przez Franciszka I i Karola V pokoju w Nicei.

W tymże roku Andrea Doria otrzymał dowództwo nad wielką flotą złożoną z ponad 300 jednostek obejmujących 162 galery: m.in. 55 weneckich, 49 hiszpańskich, 27 papieskich – w tym 10 kawalerów maltańskich.

Do porażki niedaleko Korfu – w bitwie pod Prewezą 28 września 1538 r. – doprowadziło po trosze jego kunktatorstwo, ale jeszcze bardziej zadecydowały nieudolność i brak kunsztu żeglarskiego zastępującego go wtedy wicekróla Neapolu. Dlatego mający słabsze siły Rudobrody zdołał zdobyć dwie galery weneckie i jedną papieską, a także pięć hiszpańskich transportowców z żołnierzami na pokładach. Muzułmanie podpalili pięć statków handlowych z Wenecji i Raguzy (obecnie Dubrownik) i zdobyli 36 dalszych statków, biorąc do niewoli 3 tys. ludzi. Od ostrzału armatniego Turcy stracili 400 zabitych i 800 rannych, ale żaden z ich statków, nawet dotkliwie uszkodzonych, nie został zatopiony. Klęska chrześcijan dała Turkom na 33 lata (do bitwy pod Lepanto) przewagę na Morzu Śródziemnym. W roku 1540 Wenecja musiała przekazać Turcji swoje posiadłości w Morei i Dalmacji, a także zdobyte przez Rudobrodego wyspy na morzach Egejskim, Jońskim i Adriatyku.

Rycerze żeglarze

Jak wiemy (patrz: „HDR" 12/2022), tułający się od wygnania z Rodos (1522) przez Sulejmana Wspaniałego po Morzu Śródziemnym joannici osiedli wreszcie w 1530 r. na Malcie, ofiarowanej przez cesarza Karola V (zarazem m.in. króla Sycylii). Dostali też od niego leżącą tuż obok wyspę Gozo i – jako lenno – północnoafrykański port Trypolis. To wszystko za roczną opłatę w wysokości jednego sokoła maltańskiego, czyli inkrustowanego drogimi kamieniami podarku, wysyłanego co roku w Dzień Zaduszny wicekrólowi Sycylii.

Zakon osiadł w mieście Birgu, które uczynił swoją stolicą, i rozbudował oraz wzniósł nowe fortyfikacje (zwłaszcza kluczowy Fort Saint Angelo), uporządkował gospodarkę i bił własną monetę. Obok tych prac rycerze szpitalnicy bronili chrześcijan przed muzułmanami, co było i pozostało ich głównym powołaniem. Straty ponosiły obie strony. Przypomnijmy znaczące wydarzenie z 1541 r., gdy korsarze Draguta Reisa zatopili joannicki galeon dowodzony przez Jeana Parisota de la Valette, który – zanim go wykupiono z niewoli – kilka miesięcy wiosłował na galerach. On to, gdy bracia wybrali w 1557 r. tego weterana obrony

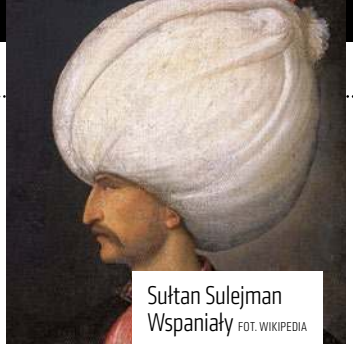
Sułtan Sulejman Wspaniały FOT. WIKIPEDIA

Hayreddin (Barbarossa) FOT. WIKIMEDIA COMMONS

Cesarz Karol V FOT. WIKIPEDIA

Rodos na wielkiego mistrza, dostrzegł śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony Sulejmana, a w 1565 r. kierował obroną Malty i został jej największym w dziejach bohaterem.

W kolejnych latach, a nawet wiekach nie ustawały walki morskie ich skromnej floty – liczącej od kilku do kilkunastu galer – z piratami berberyjskimi, których sułtan osmański uważał za własną marynarkę wojenną. W lipcu 1551 r. Turcy nieskutecznie próbowali zająć Fort Saint Angelo, a następnie leżącą w centrum wyspy Mdinę. Wreszcie udało się im opanować wyspę Gozo i porwać w niewolę jej mieszkańców, a następnie pożeglować do Trypolisu i zdobyć to libijskie dziś miasto-port w sierpniu.

Po tym śmiertelnie groźnym dla zakonu najeździe niestrudzeni joannici wzmocnili stołeczną twierdzę fortami Saint Elmo i Saint Michael, wokół którego wyrosła nowa dzielnica Senglea. I, oczywiście, nie zaprzestali wypraw przeciw Berberom. Zapewne 23 września 1556 r. (być może rok wcześniej) rycerzy maltańskich dotknął kataklizm

eprasa.pl fe1ca3b33c

wywołany tym razem przez siły natury – nienotowane wcześniej w tej części świata tornado, nazwane zresztą Grand Tornado. Wiatr i fale pochłonęły życie ok. 600 ludzi. Cztery wojenne galery – „Santa Fè", „San Michele", „San Filippo", „San Claudio" – rzucone na skały wybrzeża, zostały rozbite. Reperacji wymagały z takim trudem wznoszone po osmańskim najeździe mury. Joannici musieli się spieszyć z odbudową, ponieważ inwazja zaznajomionego z sytuacją korsarza Draguta groziła w każdej chwili. W tym ciężkim momencie wspomogli rycerzy z Malty: dwiema galerami król Hiszpanii – Filip II, a galeonem – Philippe du Broc, przeor wielkiego klasztoru-hospicjum szpitalników w Prowansji. Na pomoc natychmiast pospieszyły też dwie galery francuskie.

Podczas akcji ratunkowej wielki mistrz Claude de la Sengle podobno własnymi rękami wyciągnął z wraku okrętu rycerza Mathurina Romegasa, niosącego w ramionach swą małpkę. Poświęćmy mu na koniec, bo warto, małą dygresję. Gaskończyk Mathurin d'Aux de Lescout wstąpił do joannickiego Zakonu Szpitalników Świętego Jana w 1542 r., a w 1546 r. został pasowany na rycerza. Walcząc pod mianem Romegas na pokładach galer pod rozkazami adm. Gozona de Melaca, uczestniczył w wielu akcjach przeciwko muzułmańskim okrętom i portom – od Lewantu na wschodzie do Algierii na zachodzie i od wybrzeży północnoafrykańskich na południu do wybrzeży Adriatyku i Morza Egejskiego na północy. W 1564 r. w rejonie Wysp Jońskich zwycięża osmański okręt, bierze do niewoli 200 janczarów i kilkoro znaczących więźniów oraz zdobywa towary o wartości 80 tys. dukatów. Właścicielem statku okazuje się główny eunuch seraju sułtana – Kustir Aga, a główną poszkodowaną córka Sulejmana – Mihrimah. To ona podobno namówi ojca do wysłania wielkiej wyprawy przeciw Malcie w 1565 r.

Sześć lat później w bitwie pod Lepanto Romegas dowodził galerą papieża Piusa V – w samym centrum floty Ligi Świętej pod rozkazami Don Juana de Austria (o tym w następnym numerze). W 1575 r. został mianowany admirałem zakonu przez wielkiego mistrza Jeana L'Evesque de la Cassiere, a w 1576 r. wielkim przeorem klasztoru Zakonu Szpitalników Świętego Jana w Tuluzie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dwóch na trzech? Wystarczy

Maciej Rosalak

Podczas kilku ostatnich lat, gdy mnożyły się imprezy oraz publikacje z okazji obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości, często cytowano celne zdanie Józefa Piłsudskiego: „Polska albo będzie wielka, albo nie będzie jej wcale…". Robił i zrobił, co mógł, aby wielką Polskę stworzyć, z pokonaniem bolszewików pod Warszawą i nad Niemnem w 1920 r. włącznie. Ten i ów na Zachodzie dostrzegał znaczenie tego, co się wydarzyło, jak wielbiciel Polski i Marszałka – angielski arystokrata Edgar D'Abernon w „18-tej bitwie, która zadecydowała o losach świata" – a także komentator „L'Echo de Paris". W połowie maja 1920 r. pisał: „Wyzwalając Ukrainę, być może Piłsudski będzie mógł utworzyć tę zachodnią linię (przedmurze), które ma chronić Europę przed falą komunizmu…". Jednak Litwini wspólnego państwa z Polakami nie chcieli, Ukraińcy z zachodu usiłowali nas pobić, ci zza Zbrucza (Petlura) poszli z nami na Kijów, ale rodaków nie pociągnęli, a Białorusini w większości nie mieli jeszcze pojęcia o wyobrażeniu sobie własnego państwa. Po Rapallo i Locarno Piłsudski ostrzegał Polaków: „Wy tej Polski nie utrzymacie. Ta burza, która nadciąga, jest zbyt wielka. Obecna Polska zdolna jest do życia tylko w jakimś wyjątkowym, złotym okresie dziejów […]. Nie udało mi się powołać do życia dużego związku federacyjnego, z którym świat musiałby się liczyć". I przestrzegał: „Wy w wojnę beze mnie nie leźcie, wy ją beze mnie przegracie".

Minęły lata. Historia potwierdziła kasandryczną przepowiednię Naczelnika. Ale tu przypomnę zastanawiające wyniki badań genetycznych Rosyjskiej Akademii Nauk, przeprowadzonych w latach 2002–2005 (za: Anatol Taras, „Anatomia nienawiści"). Otóż genotyp Rosjan w 85–90 proc. składa się z materiału genetycznego Finów (Mordwinów, Muromców, Maryjczyków…) i Turków (Tatarów, Protobułgarów, Baszkirów...), czyli ludów nieindoeuropejskich. Ludzi z genami dominującymi u Słowian na całym obszarze Rosji jest nie więcej niż 6–8 proc. i są to zapewne w większości potomkowie Białorusinów, Ukraińców i Polaków. Najbliżej spokrewnieni Polacy i Białorusini stanowią tę samą grupę, która powstała z wymieszania się zachodnich Bałtów ze Słowianami. Zadnieprzańscy Ukraińcy są bliscy Rosjanom, natomiast ci na prawym brzegu Dniepru stanowią mieszankę Słowian (Drewlan, Polan, Dulebów, Siewierzan...) z plemionami sarmackimi. Na terenie byłego ZSRS Słowianami są więc raczej Białorusini (bliscy Polakom i Słowakom) i Ukraińcy (bliscy Bułgarom i Serbom), a nie Rosjanie.

Dziś Polska liczy 38 mln mieszkańców, a „Ruś" w ujęciu imperialistycznego „ruskiego miru" (a więc Rosja + Ukraina + Białoruś) – 194,5 mln, czyli pięć razy więcej. W ciągu tysiąclecia proporcje się zmieniły: mieszkańców Rusi było pod koniec X w. siedem razy więcej (7 mln do 1 mln). Jednak rzecz nie tylko w tym, że Polaków relatywnie przybyło. Oto wydarzenia ostatnich paru lat umacniają tę wielką, niespełnioną nadzieję rozumnych potomków I Rzeczypospolitej, że – jak podczas kilkuset lat trwania unii polsko-litewskiej i innej niż moskiewska cywilizacji między Bugiem a Dnieprem – straci sens rachowanie, ilu jest łącznie, jak we wczesnym średniowieczu, „Rusinów". Porównamy raczej proporcje z XVII w. – 11 mln naszego państwa i 15 mln Moskwy – i policzymy: my (Polacy + Ukraińcy + Białorusini + Litwini) i oni (Rosjanie). Wyjdzie nam, jak obszył, 100 do 140 mln. Dwa do trzech niespełna… Wystarczy. ©℗

eprasa.pl fe1ca3b33c

XIX/XX w. / Sztuka, literatura, pseudonauka?

FOT. ADOBESTOCK

Kozetka doktora Freuda

Tymoteusz Pawłowski

Psychoanaliza pokazywała, że najważniejszą dziedziną życia człowieka jest seks, a nie szczytne ideały

Psychoanaliza pomysłu Sigmunda Freuda była swego czasu uznawana za największy wynalazek XX w., który zmienił postrzeganie świata i społeczeństwa. Kozetka, na której pacjenci leżeli, opowiadając o swoich traumatycznych wspomnieniach z dzieciństwa, stała się symbolem rewolucji kulturalnej niczym płonące biustonosze. Jednak z perspektywy XXI w. zarówno psychoanaliza, jak i jej atrybuty wydają się całkiem nieistotne...

W maju 1848 r. wiedeński doktor Ignaz Semmelweis nakazał lekarzom w swoim szpitalu, aby pomiędzy wykonywanymi sekcjami zwłok a przyjmowaniem porodów myli ręce podchlorynem wapnia. Śmiertelność młodych matek zmniejszyła się kilkunastokrotnie: z 18,4 proc. do 1,27 proc. Inni lekarze uznali takie praktyki za szarlatanerię, doprowadzili do zwolnienia dr. Semmelweisa z pracy i zarzucili zwyczaj mycia rąk przez lekarzy. Dopiero po 30 latach – i odkryciu zarazków chorobotwórczych – okazało się, że Ignaz Semmelweis nie był szarlatanem, a jego koledzy medycy uprawiali pseudonaukę.

Kilkunastoprocentowa śmiertelność podczas połogu oznaczała, że szanse na przeżycie przez kobietę piątego porodu były niższe niż 50 proc. Dotrwanie do 50. roku życia było przywilejem nielicznych, więc menopauza wydawała się nieistotnym problemem. Jednak pod koniec XIX w. coraz więcej kobiet musiało odpowiedzieć sobie na pytania, jak sobie radzić z tym, że przestały już być matkami, żonami czy kochankami, a jeszcze nie stały się szacownymi matronami... Bardzo często kończyło się to zaburzeniami psychicznymi i koniecznością izolacji. Historia przełomu XIX i XX w. pełna jest takich opowieści: smutnych, wstydliwych i tajemniczych. Lepiej nie pytać, na co „chorowały" pierwsza żona Józefa Piłsudskiego czy Stefana Żeromskiego...

Takie problemy oczywiście się zdarzały i w dawnych czasach, ale były one dość rzadkie. Hipokrates – żyjący 2500 lat temu ojciec medycyny – nazwał je histerią, co na polski przetłumaczono jako duszność maciczną (macica to po grecku „hystera"). Emilia Korczyńska w powieści Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem" z 1888 r. cierpiała na globus histericus, czyli miała gulę w gardle. „Dokucza

eprasa.pl fe1ca3b33c

bardzo szczególnie, kiedy się czymś wzruszę, zmartwię" – mówiła. Odczuwała zatem objawy somatyczne pomimo braku podstaw uzasadniających ich występowanie. W jaki sposób można było je uleczyć?

Ignaz Semmelweis wprowadził w 1848 r. nakaz mycia rąk przez personel szpitali

FOT. ADOBE STOCK

Kozeta, leżanka, a może szezlong?

Sposobów leczenia histerii szukał wiedeński lekarz, dr Sigmund Freud. Początkowo uważał, że doskonałym lekarstwem będzie – dopiero co wyprodukowana – kokaina. Później skierował swoje zainteresowanie na bardzo wówczas modną hipnozę. Po 20 latach badań doszedł jednak do wniosku, że główną przyczynę zaburzeń stanowią wspomnienia z przeszłości, najczęściej zapomniane, nieświadome i wyparte. Jeśli pacjent się do nich przyzna, uświadomi je sobie i przypomni, wówczas będzie na najlepszej drodze do wyzdrowienia. Gulę w gardle Emilii Korczyńskiej dr Freud wytłumaczyłby najprawdopodobniej tym, że we wczesnym dzieciństwie czymś się zadławiła. Jeśliby przypomniała sobie ten epizod, to wiedziałaby, że jej ból nie jest realny, nie musi więc cierpieć na globus histericus.

Proces przypominania odbywał się podczas rozmów, zwanych duszy badaniem, czyli – dosłownie – psychoanalizą. Rozmowy terapeutyczne odbywały się w przytulnym gabinecie, a pacjentka spoczywała na kozetce. Nazwa jest nieco myląca, ponieważ prawdziwa kozetka to dwuosobowy fotel, umożliwiający pogawędkę (francuskie słowo „causette" to właśnie pogawędka). Mebel Sigmunda Freuda to niewielki tapczanik, przykryty delikatnym chińskim dywanem z porozrzucanymi nań orientalnymi poduszkami. Późniejszy twórca psychoanalizy dostał go w prezencie od jednej ze swoich pacjentek, gdy jeszcze praktykował leczenie hipnozą, czyli snem. Przytulny mebel tak mu się spodobał, że wykorzystywał go tak, jak inni lekarze wykorzystywali medyczne leżanki, i brał go ze sobą wszędzie. Dziś można go obejrzeć w Londynie, ponieważ tam dr Freud zmarł w 1939 r.

Psychoanaliza spotkała się z zainteresowaniem świata naukowego, ale nie

„Co chodzi mężczyznom po głowie"

FOT. ADOBE STOCK

została zaakceptowana. Problemem było to, że wiele spośród sesji psychoanalizy skupiało się na doświadczeniach erotycznych pacjenta – mężczyźni również zaczęli leczyć się u dr. Freuda. Niechęć innych wzbudzało przede wszystkim to, że psychoanaliza pokazywała, że najważniejszą dziedziną życia człowieka jest seks, a nie szczytne ideały. Freud zatrudnił jednak Carla Gustava Junga – 20 lat młodszego, ale uznanego profesora psychiatrii – i jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej psychoanaliza zdobyła sławę poważnej nauki. Niemal w tym samym momencie obaj panowie śmiertelnie się na siebie obrazili, nie mogąc dojść do porozumienia w szczegółach swojej teorii.

Upadek

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej okazało się, że zainteresowanie Freudowską psychoanalizą zmalało, a dokładniej: zmieniło się. Wszystkiemu była winna wojna światowa. Przede wszystkim miliony ludzi doświadczyły niewyobrażalnych cierpień i było już wiadomo, że to właśnie one, a nie jakieś abstrakcyjne wspomnienia z zapomnianego dzieciństwa odpowiadają za wszelkiego rodzaju damskie i męskie histerie, dziś znane jako stres pourazowy. Poza tym setki tysięcy Amerykanów odwiedziły Europę i przywiozły z powrotem cząstkę europejskiej kultury, w tym także zainteresowanie psychoanalizą. Psychoanaliza w Ameryce stała się bardzo popularna, ale w swojej uproszczonej, często bardzo prymitywnej formie. Wreszcie zauważono, że „król jest nagi": psychoanalizy nie da się zweryfikować doświadczalnie, nie jest więc żadną nauką, być może jest sztuką, być może literaturą, a być może pseudonauką.

Okazało się również, że Sigmund Freud nie jest wcale wyjątkowy. Zaczęto zauważać jego błędy, podano w wątpliwość rzetelność jako badacza, zarzucano fałszowanie, a nawet wiarę w zabobony takie jak numerologia. Pojawili się jego naśladowcy, jedni mniej, drudzy bardziej krytyczni. Pojawiły się również liczne ruchy religijne, wykorzystujące elementy psychoanalizy, z których najbardziej znanym jest scjentologia.

Psychoanaliza dostała swoją drugą szansę w latach 60. XX w., w czasie rewolucji seksualnej. To, co kiedyś uznawano za wadę – zbytnie skupianie się na sferze erotycznej życia – zaczęto uznawać za zaletę, usprawiedliwiającą „wyrwanie się z oków burżuazyjnej moralności". Druga młodość freudyzmu nie trwała jednak długo: zakończyła ją – tak samo jak rewolucję seksualną – epidemia HIV/AIDS, która wybuchła w latach 80. Dzisiaj system dr. Freuda używany jest coraz rzadziej...

Psychoanaliza w ujęciu Freudowskim miała ambicję bycia nauką, dziedziną medycyny. Tak się jednak nie stało, dziś wyraźnie rozróżniamy ją od psychiatrii, która faktycznie opiera się na badaniach naukowych i do leczenia zaburzeń używa medykamentów. Niejako przy okazji dyskursu pomiędzy psychoanalitykami i psychiatrami zauważono obecność psychologii. Odziedziczyła ona jednak po psychoanalizie grzech pierworodny, nie wiadomo więc nawet, czy jest nauką, sztuką czy jeszcze czymś innym. Dziś jednak trudno to ocenić, można bowiem popełnić błąd taki, jaki popełnili koledzy dr. Semmelweisa, uważający mycie rąk za pseudonaukę. Historia dzieje się na naszych oczach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl fe1ca3b33c

Geopolityka / Koncepcje Adolfa Bocheńskiego

Ukraina: między Polską a Rosją

Piotr Zychowicz

Optymalny scenariusz dla Polski? Podział wschodniego imperium na dwa skonfliktowane państwa: Rosję i Ukrainę

Niemiecki historyk Golo Mann – syn słynnego pisarza – uważał, że analiza geopolityczna powinna być wolna od uczuć, sentymentów i złudzeń. Dlatego podkreślał, że Rzeczpospolita Polska musi wybierać spośród trzech realnych scenariuszy:

1. Polska z Niemcami przeciwko Rosji;
2. Polska z Rosją przeciwko Niemcom;
3. Rosja i Niemcy przeciwko Polsce.

Ten ostatni scenariusz oczywiście był – i jest – dla Polski najgorszym koszmarem sennym. Do tych trzech możliwości sprowadzają się jednak polskie dylematy i dramat dziejów Rzeczypospolitej.

Trudno nie zauważyć, że to samo geopolityczne założenie można zastosować wobec Ukrainy. Tak jak Polska leży między Niemcami a Rosją, tak Ukraina leży między Polską a Rosją. A zatem – idąc tropem myślenia Manna – ma trzy realne możliwości:

1. Ukraina z Polską przeciwko Rosji;
2. Ukraina z Rosją przeciwko Polsce;
3. Polska i Rosja przeciwko Ukrainie.

Tak było od wielu wieków dziejów Rusi i tak jest do dzisiaj. Wystarczy wskazać na XVII-wieczne wojny kozackie. Obie strony próbowały przeciągnąć na swoją stronę Zaporożców. Moskale, zawierając z nimi umowę perejasławską, Polacy – podpisując ugodę hadziacką. Ostatecznie zaś skończyło się na scenariuszu numer trzy, czyli na podziale Rusi między Rzeczpospolitą i Moskowię.

Ta sama historia powtórzyła się po pierwszej wojnie światowej. Symon Petlura wybrał wariant numer jeden i sprzymierzył się z Piłsudskim. Ukraińcy galicyjscy woleli wariant numer dwa. Czyli Rosję. A skończyło się jak w XVII w. – Rygą. Czyli polsko-bolszewickim podziałem ziem ukrainnych.

eprasa.pl fe1ca3b33c

FOT. NAC, BN, ADOBE STOCK, TZ, VKEDEK

W dwudziestoleciu międzywojennym kwestia ukraińska wywoływała wśród Polaków namiętne spory i polemiki. Artykuł ten chciałbym poświęcić koncepcjom Adolfa Bocheńskiego, jednego z najzdolniejszych pisarzy politycznych II Rzeczypospolitej, czołowego konserwatysty i realisty.

Publicysta „Buntu Młodych" swoje poglądy przedstawił m.in. w legendarnej książce „Między Niemcami a Rosją" z 1937 r., uważanej za jedną z najbardziej błyskotliwych i ponadczasowych analiz geopolitycznego położenia Rzeczypospolitej. Bocheński opowiadał się w tej książce za wspólnym marszem Polski i Niemiec na Związek Sowiecki. Jego celem miało być zniszczenie i rozczłonkowanie „chorego człowieka Europy" i wypełnienie w ten sposób testamentu politycznego marszałka Józefa Piłsudskiego.

Najważniejszym z państw, które powstałyby na gruzach Związku Sowieckiego, byłaby oczywiście Ukraina. Państwo o wielkim potencjalne demograficznym i gospodarczym. I kapitalnym znaczeniu geopolitycznym. Polska w ten sposób pozyskałaby nowego, potężnego sąsiada. Czy z perspektywy naszych interesów państwowych byłoby to dobrze czy źle?

Endecy na to pytania odpowiadali – źle.

Bocheński odpowiadał – dobrze.

Ukraina odgrywa tak wielką rolę w życiu ekonomicznym, w potencjale politycznym ZSRS i wprost w sentymentach każdego Rosjanina – pisał – iż wydaje się bardzo mało prawdopodobne, aby państwo rosyjskie kiedykolwiek oswoiło się z jej niepodległością.

Nawet gdyby Rosja uznała kiedyś niepodległość Ukrainy za fakt dokonany i konieczny, to między oboma państwami wystąpiłyby z ogromną siłą spory o pograniczne mieszane narodowościowo obszary. Włodzimierz Bączkowski zwrócił tu pierwszy w publicystyce polskiej uwagę na zasadniczą rolę Zagłębia Donieckiego, które znajduje się na pograniczu Ukrainy i Rosji, podobnie jak Górny Śląsk na pograniczu Polski i Niemiec.

Adolf Bocheński uważał, że między Rosją a Ukrainą występowałyby permanentne tarcia, wojny i konflikty. Dla Rzeczypospolitej byłoby to niezwykle korzystne. Na Wschodzie zamiast jednego imperialnego kolosa powstałyby bowiem dwa „nawzajem się neutralizujące" państwa.

A gdzie dwóch się kłóci, tam trzeci korzysta. Rosja i Ukraina osłabiałyby się wzajemnie w kolejnych zaciekłych konfliktach i starciach o Charków, Donbas, Chersoń i Zaporoże. To zaś trzymałoby wojnę z dala od polskich granic.

– A co się stanie, jeżeli Ukraina sprzymierzy się z Niemcami przeciwko Polsce? – pytali endecy.

– Wtedy Polska sprzymierzy się z Francją i Rosją przeciwko Ukrainie i Niemcom – nie tracił rezonu Bocheński.

Innymi słowy: podział Związku Sowieckiego na Rosję i Ukrainę otwierał przed Polską szerokie możliwości politycznej gry. Różne warianty sojuszy. Możliwości te zamykały się, gdy na Wschodzie znajdowało się tylko jedno, niepodzielne i groźne imperium.

Optymalnym rozwiązaniem dla Bocheńskiego była oś Warszawa – Kijów. W swojej słynnej książce publicysta opowiedział się za powrotem do idei Piłsudskiego z 1920 r. Idei federacji.

Istnieje w przyszłości wąska i przepastna ścieżka, która przecież prowadzi tam, gdzie tęsknie spogląda każde prawdziwe serce polskie. Do stworzenia wielkiego imperium na wschodzie Europy, którego my byśmy byli jednym z najbardziej decydujących czynników.

Kwestii, czy federacja z państwem ukraińskim jest dla Rzeczypospolitej pożądana, nie będziemy tutaj dyskutować. Nie jest bowiem łatwe do zrozumienia, jak Polak młodej generacji mógłby nie tęsknić do odzyskania granic Władysława IV, jak mógłby marzyć o malutkiej Polsce Łokietka. W roku 1920 legalna władza republiki krymskiej zażądała od Ligi Narodów udzielenia Polsce mandatu nad Krymem. Mało znane to wydarzenie symbolizuje niezmierne obszary, na których w razie realizacji programu federalistycznego rozciągałaby się potęga Rzeczypospolitej.

Ważne zastrzeżenie. Bocheński podkreślał, że pod określeniem „federacja" nie ma na myśli stworzenia jednego organizmu państwowego, w którym silniejsi Polacy zdominowaliby „młodszych braci" Ukraińców. Nie chodziło o to – jak pisał obrazowo – aby jedna strona była jeźdźcem, a druga koniem. Trudno się bowiem spodziewać, aby Ukraińcy dobrowolnie dali sobie nałożyć na plecy polskie siodło. Przeciwnie, nowoczesna federacja polsko-ukraińska miała być ścisłym sojuszem dwóch suwerennych, niepodległych państw złączonych wspólnotą interesów i zagrożeń.

Przez zdrowy imperializm XX w. – podkreślał Bocheński – rozumiemy dążenie do związku kilku państw celem wspólnej obrony, bez panowania jednego państwa czy narodu nad drugim i bez zbyt wielkiego ich wtrącania się wzajemnego w sprawy wewnętrzne kontrahenta.

Stanisław Cat-Mackiewicz nie bez racji pisał, że koncepcja rozbicia Związku Sowieckiego na Rosję i Ukrainę była „główną ideą polityczną Adolfa Bocheńskiego przez całe jego życie". Jak wiadomo, za życia publicysty to wielkie marzenie się nie ziściło.

Stało się natomiast to, przed czym przestrzegał Bocheński. W roku 1939 zawarty został pakt Ribbentrop-Mołotow. Dwa totalitarne kolosy zmiażdżyły znacznie słabszą od nich Rzeczpospolitą. Naród polski podczas drugiej wojny światowej przeszedł przez piekło. Adolf Bocheński walczył z Niemcami z bronią w ręku. 18 lipca 1944 r. poległ, rozbrajając minę pod Ankoną. Część jego przyjaciół twierdziła później, że szukał śmierci. „Przyzwoity człowiek – powtarzał – nie może przeżyć tej wojny". Bocheński dwukrotnie został odznaczony Virtuti Militari.

Jego wielkie marzenie zmaterializowało się dopiero pół wieku później, w roku 1991, gdy na gruzach Związku Sowieckiego powstała niepodległa Ukraina. Rok 2022 potwierdził zaś słuszność jego koncepcji. Wojna z Rosją toczy się w Donbasie i na Krymie, a nie pod Warszawą i nie w Suwałkach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

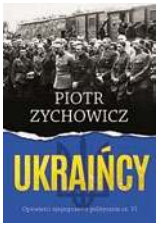

PIOTR ZYCHOWICZ
„UKRAIŃCY"
REBIS

eprasa.pl fe1ca3b33c

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

INA BENITA TO JEDNA Z NAJJAŚNIEJSZYCH GWIAZD POLSKIEGO KINA LAT 30. DOSKONALE ŁĄCZYŁA SWÓJ TALENT AKTORSKI I WOKALNY. WIDZOWIE SZCZEGÓLNIE POKOCHALI KOMEDIE Z JEJ UDZIAŁEM, TAKIE JAK: „JAŚNIE PAN SZOFER", „JEGO EKSCELENCJA SUBIEKT", „SPORTOWIEC MIMO WOLI" CZY „JA TU RZĄDZĘ" (DWA OSTATNIE MIAŁY PREMIERĘ JUŻ W CZASIE OKUPACJI NIEMIECKIEJ). PRZEZ NIEMAL 75 LAT WSZYSCY MYŚLELI, ŻE ZGINĘŁA WRAZ ZE SWOIM SYNEM TADEUSZEM W TRAKCIE POWSTANIA WARSZAWSKIEGO. PRAWDA OKAZAŁA SIĘ JEDNAK ZUPEŁNIE INNA...

W CZASIE OKUPACJI ZOSTAŁA ARESZTOWANA PO TYM, JAK ODKRYTO, ŻE MIAŁA ŻYDOWSKICH PRZODKÓW. W CHWILI ZATRZYMANIA BYŁA W CIĄŻY I W KWIETNIU 1944 ROKU URODZIŁA NA PAWIAKU SYNA. ZWOLNIONO JĄ POD KONIEC LIPCA I WÓWCZAS ZAMIESZKAŁA W MIESZKANIU SWOJEGO OJCA PRZY UL. KILIŃSKIEGO.

26 SIERPNIA DOM PRZY KILIŃSKIEGO ZAWALIŁ SIĘ, W WYNIKU NIEMIECKIEGO BOMBARDOWANIA. INA AKURAT WRAZ Z SĄSIADKĄ POSZŁA ZDOBYĆ COŚ DO JEDZENIA. GDY WRÓCIŁY, NA MIEJSCU ZASTAŁY JEDYNIE ZGLISZCZA.

TADEUSZ TRAFIŁ DO RODZINY W PRUSZKOWIE. TAM UDAŁO SIĘ GO ODNALEŹĆ W 1945 ROKU I PRZEWIEŹĆ BEZPIECZNIE DO WIEDNIA, GDZIE INA MIESZKAŁA. PO ZAKOŃCZENIU WOJNY AKTORKA PRÓBOWAŁA UŁOŻYĆ SWOJE ŻYCIE. W CZERWCU 1945 ROKU WYSZŁA ZA MĄŻ ZA HANSA PASCHA. JEDNAK SZCZĘŚCIE NIE TRWAŁO DŁUGO...

HANS ZOSTAŁ NAPADNIĘTY I ZAMORDOWANY W LISTOPADZIE 1945 ROKU W OKOLICACH RHUMSPRINGE, GDY WRACAŁ DO DOMU MAJĄC PRZY SOBIE PIENIĄDZE UZYSKANE ZE SPRZEDAŻY SAMOCHODU.

ZAŁAMANA INA WYJECHAŁA DO FRANCJI. ZARABIAŁA NA ŻYCIE ŚPIEWAJĄC W BARACH. W NICEI POZNAŁA AMERYKANINA LLOYDA SCUDDERA, PRACUJĄCEGO DLA WOJSKA.

WYJECHAŁA Z NIM DO CASABLANKI, GDZIE WZIĘLI ŚLUB W 1953 ROKU. KILKA LAT PÓŹNIEJ WRAZ Z TADEUSZEM I DRUGIM SYNEM JOHNEM, WYRUSZYLI DO AMERYKI I ZAMIESZKALI W PENSYLWANII.

INA NIGDY NIE OPOWIADAŁA BLISKIM ANI O SWOJEJ AKTORSKIEJ KARIERZE, ANI SWYCH DRAMATYCZNYCH PRZEŻYCIACH. ZMARŁA W 1984 ROKU NA RAKA PŁUC. DOPIERO W 2017 ROKU JEJ WNUCZKA POZNAŁA PRAWDĘ, WPISUJĄC W INTERNETOWĄ WYSZUKIWARKĘ PRAWDZIWE NAZWISKO BABCI – JANINA FLOROW-BUŁHAK, KTÓRE ZNALAZŁA W DOKUMENTACH.

eprasa.pl fe1ca3b33c

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ADAM CYRA: „ROTMISTRZ PILECKI. OCHOTNIK DO AUSCHWITZ"

W latach 1944 -1956 stracono w Polsce kilka tysięcy osób należących do antykomunistycznych organizacji niepodległościowych. Ofiarami tych zbrodni byli także dawni więźniowie KL Auschwitz, w tym rotmistrz Witold Pilecki, zaliczany przez historyków do sześciu najodważniejszych ludzi europejskiego ruchu oporu.

Witold Pilecki, uczestnik wojen 1920 i 1939 roku, dobrowolny więzień i twórca konspiracji wojskowej w KL Auschwitz, uciekinier z tego obozu, oficer Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego, jeniec obozów w Lamsdorf oraz Murnau, po wojnie wstąpił do II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa we Włoszech. Został zamordowany strzałem w potylicę w warszawskim więzieniu na Mokotowie 25 maja 1948 roku. W lipcu 2006 roku pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego.

Książka zawiera słynny raport Pileckiego napisany po ucieczce z Auschwitz.

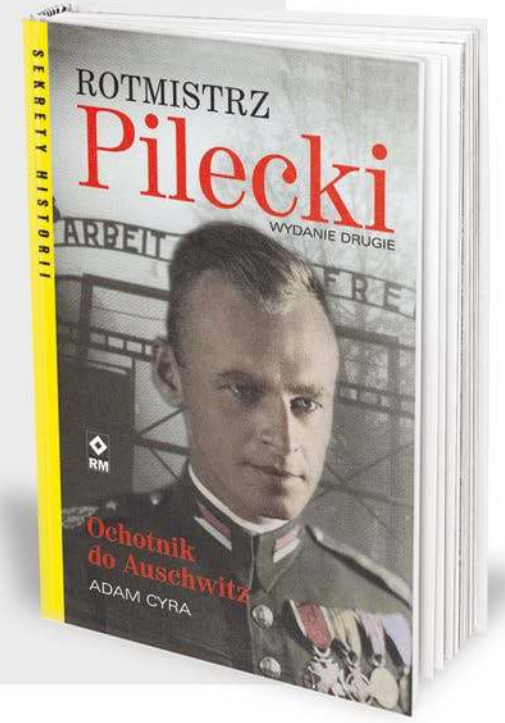

148 zł

oszczędność 55 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl fe1ca3b33c

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

PUBLIKACJE PEŁNE HISTORII

do **każdego** zakupu powyżej

100 zł

kalendarz

w prezencie

OFERTA DOSTĘPNA

TYLKO STACJONARNIE

w księgarniach IPN w całej Polsce

Oferta ważna do wyczerpania zapasów

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

PEŁNA OFERTA NA
ksiegarniaipn.pl

eprasa.pl fe1ca3b33c